

# HARRISON

## Lawrence



**HARRY HARRISON**

**INWAZJA**

**(Przełożył: Jarosław Kotarski)**

## Przybycie

Obiekt nadleciał znad Pacyfiku tuż przed zmierzchem, przekraczając wybrzeże Kalifornii z szybkością meteorytu; gdy fala akustyczna dotarła nad wybrzeże, on sam był już nad Arizoną. Huk był tak potężny, że wybił masę okien, uruchomił niezliczoną liczbę alarmów antywłamaniowych i spowodował przeraźliwe wycie wszystkich psów w okolicy. Równocześnie ożyły radary Systemu Wczesnego Ostrzegania, meldując Wrogi Atak.

Poderwano dyżurne myśliwce, naprowadzono rakiety ziemia-powietrze obrony przeciwlotniczej, podgrzano w silosach rakiety strategiczne. Niemal doszło do kolejnej wojny światowej, gdy wreszcie ktoś na górze zaczął myśleć. Obiekt nie zachowywał się bowiem jak normalna, porządna rakietka. Prawdę mówiąc, on w ogóle nie zachowywał się normalnie. Przybył ze złego kierunku i z nieodpowiednią szybkością, nie mówiąc już o zdecydowanie zbyt małej wysokości. Poruszał się z prędkością prawie pięciu Machów, która powinna doprowadzić do jego spalenia – ale tak się nie stało. Kiedy znajdował się ponad Kansas, zwolnił do trzech Machów, a poza tym leciał głównie w poziomie, a nie w pionie, jak na ucziwą raketę przystało. W ciągu niecałych trzydziestu minut przemierzył ponad połowę terytorium USA. Przez cały czas śledziły go naziemne systemy obrony przeciwlotniczej, ale żadna rakietka nie została odpalona.

– Nic w jego zachowaniu nie jest normalne – oznajmił jeden z operatorów radarowych, głośno wyrażając opinię wszystkich, którzy śledzili lot obiektu. – Nie mamy niczego, co mogłoby tak latać, i Ruski też czegoś takiego nie mają.

– Przynajmniej mamy taką nadzieję – mruknął ponuro dowódca bazy, zerkając z niepokojem na telefon.

Z tego, co wiedział, po alarmowym meldunku, jaki złożył, prezydent właśnie konferował z Moskwą przez "gorącą linię", by uzyskać decydującą odpowiedź na to właśnie pytanie. Zadzwoił telefon; odebrał go natychmiast, wysłuchał uważnie poleceń, po czym odmeldował się i wolno odłożył słuchawkę.

– Mieliście rację. Toto nie jest ruskie. Oni są tak samo zaskoczeni jak my, a wywiad potwierdza tę wersję... Ale jeśli to nie nasze i nie ich...?

Charakterystyczne było, że nie powiedział głośno tego, co myślał o możliwym pochodzeniu obiektu – zawodowi wojskowi, jak świat długi i szeroki, charakteryzują się bowiem dwiema cechami: brakiem wyobraźni i ostrożnością posuniętą aż do granic absurdu. Wszyscy patrzyli na ekrany radarów, w podziwie czekając, co będzie dalej.

Nie trwało to długo. Obiekt równie nagle co szybkość zmienił teraz wysokość, opadając na tysiąc stóp nad New Jersey, przemknął nad Outer Bay, a następnie skręcił na północ, ku wyspie Manhattan.

Również tego nie zrobił normalnie, czyli zataczając łuk – po prostu zmienił kurs o dziewięćdziesiąt stopni, tak jakby mijał narożnik, co na radarach dało niewiarygodny odczyt w kształcie litery L. Kierował się teraz ku World Trade Center – najwyższemu budynkowi na świecie.

Sharon Forkner wyglądała przez okno na dziewięćdziesiątym piętrze jednej z Trade Towers. Niewidzącym wzrokiem spoglądała na wspaniałą panoramę, zastanawiając się, co ma kupić w delikatesach po drodze do domu. Uwagę jej zwrócił nagły błysk na horyzoncie i z niedowierzaniem

patrzyła, jak z tegoż błysku wyłania się najpierw ciemna kropka, a potem ciemny kształt, błyskawicznie rosnący i zmierzający wprost na nią. Coś przemknęło tuż obok okna przy wtórze nagłego wybuchu. W ścianie zewnętrznej, niecałe dziesięć stóp od niej, pojawiła się wysoka na stopę dziura, przez którą widać było słoneczne światło, nieco przytłumione obłokiem kurzu, odłamków skał i sufitu. To coś, co przeleciało, musiało zahaczyć o budynek, ale nie zrobiło to na tym czymś żadnego wrażenia. Wywarło je natomiast na obserwatorce – pisnęła cicho i zemdląła, osuwając się łagodnie na podłogę.

Pojazd, zaledwie minął Trade Towers, zaczął wytracać prędkość i wysokość, zupełnie jakby były one jego celem. Przelatując nad Czterdziestą Drugą Ulicą, był już znacznie wolniejszy od dźwięku, a nad Pięćdziesiątą Dziewiątą znajdował się w połowie wysokości normalnych wieżowców, opadając niczym bryła betonu i zasłaniając słońce. Zaraz za Central Park ZOO uderzył w zbocze trawiastego wzgórza i wyorał w nim spory rów, zanim znieruchomiał. Przy tej okazji zmienił dozorcę i śpiącego na ławce pijaczka w nierozpoznawalną, organiczną miazgę. Były to jedyne ofiary lądowania.

W ciszy, która nastąpiła, dało się słyszeć krzyki i wrzaski dochodzące z trasy jego przelotu oraz odległy dźwięk policyjnych syren, zbliżających się z każdą sekundą.

# Intruz z nieba

Służby miejskie Nowego Jorku wiedzą, co znaczy szybkie działanie szybko: w ciągu pięciu minut kordon policji otoczył miejsce lądowania, odsuwając gapiów na odległość stu jardów i oczyszczając teren z fotografów, pijaków i innych nieodpowiedzialnych elementów, które zaszyły się w krzakach albo powłaziły na drzewa, by uzyskać lepszy widok.

Prawie równocześnie z lądowaniem owego obiektu centralka telefoniczna "Daily News" rozświetliła się niczym choinka – pomysł premii pieniężnych dla informujących o niespodziewanych wypadkach już nieraz okazał się doskonałym źródłem informacji dla gazety. Policja, straż pożarna i pogotowie i tak były szybsze, ale za to dziennikarze zdecydowanie wyprzedzili wojsko – pierwszy helikopter pojawił się dopiero po trzydziestu pięciu minutach. Wysiadł z niego pełen poczucia własnej ważności generał i oznajmił:

– Przejmuję dowodzenie akcją!

– Jesteś pan aresztowany za naruszenie kordonu policyjnego – odparł szpakowaty kapitan policji z wyrazem twarzy równie wymownym co bryła granitu, po czym poinformował pilota: – A ty masz dziesięć sekund na zabranie stąd tego wiatraka. To teren zamknięty.

– Nie możecie...! – ryknął generał i umilkł, gdyż dwóch barczystych policjantów sprawnie wykręciło mu ręce na plecy i ze szczękiem kajdanek udowodniło, że mogą.

Widząc to, pilot nie czekał na ciąg dalszy, tylko z rykiem silnika uniósł się czym prędzej w górę.

Rob Hayward zjawił się na miejscu akurat na czas, by sobie obejrzeć całą tę budującą scenę i z pełnym satysfakcji uśmiechem poczekał, aż odprowadzą pniącego się generała do jednego z wozów. Dopiero wówczas przybrał obojętny wyraz twarzy, wyjął z portfela legitymację i podszedł do kordonu policyjnego.

– Jestem pułkownik Robert Hayward, Air Force Intelligence, a oto moje papiery. Chciałbym rozmawiać z waszym dowódcą.

Kapitan obejrzał go sobie dokładnie: wysoki, muskularny, opalona twarz z błękitnymi oczyma i parokrotnie złamanym nosem, po czym spytał:

– Czego pan chce, pułkowniku?

– Poinformować pana o paru sprawach. To, co tam leży, godzinę temu przeleciało nad Zachodnim Wybrzeżem. Przez cały czas mieliśmy toto na radarach i pojęcia nie mamy, co to jest. Oficjalny zespół dochodzeniowy jest w drodze wraz z oddziałem US Army, by na rozkaz prezydenta przejąć sprawę od pańskich ludzi. Do ich przybycia sugerowałbym przesunięcie kordonu o kolejne sto jardów i rozpoczęcie ewakuacji sąsiednich budynków.

– Sugestia jest całkiem rozsądna, pułkowniku, i zamierzam wprowadzić ją w życie – odparł kapitan, po czym podniesionym głosem wykrzyknął polecenia swoim ludziom.

– Pańskim więźniem jest generał Hawker, dowódca garnizonu Governor Island – gdy oficer skończył, poinformował go znacznie ciszej Rob. – Uważa pan, że dałoby się go oddać pod moją kuratelę? Poza kordonem policyjnym, naturalnie.

– Doskonale wiem, kim jest ten sukinsyn. Jeśli chce go pan, to proszę bardzo. – Twarz policjanta rozjaśnił na chwilę uśmiech. – Chciałem jedynie dowieść pewnej kwestii prawnej, jeśli można tu użyć tego określenia.

Zanim wojsko zastąpiło policję, zapadł już zmrok, ale ta część parku, którą rozświetliły reflektory, wyglądała jak w dzień. Sceneria poza tym nie zmieniła się ani na jotę: poobijany i nieco okopcony obiekt z błękitnego metalu, długi na dziewięćdziesiąt stóp, leżał cichy, nieruchomy.

Wycelowane weń były lufy rozmaitego kalibru, jak i rozmaite urządzenia badawczo-zapisujące.

Rob stał wraz z grupą oficerów i naukowców nieco z tyłu. Toczyła się dyskusja z gatunku "Co dalej, maturzysto?"

– Możemy wysłać ochotnika, żeby w toto zapukał – zaproponował generał broni pancernej.

– Myśleliśmy o nieco bardziej wyrafinowanej metodzie komunikowania się – sapnął jeden z naukowców. – Transmisja radiowa, podczerwień, ultrafiolet...

– Trzydziestocalowy pocisk w burtę bez żadnych wątpliwości dałby im znać, że tu jesteśmy – przerwał mu szpakowaty admirał.

Rob zachowywał przy tej dyskusji podziwu godny spokój – znalazł się tu przypadkowo, załatwiając różne drobne sprawy, które nagromadziły się w ciągu ostatniego miesiąca. Jako szef wywiadu sił powietrznych na Wschodnie Wybrzeże, nieczęsto bywał w Nowym Jorku. Zdażył się ściągnąć tu swoją ekipę, ale decyzje należały do wyższych rangą. Jak dostanie konkretne polecenia, to weźmie się do roboty, a póki co był jedynie obserwatorem i bawił się doskonale.

– Mamy odczyt sygnałów z wnętrza obiektu na bardzo krótkim zakresie fal – rozległ się wzmożony przez głośniki głos jednego z operatorów. – I dźwięki...

Zagłuszył go metaliczny zgrzyt i wybuch – w burcie pojazdu pojawił się prostokątny otwór, a kawał metalu opadł z łoskotem na trawę, tworząc coś w rodzaju rampy prowadzącej do otworu.

Wszyscy umilkli przy pierwszym dźwięku, odruchowo sprężając się i mocniej ujmując broń (jeśli ktoś ją miał).

– Wstrzymać ogień! – rozległ się stanowczy głos. – Nie strzelać bez rozkazu!

Przed szereg gotowych do akcji żołnierzy wystąpił generał Beltine, który wypowiedział te słowa i odwrócił się plecami do pojazdu, przyglądając się uważnie żołnierzom. Trwało to tylko chwilę, ale pomogło – napięcie zelżało i palce cofnęły się nieco od spustów. Dopiero wówczas generał odwrócił się twarzą do obiektu.

Nic więcej nie nastąpiło, toteż po minucie generał dał rozkaz adiutantowi, a ten pospieszył do grona konferujących, przez chwilę dokładnie przyglądając się każdemu z osobna, jakby kogoś szukał. Tak też było, gdyż zatrzymał się przed Haywardem, zaszalutował i zameldował:

– Generał chciałby z panem rozmawiać, pułkowniku! – Po czym zrobił w tył zwrot i odszedł. Rob zaszalutował i poszedł za nim.

– Z Pentagonu nadeszły rozkazy mówiące, że jeśli ze strony obiektu nie będzie żadnych śladów agresji, na które mam natychmiast reagować, to mamy, a właściwie to pan ma wykonać Plan L67 – oznajmił Beltine na jego widok. – Rozumiem, że wie pan, o co chodzi?

– Tak jest, sir. L67 to jeden z teoretycznych planów przygotowanych na tego rodzaju sytuacje.

– Proszę mi nie wmawiać, że spodziewał się pan tego lądowania!

– Absolutnie nie, sir. Po prostu istnieje cała masa planów na rozmaite niespodziewane, a mogące się okazać groźnymi, wydarzenia. Mogę rozpocząć akcję, sir?

– Pański zespół jest już tutaj? – Tak jest, sir.

– To proszę zaczynać. I życzę szczęścia.

Rob przekazał polecenia swoim ludziom przez radiotelefon, z którym się od ich przybycia nie rozstawał, i spokojnym krokiem ruszył w kierunku samochodów zaparkowanych za kordonem. Gdyby nie powaga sytuacji, wybuchnąłby śmiechem: L67 był planem postępowania na wypadek niespodziewanego lądowania latającego talerza i obiektem nieustannych drwin wszystkich, którzy o nim słyszeli. Ciekawe, czy tym wesołkom teraz też było do śmiechu.

Odchylił połę namiotu będącego siedzibą jego zespołu. Sierżant Groot bez słowa podał mu oporządzenie, ale się nie uśmiechał przy tym. Tym razem to się działo naprawdę.

Sierżant miał sześć stóp i sześć cali wzrostu; był czarny, muskularny i groźny tak, jak na to wyglądał. Opuścił RPA (dość gwałtownie) jako nastolatek kilka ładnych lat temu, ale tamtejsza policja nadal z utęsknieniem (zabarwionym obawą) oczekiwała jego powrotu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po przybyciu do Stanów, było zapisanie się do armii; nigdy tego nie żałował. Z Haywardem spotkali się sześć lat temu i ich stosunki oparte były na wzajemnym szacunku.

– Co wiemy o tym czymś? – spytał Groot.

– Absolutnie nic poza tym, że właśnie otwarto drzwi. Jesteś gotów, Shetly?

Kapral Shetly skinął głową, poprawiając mocowanie plecaka mieszczącego aparaturę łączności. Był kościsty i niewysoki, z wystającym jabłkiem Adama. Wyglądał i mówił jak góral z Tennessee, którym zresztą był. Ponadto był urodzonym elektronikiem, zdolnym obsługiwać, zepsuć i naprawić każde urządzenie łączności wymyślane przez człowieka.

– Zaczynam nagranie – zameldował, włączając kamerę TV, którą trzymał na ramieniu, i odwijając kilka jardów kabla z umieszczonego na wozie bębna.

– No to zaczynamy. – Rob nałożył hełm i włączył przymocowaną do niego lampę.

Kolejno wyszli z namiotu, tak jak na ćwiczeniach, na których bezsens wówczas klęli. Przed namiotem czekał pluton ubezpieczający, który zajął pozycje bez jednego zbędnego słowa. W miarę marszu, żołnierz za żołnierzem, zostawali w uzgodnionej wcześniej odległości, by pilnować przewodu prowadzącego do usytuowanej w namiocie aparatury rejestrującej. Bądź co bądź, celem ich wyprawy było zebranie maksymalnej liczby informacji, a w wypadku znalezienia się w ekranowanym pomieszczeniu, możliwy był tylko przekaz drogą kablową. Kordon wojska otworzył swe szeregi, by ich przepuścić, po czym się zamknął, obserwując maszerującą grupę z mieszaniną zazdrości i współczucia. Zatrzymali się na znak Roba o dwa kroki przed rampą.

– Wchodzimy we trzech – polecił – reszta czeka tutaj. Mam przed sobą otwór w kształcie prostokąta o wysokości około ośmiu stóp. Ściany metalowe, grube co najmniej na stopę. Podłoga także metalowa, błękitna, bez wzoru i bez żadnych śladów. Korytarz zakręca po około trzech jardach. Nic więcej nie widać. W chodzimy.

To ostatnie skierowane było do sierżanta i kaprała, reszta dyktowana na wieczną rzeczy pamiątkę, by uzupełnić zapis na taśmie, gdyby nie mogli tego zrobić osobiście po akcji (z różnych przyczyn, jak to jakiś dowcipniś zaznaczył w instrukcji).

Rob przekroczył niski próg i wylądował z lekkim brzękiem na podłodze. Natychmiast ruszył do przodu, zatrzymując się dopiero w załamaniu korytarza i czekając na pozostałych.

– Łączność? – spytał Shetly'ego.

– Na razie wszystko działa. Kręcimy piękny rodzinny film z wycieczki.

– Groot, trzymaj się blisko: jak będę potrzebował wsparcia, chcę je mieć natychmiast.

Sierżant skwitował polecenie mruknięciem, ale Rob wiedział, o co chodzi – mógł sobie oszczędzić śliny. Groot zwykł był działać szybko i skutecznie.

– Ruszamy wzdłuż korytarza! – polecił.

Zdążył zrobić trzy kroki, gdy zatrzymał go głos kaprała: – Łączność radiowa przerwana. Teraz wszystko idzie wyłącznie kablem.

– Dobra. Przed nami drzwi. Zatrzymuję się przed pierwszymi. Brak klamki. W centrum płaszczyzny pomarańczowy dysk. Zamierzam go dotknąć...

Powoli wyciągnął dłoń, czując za sobą sierżanta, ale nie zdążył dotknąć owego dysku: gdy palce znalazły się o jakieś sześć cali od niego, rozległ się cichy szcęk i drzwi opadły w szczelinę w podłodze.

Zaglądając do wnętrza pomieszczenia, nie mógł opanować westchnienia. Stojący z tyłu Shetly,

zaklął pod nosem. Jedynie Groot nie wydał żadnego dźwięku, ale odbezpieczony pistolet w jego rękę mówił sam za siebie.

– Chyba nie będziemy tego potrzebowali – mruknął Rob, wskazując na broń, i odchrząknął. – Drzwi są otwarte i patrzymy na coś, co wygląda jak kabina pilotów tego pojazdu. Są tu tablice kontrolne, wiele rozmaitych instrumentów i ekrany pokazujące nadzwyczaj dokładny obraz otoczenia. Obaj piloci wyglądają na martwych. Jeden leży na pokładzie obok fotela, drugi siedzi pochylony nad tablicą kontrolną. Obaj mają wiele ran wyglądających na cięte, a leżący spoczywa w kałuży czegoś, co może być krwią. Powiedziałem: może, gdyż krzepnący płyn ma... zieloną barwę. Te stworzenia w żaden sposób nie wydają się przypominać ludzi. Podchodzę bliżej.

Rob powoli wszedł do pomieszczenia, mając za plecami obu podoficerów. Groot błyskawicznie sprawdził, czy gdzieś nie czai się kolejny członek załogi i dopiero wtedy schował broń.

– Kapralu, chodźcie no tutaj – polecił Rob. – Chcę mieć zbliżenie tej pary.

– Mam teleobiektyw na tym cacku, sir. A wolałbym za blisko nie...

– Chcę mieć kamerę obok siebie. Jak zamierzacie rzygać, to odwróćcie głowę, żeby nie zapaskudzić scenografii.

– Jak pan chce, pułkowniku – stwierdził z rezygnacją Shetly.

– O tak... doskonale. Istota ma na oko około siedmiu stóp wzrostu i nosi oporządzenie, do którego przyczepione są rozmaite urządzenia. Nie ma ubrania, a pokryta jest ciemnym futrem, przez co nie widać detali anatomicznych. Rany są cięte i klute i jest ich dużo... Skóra dłoni jest ciemna, od wewnątrz nie porośnięta futrem. Dłoń ma sześć... nie, siedem palców bez paznokci, ale zakończonych niewielkimi pazurami. Ma dwoje oczu i otwór nosowy zasłonięty skórzaną fałdą. Brak widocznych uszu. Usta otwarte, ukazujące dwa rzędy zębów przypominających zęby rekina – stożkowate, o poszarpanych krawędziach. To coś jest po prostu brzydkie. Tak, to trafne określenie: brzydkie. Nie chciałbym spotkać go nocą.

Rob się odwrócił, nie zdając sobie sprawy z tego, że przy ostatnich słowach wstrząsnął nim dreszcz. Stworzenie było rzeczywiście odrażające, nawet bez ran, z których sączył się zielonkawy płyn.

– Wrócimy tu na dokładniejszą inspekcję po sprawdzeniu reszty pojazdu. – Ruszył korytarzem, mając za sobą obu podoficerów i komentując wszystko, co widzi: – Na korytarzu nie ma żadnych oznaczeń ani sprzętów. Przed nami pięćdziesiąt drzwi, identycznych jak pierwsze. Zamierzam otwierać je kolejno. Podchodzimy do pierwszych.

Wahał się chwilę, być może podświadomie, nie mając ochoty na obrazek podobny do tego, który widzieli, ale powtarzał sobie, że jeśli nawet byłoby tam kolejne pobojuwisko, to są tu po to, by je odkryć i zbadać. Zły sam na siebie, podniósł dłoń ku pomarańczowemu dyskowi.

Drzwi opadły w dół i potężna, pokryta futrem istota z pałającymi oczyma rzuciła się prosto na niego, krzycząc coś przeraźliwie i unosząc trzymaną oburącz broń.



## Wewnątrz statku

Refleks nakazał działanie jego mięśniom – uskakując w bok, zobaczył, jak z lufy broni trzymanej przez napastnika strzela promień światła, i usłyszał za sobą krzyk bólu. W następnej sekundzie wewnątrz wypełnił huk czterdziestki piątki. Groot w ciągu dziewięciu sekund wypróżnił magazynek pistoletu: po kuli w każde oko, reszta w korpus. Pocisk tego kalibru ma olbrzymią siłę, trafiając w cel z tak małej odległości – napastnik został uniesiony w powietrze i obrócony o dziewięćdziesiąt stopni, po czym zwałił się na podłogę, zamieniając się w bezkształtną masę, która drgnęła na skutek jakiejś stłumionej eksplozji i znieruchomiała.

W ciszy, jaka nastąpiła, niczym grom zabrzmiał stukot pustego magazynka o pokład i szczęknięcie, gdy Groot wsunął w kolbę drugi i przeładował broń, wprowadzając pocisk do komory.

– Jeśliby się pan trochę odsunął, sir, to spróbuję go przewrócić na plecy – odezwał się spokojnie sierżant. – Dziewięć pocisków powinno go załatwić, ale lepiej się upewnić...

Nie przestając celować do leżącej postaci, Groot zrobił dwa szybkie kroki i potężnym szarpnięciem lewej ręki przewrócił ją na plecy.

– Wygląda na to, że przy okazji broń mu eksplodowała w łapie – stwierdził, wskazując zmienioną w miążgę dłoń i opalone na brzuchu futro, w które wtopiły się szczątki broni,

– Ten ma dość – ocenił Rob. – Sprawdźmy resztę kabiny. Sierżant zniknął za najbliższym aparatem, których parę stało na podłodze, i po paru sekundach wyłonił się z przeciwnej strony sali.

– Masa rozmaitych maszyn i żadnych drzwi czy szafek wystarczająco dużych, by ukryć coś takiego. Poza tym pusto, sir.

Rob uspokoił się nieco i w tym też momencie przypomniał sobie okrzyk bólu, który usłyszał, uskakując na bok. Jedynym, który jak dotąd się nie odezwał, był Shetly... Czym prędzej odwrócił się w stronę korytarza – kapral siedział pod przeciwległą ścianą, ściskając lewą ręką przestrelone ramię, ale ani na chwilę nie przerywając filmowania.

– Ledwie mnie drasnął, sir – wyjaśnił, widząc niepokój Roba.

– Obejrzę to draśnięcie. Groot, osłaniaj nas na wszelki wypadek.

Shetly krzywił się z bólu, gdy Rob uwalniał go z uprząży plecaka i rozcinał mundur. Rana była doskonale okrągłym otworem przechodzącym przez całe ciało tuż pod obojczykiem. Z tego, co pułkownik mgliście pamiętał z anatomii, znajdowały się tam głównie mięśnie, nie było ważnych arterii. Krew już krzepła, gdy nakładał na ranę antybiotyk, równomiernie obdzielając ranę wlotową i wylotową, zakładał opatrunek.

– Przełóż rękę przez rozpięty mundur... o tak. Zastąpi, na krótko, temblak. Odprowadzimy cię do...

– Mowy nie ma, sir. Mogę obsługiwać kamerę jedną ręką. Zaczęliśmy to razem i razem skończymy – sprzeciwił się zupełnie nie po wojskowemu Shetly.

Rob po krótkim zastanowieniu zgodził się: trenowali trochę jako zespół, umieli współpracować i jeśli Shetly twierdził, że może filmować, to najrozsądniejsze było skończyć rekonesans w tym właśnie składzie.

– Dobra, Shetly. Ale jak tylko coś będzie nie tak, natychmiast mów. To rozkaz, jasne?

– Tak jest, sir.

– Świetnie! – Pomógł mu wstać, a następnie wyjął swój pistolet, przeładował go i odbezpieczył. – Dalej idziemy według zasad zwiadu bojowego. Stać po bokach przy otwieraniu drzwi i strzelać do wszystkiego, co się ruszy. Groot, gotów?

Sierżant skinął głową, ani na moment nie przestając lustrować korytarza i drzwi, które jeszcze były zamknięte.

Rob wrócił na posterunek, pozostali dwaj szli o dwa kroki z tyłu i jeden z boku, powoli podchodząc do kolejnych drzwi. Shetly pozostał z tyłu, filmując wszystko, a Rob i sierżant stanęli z obu stron drzwi przytuleni do ścian. Rob zbliżył lufę pistoletu do pomarańczowego owalu i natychmiast się cofnął, ledwie drzwi zaczęły opadać. Groot znalazł się wewnątrz w chwili, gdy zniknęły w podłodze, i błyskawicznym obrotem zlustrował pomieszczenie, którego większą część zajmowała jakaś masywna maszyna. Nic żywego nie ukrywało się za nią ani obok drzwi.

– Zostały jeszcze trzy – mruknął, wychodząc na korytarz. Napięcie, skok i rozczarowanie. Żadnego zagrożenia: dwa razy pod rząd pomieszczenia były puste i ciche, nie licząc naturalnie rozmaitych urządzeń czy mebli, których przeznaczenia nawet nie próbowali odgadywać. Przy ostatnich za to spotkała ich niespodzianka – drzwi nie drgnęły, nawet gdy lufa dotknęła pomarańczowej płytki.

– Albo zamknięte, albo zablokowane – ocenił Rob, naciskając na owal dłonią. – Tylko dlaczego?

Zastanawiał się chwilę, po czym włączył umieszczony w hełmie wzmacniacz.

– Wsparcie, słyszycie mnie? Ślicznie. Chcę ochotnika z palnikiem acetylenowym. Zaraz. Nie, nie musi umieć go obsługiwać. Ma go tylko przynieść... Nie, sir... wycofamy się, jak skończymy – to tylko jeszcze jedne drzwi... tak... poczekamy tutaj na sprzęt. Dziękuję, sir. Bez odbioru.

Shetly przysiadł, ciężko opierając się o ścianę, a Rob wyłączył wzmacniacz umożliwiający wgranie się bezpośrednio w sygnał przekazywany przez kamerę. Groot wciąż stał z bronią w pogotowiu, ale zmarszczone czoło wskazywało, że zabrał się poważnie do myślenia.

– Pułkowniku, kim oni są? – spytał po chwili.

– Pojęcia nie mam. Ale nie wydaje mi się, aby byli z Ziemi, tak samo jak ten statek.

– Przybysze z Marsa? To miały być zielone ludziki.

– Nie z Marsa i nie z naszego Układu. Są z daleka, można by powiedzieć, że z gwiazd. Jak sprawdzimy to ostatnie pomieszczenie, wejdą specjaliści. Mam nadzieję, że dojdą, skąd toto jest i jak działa.

– Nie podoba mi się to – warknął Groot – ani trochę mi się nie podoba.

– Święte słowa, sierżancie...

Odwrócili się, jak na komendę wyciągając broń, ale nagły łomot przy wejściu oznaczał jedynie pojawienie się przerażonego szeregowca, uginającego się pod ciężarem palnika i butli. Choć był mokry od potu, spieszył się, jakby mu się ziemia paliła pod stopami.

– Zostaw to tutaj! – polecił Rob.

– Tak jest, sir. – Żołnierz zwałił wszystko na podłogę i odwrócił się, zanim jeszcze skończył mówić.

Gdy ucichł tupot butów, Rob podniósł palnik, ale Groot odebrał mu go tak delikatnie co stanowczo.

– Niech pan mnie osłania, sir. Miałem już do czynienia z palnikami.

Murzyn założył przyciemnione okulary i maskę ochronną, zapalił palnik, wyregulował płomień i pochylił się nad drzwiami. Rob stanął z boku z bronią w rękę, choć prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, z której strony może im zagrażać niebezpieczeństwo.

Po chwili metal zaczął się rozżarzać, a po następnych kilku minutach topić. Ledwie w drzwiach ukazał się otwór, Groot przesunął palnik w dół, tnąc w pobliżu framugi. Metal był twardy i robota postępowała wolno, ale bez przerwy. Gdy dotarł do około jednej trzeciej wysokości drzwi, musiał

przeciąć albo odblokować zamek, gdyż nagle coś zaiskrzyło, zgrzytnęło i drzwi się osunęły w dół. Groot błyskawicznie rzucił się w bok, wyłączając jednocześnie palnik i wyciągając z kabury pistolet. Rob przykucnął z drugiej strony otworu z bronią gotową do strzału. Wewnątrz było ciemno; światło z korytarza rozjaśniało zaledwie najbliższy kawałek podłogi. Nic się nie poruszało; nie dochodził też z wewnątrz żaden dźwięk. Rob jedną ręką odpiął hełm i położył go na podłodze. Włączył reflektor przymocowany do szczytu hełmu i natychmiast cofnął rękę.

Promień oświetlił kształty maszyn i urządzeń nieznanego przeznaczenia... pojemniki...

Rob ostrożnie wstał i nogą przesunął hełm, prowadząc snop światła półkuliście po wnętrzu. Przy przeciwległej ścianie pojawił się jakiś biały kształt...

– Stop! To się rusza! – ryknął Groot. – Proszę to oświetlić, wchodzę!

Sierżant przemknął przez drzwi z niewiarygodną, jak na tak potężnego człowieka, szybkością, ani na chwilę nie wchodząc w snop światła i natychmiast znikając w mroku. Reflektor znieruchomiał, oświetlając humanoidalną postać z uniesionymi w górę rękoma. Nie, nie uniesionymi – przykutymi łańcuchami do ściany nad głową, która obróciła się w ich stronę. Usta drgnęły i dał się słyszeć niewyraźny głos:

– Toworiszcz... pomogicie...

– Niech mnie cholera! – doleciał z kąta pełen niedowierzania głos sierżanta. – Rusek!

# Spotkanie

Hayward podniósł hełm i oświetlił nieruchomą postać, po czym oznajmił:

– Że mówi po rosyjsku, to fakt, ale nie jest człowiekiem, to też jest fakt. Chyba że któryś z was spotkał już kiedyś taką karykaturę jako tajną broń naszych azjatyckich sąsiadów.

– Toworiszcz... Przyjacielu, pomóż – mruknął Groot. – Nie wiem jak kto, ale ja na pewno nie jestem przyjacielem tego tam!

Tylko na pierwszy rzut oka i w półmroku stworzenie można było wziąć za człowieka. Oświetlone tak jak teraz, choćby jedną latarką, nadal pozostawało humanoidalne, ale tu kończyło się podobieństwo. Pokryte było białą skórą, pozbawioną zmarszczek, fałd czy włosów; przypominającą raczej plastik. Owalna głowa umieszczona była wprost na ramionach, bez najmniejszych choćby śladów szyi. Miała dwoje oczu, wielopłaszczyznowych niczym oczy owada, a po obu stronach czaszki rozrzucone były nieregularne otwory, z których jeden otwierał się i zamykał regularnie. Usta były cienkie i proste niczym szrama po cięciu nożem. Ręce zaczynały się mniej więcej tam, gdzie u człowieka, ale miały o jeden staw więcej i zakończone były dwoma dużymi paluchami, umieszczonymi naprzeciw siebie niczym kleszcze. Poniżej paluchów, wyrastających ze spłaszczenia przypominającego dłoń, znajdowały się metalowe obręcze połączone łańcuchem przymocowanym do ściany, wysoko nad głową istoty. Mocowanie było świeże, robione w pośpiechu. Jeden z bocznych otworów zaczął się powoli otwierać i rozległ się głos. To, co początkowo wzięli za usta, przez cały czas było nieruchome.

– Mówicie tym drugim językiem? – słowa były zrozumiałe, choć wymawiane z dziwnym akcentem i towarzyszyło im niskie buczenie.

– Tak, mówimy po angielsku – odparł Rob i spojrzał przez ramię na kaprala. – Nagrywasz wszystko?

– Czysto i wyraźnie, sir. Chociaż i tak w to nie wierzę.

– Jestem.. bolący – oświadczył stwór. – Moje ręce... bolą.

– Jak się nazywasz? – spytał Rob, ignorując sugestię. Z jego punktu widzenia pozycja rozmówcy była jak najbardziej odpowiednia.

– Nazywam się Hes'bu z ludu Oinn. Boli mnie.

– Zaraz się tym zajmę, ale najpierw odpowiesz na kilka pytań. Wiesz cokolwiek o dużych i brzydkich stworzeniach, które obsługują ten pojazd?

Pytanie wywarło wrażenie na istocie – zadrżała i po raz pierwszy otworzyła "usta". Okazały się ostro zakończone niczym dziób papugi i zupełnie puste. Być może miało to oznaczać jakiś konkretny stan ducha, ale obecnie nie mieli pojęcia jaki.

– Blettr... – dobiegł ich głośny szepot i po chwili: – Boli. Rob poszedł po rozum do głowy – i tak w końcu będą musieli odpiąć stworzenie od ściany, choćby po to, żeby nie włożyło pod nogi i nie straszło techników. Jeśli to nastąpi wcześniej, to powinno być przyjaźniej do nich nastawione, a współpraca byłaby pożądana z powodu ogromnej liczby pytań, jakie zamierzają mu postawić ekipy kontaktowe.

– Uwolnimy cię – oświadczył głośno. – To się jakoś otwiera, czy trzeba przeciąć?

– Przy suficie jest bezbarwna tarcza. Trzeba jej dotknąć – odparł więzień.

Faktycznie, na ścianie ponad jego głową, tuż pod sufitem, znajdowała się miniaturowa wersja tutejszego zamka do drzwi. Groot dosięgnął jej z wyskoku i łańcuchy otworzyły się, uwalniając pojmanego.

Sierżant miękko wylądował, ani na moment nie spuszczał wylotu lufy z eks-więźnia.

Ramiona Hes'bu opadły ciężko, podobnie jak i głowa, ale tylko na chwilę. W następnej wyprostował się płynnym ruchem, przybierając ze dwie stopy wzrostu. Dopiero wtedy zauważyli, że jego nogi są wykonane z lśniącego metalu i zaopatrzone również w jeden staw więcej niż ludzkie. Podkreślało to jeszcze wrażenie obcości, jakie wywoływał przybysz. Rob ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami – niech się tym martwią spece od kontaktu. Jego rola powoli się kończyła. Włączył wzmacniacz i spytał:

– Karawan na miejscu? Doskonale. Dajcie mi znać, jak skończą montować służę. Dobra, spróbuję się czegoś dowiedzieć. – Wyłączył urządzenie i zwrócił się do Hes'bu: – Chciałbym zadać ci sporo pytań.

– Nie pytaj. Nie mam dla ciebie odpowiedzi.

– Jestem bolący – odpalił Rob, naśladowując sposób wymowy i akcent tamtego.

Jeśli nie chciał odpowiadać normalnie, to należało mu uświadomić, kto tu komu pomógł i kto jest od kogo zależny. Tym bardziej, że chodziło jedynie o słowa, o nic więcej. Słowa widocznie podziały, gdyż obcy drgnął jak uderzony batem i przez długą chwilę wpatrywał się w pułkownika, po czym spuścił głowę.

– Dobrze zrobiłeś, przypominając mi o tym – odparł. – Jestem wdzięczny, że pomogliście... ale zbyt wielu spraw nie rozumiecie. Mam problemy... mam... przysięga to dobre słowo? Tak? Mam przysięga nie mówić. Mam pytania... Blettr, czy oni żyją?

– Nie. Dwóch przy sterach było martwych, gdy weszliśmy. Trzeci nas zaatakował i został zabity. Ilu ich było na pokładzie?

– Tylko trzech. Teraz muszę zrobić porządek z myślami. Potem powiem to, co chcesz wiedzieć.

Prawie natychmiast rozległ się brzęczyk w słuchawce hełmu i gdy Rob włączył wzmacniacz, posypały się instrukcje. Najwyraźniej szarże zaczynały myśleć i śledzić sprawę na bieżąco.

– Pojazd odkażający jest już na miejscu – odezwał się po ich wysłuchaniu. – Przejdziemy tam. Jest wyposażony w pełen zestaw dwustronnej łączności, tam zajmie się tobą ekipa kontaktowa.

– Niektóre twoje słowa... są trudne do zrozumienia.

– Moim zadaniem było rozpoznanie – uśmiechnął się Rob bez cienia wesołości – i skończy się z chwilą, gdy umieszczą cię w pojeździe, o którym mówiłem. Potem będą rozmawiać z tobą specjaliści przygotowani na taką okazję. Na pewno łatwiej znajdziecie wspólny język.

Hes'bu się nie odezwał, toteż Rob wyszedł na korytarz, wskazując mu gestem, by szedł za nim. Obaj podoficerowie zamykali pochód: Shetly cały czas filmował, Groot zaś ani na chwilę nie wypuszczał z dłoni pistoletu. Dewizą sierżanta było nie wierzyć nikomu i niczemu i do tej sytuacji nadawała się ona idealnie.

Gdy mijali zabitego napastnika, Hes'bu przyjrzał mu się uważnie, nie przerywając jednak milczenia, podobnie jak przy drzwiach sterówki. Wyjście zamykała teraz plastikowa śluza, od której prowadził pneumatyczny rękaw, także z plastyku, aż do drugiej śluzy w drzwiach autobusu przerobionego na pojazd kontaktowy i odkażający równocześnie, który parkował o pięć jardów dalej. Przebyli drogę bez kłopotów i gdy Rob zajął się demontażem śluzy i zamknięciem drzwi, Hes'bu podszedł do jednego z niewielkich okienek ze szkła pancernego, w jakie ze względów psychologicznych wyposażono pojazd. Powitała go niezbyt zorganizowana, ale pełna entuzjazmu salwa lamp błyskowych wojskowych fotografów czekających na taką właśnie okazję. Ostre światło musiało być niezbyt przyjemne dla jego oczu, gdyż błyskawicznie zasłonił je rękoma i od tej chwili trzymał się z dala od okien – zajął się wnętrzem.

– Co to? – spytał, wskazując kamery, śledzące każdy jego ruch, i rząd ekranów na jednej ze

ścian.

– Twoje zachowanie i odpowiedzi będą przekazywane ekspertom, którzy pojawią się na tych ekranach, gdy rozpoczniecie rozmowy.

– To oni tu nie będą naprawdę? Tylko ich obraz?

– Właśnie. Cała reszta to zdalne sterowanie.

Hes'bu się zamyślił, przespacerował na drugi koniec pomieszczenia, dźwięcząc metalowymi stopami po metalowej posadzce, i oznajmił niespodziewanie:

– Nie. Będę rozmawiał z tobą albo z nikim!

– Moim przełożonym się to nie spodoba – oznajmił Rob. – Zapytaj: dlaczego?

– Odpowiedź prosta: w twoim i w moim języku jest takie słowo: honor. Przyszedłeś do statku, znalazłeś mnie, walczyłeś i zabiłeś Blettr. Przyszedłeś ty, a nie twój obraz. To honor. – Hes'bu machnął lekceważąco ręką w stronę kamer i monitorów. – Elektronika nie ma honoru. Będę rozmawiał z tobą albo wcale.

Pojazd był starannie ekranowany i to potrójną warstwą osłon, dlatego nawet wzmacniacz był nieprzydatny, za to wewnątrz zainstalowano telefon. Gdy teraz zadzwonił, Rob zmuszony był go odebrać. Na linii był generał Beltine z wieściami, które zupełnie go zaskoczyły.

– Właśnie rozmawiałem z prezydentem, który obserwował wszystko od chwili waszego wejścia na statek. Pragnie panu podziękować, pułkowniku, za sposób, w jaki zapanował pan nad sytuacją. Prosił mnie też, bym pana poinformował, że w tej kwestii skorzystał ze swoich kompetencji, wbrew opinii doradców, i chce, by pan kontynuował przesłuchanie obcego. Prezydent uważa, że nie potrzeba ekspertów, przynajmniej w pierwszej fazie, gdy pytania dyktuje zdrowy rozsądek. Powodzenia i do roboty!

– Dziękuję, sir. Zrobię, co będę mógł – odparł Rob automatycznie, klnąc w duchu, na czym świat stoi.

Łatwiej było wejść na pokład tego statku, niż brać na siebie odpowiedzialność, na którą nie był przygotowany. Poza tym świadomość, że wszyscy od prezydenta w dół będą mu spoglądać przez ramię i natychmiast wytykać błędy, była mało budująca. Na całe szczęście nie do niego należało podejmowanie decyzji. A co do pytań... cóż, zdrowy rozsądek faktycznie domagał się masy odpowiedzi, a jak o czymś zapomni, to słuchało go tylu specjalistów, że telefon aż się rozgrzeje od dobrych rad...

– Dobra, Hes'bu, na Ziemi goście mają swoje prawa – oznajmił. – Chciałeś rozmawiać ze mną, to sobie pogadamy. Zacznijmy od najważniejszego: kto to są Blettr?

– Przedstawiciele rasy nienawidzącej innego życia, rozumu... w każdej postaci. Są jak zaraza, choć mają rozum. Dawno temu... setki tysięcy waszych lat, wyruszyli z własnej planety i od tej pory stale zabijają.

– A twoja rasa, Oinn, jakie są wasze związki z nimi?

– Próbujemy przeżyć. Nic więcej. Walczymy i cofamy się... od wieków.

– Co robiłeś na pokładzie tego statku?

– Była duża bitwa... niedawno. Mój okręt został zniszczony, a ja straciłem przytomność... inaczej nigdy by mnie nie złapali.

– Wiesz, po co oni przybyli na Ziemię?

– Mogę tylko przypuszczać. – W miarę jak Hes'bu mówił, przerwy stawały się coraz rzadsze, a język coraz bardziej gramatyczny. – Nie rozmawiałem z nimi. Widziałem ciała w sterówce: ten pojazd był trafiony przez broń... nie macie takiego słowa. To nasza broń, która zmienia w pewien sposób to, co trafi... bardzo groźna dla istot żywych. Oni umierali, a pojazd był ciężko uszkodzony...

Tak!

Hes'bu nagle zerwał się na równe nogi i spytał:

– Czy te budynki... czy jesteśmy w pobliżu dużego miasta?

– Jesteśmy w centrum Nowego Jorku. To jedno z największych miast na Ziemi.

– Muszę się dostać na statek! – Hes'bu ruszył ku drzwiom, ale znieruchomiał, widząc pistolet w dłoni Groota wymierzony między własne oczy.

– Dlaczego? – spytał Rob.

– Muszę! – w głosie obcego było tyle ekspresji, że Rob gestem polecił sierżantowi otworzyć drzwi.

Na szczęście rękaw nie został jeszcze zdemontowany, toteż błyskawicznie znaleźli się wewnątrz pojazdu. Na samym końcu dotarł tam Shetly, nieporęcznie trzymając kamerę, którą wraz z przewodami zostawił przed służą. Jedną ręką nagrywał wszystko, co się stało od wyjścia z zasięgu kamer wewnątrz autobusu.

Hes'bu wpadł do sterówki i zajął się studiowaniem wskaźników tablic kontrolnych. Najwyraźniej szybko znalazł to, czego szukał, gdyż podbiegł do jednej z nich i sięgnął ku szeregowi przełączników.

– Stój! – powstrzymał go głos pułkownika. – Mam w ręku broń, z której zabiliśmy Blettra. Może też zabić i ciebie, jeśli ruszysz tu cokolwiek. Opuść ręce i odwróć się.

Powoli!

Hes'bu wykonał polecenie.

– Nie zatrzymuj mnie. Muszę... – zaczął..

– Co? I po co?

-Wyłączyć... zepsuć, o, to. Muszę zatrzymać reakcje... dlatego oni wylądowali właśnie tu. Żeby umierając zniszczyć. Wiedzieli, że giną i zrobili z tego statku wielką bombę, żeby zniszczyć to miasto. Proszę, nie ma czasu. Muszę to zniszczyć!

## Wyniki zwiadu

– Nie ruszaj niczego! – warknął Rob. Na szczęście, wybiegając z pojazdu kontaktowego, zdążył złapać swój hełm; teraz włączył wzmacniacz i polecił: – Z generałem Beltine'em. Niebezpieczeństwo! To pan, generale? Słyszał pan wszystko? Tak, sir. Poczekam.

Wszyscy czterej stali w milczeniu i bez ruchu, czekając na instrukcje. Rob i sierżant nie spuszczaali broni z obcego. Shetly cofnął się o krok i znieruchomiał – jeśliby to była prawda, to i tak nie miał dokąd uciec. Milczenie i oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność.

– Tak! – odezwał się nagle Rob i opuścił broń. – Masz to rozłączyć. Chwilowo nie mamy innego wyjścia, jak wierzyć ci.

Polecenie skierowane było do Hes'bu, który też natychmiast wziął się do roboty. Trwało to zresztą błyskawicznie: wcisnął to, przekręcił tamto, pstryknął tym i cofnął się. Coś zawarczało, szcęknęło i wszystkie wskaźniki i kontrolki pogasty lub znieruchomiały.

– Zrobione. – Hes'bu jakby zapadł się w siebie – Możemy wracać do tego wozu, jak mu tam... kontaktowego.

Po kwadransie, gdy byli już wewnątrz, odcięci ponownie od świata, a do środka pojazdu obcych weszli już technicy, wrócili do przesłuchania. Hes'bu poprosił o szklanekę wody, którą wypił duszkiem, rozwiązując przy okazji kolejny problem – skoro oddychał ziemskim powietrzem i pił ziemską wodę, to musiał mieć metabolizm zbliżony do ludzkiego. Rob zdążył już nieco ochłonać i poukładać sobie kolejność pytań. Pierwsze, jak zdecydował, najlepiej zadać okrężną drogą.

– Gdy pierwszy raz nas zobaczyłeś, zacząłeś mówić po rosyjsku, potem przeszedłeś na angielski. Skąd znasz te języki?

– Z radia, wasze nadajniki są bardzo silne; już dawno przechwyciliśmy sygnały i eksperci opracowali kursy nauki dwóch najczęściej używanych języków. Obejmowały one wszystkich pilotów zwiadu, stąd je znam. Interesująca rozrywka, ten kurs.

Roba zatkało – ciekawy umysł musieli mieć ci obcy, skoro kurs uczący dwóch języków był dla nich rozrywką! Pozbierał się w sobie, starając się nie okazywać zaskoczenia, i zadał kolejne z przemyślanych pytań:

– Po co uczyliście się tych języków?

– Bo się od dawna obawialiśmy, że wasza planeta będzie następna. Walcząc i cofając się, musimy brać pod uwagę różne rzeczy, zwłaszcza że coraz dalej i dalej znajdujemy się od planet ojczystych, przez co zaopatrzenie i walka są coraz trudniejsze. Nie wiedząc o tym, sprowadziliśmy na was Blettr. Kiedy dowiedzieliśmy się o waszym istnieniu, było już za późno: nawet gdybyśmy spróbowali zmienić kierunek, to nic by im nie przeszkodziło zbadać i zniszczyć ten rejon galaktyki. Mamy honor i czuliśmy się winni, że sprowadziliśmy na was, chociaż nieświadomie, zagładę. Przygotowaliśmy się więc na dzień, w którym będziemy musieli was uprzedzić. Nie planowaliśmy tego w ten sposób, ale ten dzień właśnie nadszedł.

Rob, słysząc te rewelacje, spiął się wewnątrz – nie podobały mu się ani wieści, ani wysłannik.

– Starasz się powiedzieć mi, że gdzieś w kosmosie toczy się jakaś wojna i chcecie nas w nią wciągnąć? Dobrze cię zrozumiałem?

– Nie. Musieliśmy was uprzedzić, że zostanieie zaatakowani. Robię to teraz. Mogę wam ofiarować naszą pomoc w przygotowaniu obrony, ale jeśli nie chcecie walczyć i wolicie dać się wymordować, to jest to już wasza sprawa. Nie będziemy się narzucać.



– Wspaniałomyślnie jak cholera, szczególnie że to wyście nam ich tu ściągnęli na kark.

– Nieświadomie.

– Pewnie. Ale skutecznie. A jak nie będziemy chcieli walczyć?

– To was wymordują bez pardonu! Ich wrogiem są wszelkie formy inteligentnego życia. Bombardują planety pociskami niszczącymi życie. Jeśli nie będziecie się bronić, to i tak was unicestwią.

Rob nagle zrozumiał, jak te ostatnie przeżycia go wyczerpały. Przeciągnął się i stwierdził:

– Na szczęście to już nie mój problem. Od decydowania w takich sprawach są ważniejsi. Ja tu tylko zadaję pytania. Poczekaj, wrócę za chwilę.

Wyszedł do kuchni, w której była apteczka, odszukał słoik ze stymulantami i połknął dwie tabletki. Zapowiadała się długa noc.

Była długa – dopiero pięć godzin później Hes'bu nagle oświadczył, że nie odpowie na żadne więcej pytanie, bo jest zbyt zmęczony. Zresztą wszyscy potrzebowali odpoczynku. Naturalnie poza sierżantem Grootem.

– Niech się pan zdrzemnie, sir – zaproponował Murzyn. – Ja tu posiedzę i popilnuję tego przyjemniaczka; tak na wszelki wypadek. Ty, Shetly, też się kładź. Ja sobie muszę pewne rzeczy przemyśleć.

– Wszyscy musimy.

– Też racja. Ale chodzi mi po głowie kilka pytań, na przykład: skąd ma te metalowe nóżki?

– Dobrze pytanie. Jak się obudzi, spytam go o to. Jak coś jeszcze przyjdzie ci do głowy, to daj mi znać. Pewnie inni widzowie wpadną na podobne pomysły. Dobra, idę spać, ale obudź mnie, jak ten tu się ocknie.

Zdawało mu się, że usnął ledwie przed chwilą, gdy poczuł, że ktoś go tarmosi za ramię. Rob zamrugał gwałtownie i ujrzał nad sobą Groota z kubkiem parującej kawy.

– Obudził się? – spytał odruchowo.

– Nie, minęły zaledwie dwie godziny, ale generał Beltine jest na linii, sir.

– Jasne. Zaraz odbiorę. – Rob łyknął gorącego płynu i podszedł do telefonu, ziewając rozziewająco.

– Generale?

– Wygląda na nową niespodziankę. Nie mogę panu przekazać wieści osobiście, bo medycy jeszcze nie skończyli i nie wiadomo, czy można go wypuścić na świeże powietrze. Wysyłam więc kogoś, kto jest zorientowany w sprawie, razem z lekarzem dla pańskiego kaprała. Naturalnie obaj muszą zostać na zewnątrz, dopóki się nie dowiemy, jaki jest werdykt lekarzy.

– Tak jest, sir – i tak nie był w stanie nic innego powiedzieć.

Rozważanie, co znów mogło się wydarzyć, i tak nie miało sensu, poszedł więc do kuchni, łyknął kolejne dwie tabletki i zajął się czekaniem, na szczęście niedługim. Rozległo się pukanie do drzwi, Groot otworzył je i do środka weszli lekarz i dziewczyna. Doktor bez słowa zajął się kapralem, Rob zaś usiłował przekonać sam siebie, że już nie śpi.

Czarne oczy, długie czarne włosy i twarz w kształcie serca, którą znał z fotografii, nie pozostawiała żadnych wątpliwości...

– Nadia Andrianowa – wykrztusił.

– A pan jest pułkownik Robert Hayward – odparła melodyjnym głosem. – Znamy się, choć spotykamy się po raz pierwszy.

Mocno uścisnęła podaną dłoń, potrząsając nią raz zwyczajem Francuzów. Rob wiedział, że ta zgrabna postać i miła twarz o brzoskwiniowej karnacji kryją niepośledni umysł. Rozpoczęła karierę

jako tłumaczka w OGPU i mając fenomenalny talent do języków, ciągle zwiększała swe umiejętności; teraz władała pewnie z piętnastoma. Awansowała do sekcji amerykańskiej KGB z siedzibą w ambasadzie sowieckiej w Waszyngtonie. Nigdy nie była agentem polowym, zajmowała się tylko tym, co zupełnie legalne – czytała rzeczy wydane w Stanach od map pogody po lokalne gazety i dochodziła do tak trafnych prognoz, że nawet jej szefowie nie mogli wyjść z podziwu.

A teraz stała przed nim w samym środku czegoś, co powinno być najtajniejszą z tajnych operacji tak wojskowych, jak i wywiadowczych. Rob stwierdził, że powoli traci panowanie nie tylko nad biegiem wypadków, ale nawet nad sobą.

– Proszę usiąść – zaproponował, bo nic mądrzejszego nie przychodziło mu do głowy. – Może kawy?

– Dziękuję, nie. Ale wdzięczna byłabym za mocną, czarną herbatę z cukrem.

– Zajmę się tym – zaofiarował się Groot.

– Wie pan, co się dzieje na zewnątrz? – spytała, kładąc na podłodze torbę i siadając naprzeciw Haywarda.

Założyła nogę na nogę, a że miała co zakładać, rozproszenie myśli pułkownika sięgnęło szczytu i cofnęło się niechętnie jedynie pod wpływem poważnych wysiłków zainteresowanego.

– Co pani ma na myśli? – spytał niezbyt pewnie.

– Wie pan, że wywiad z Hes'bu był na żywo transmitowany do siedziby ONZ?

– Zapomnieli mi powiedzieć. Jakoś cały czas wydawało mi się, że to ściśle tajna sprawa.

– Nie bardzo – parsknęła. – Pański kraj i mój kraj są w stałej łączności od chwili, w której ten pojazd naruszył naszą przestrzeń powietrzną. Wasze władze wojskowe co prawda próbowały ukryć całą sprawę, ale na szczęście wasz prezydent okazał się rozsądniejszy.

Rob wolał nie wyobrażać sobie, jaka pyskówka musiała poprzedzić oficjalne stanowisko Stanów Zjednoczonych.

– Prasa została poinformowana o sprawie, naturalnie bez podawania szczegółów – dodała dziewczyna – ale członkowie delegacji ONZ oglądali wszystko. Zresztą z powodu tej nietypowej współpracy mogliśmy pomóc wam nowymi danymi, jakie otrzymaliśmy. Wie pan naturalnie o naszym satelicie naukowo-badawczym "Piatnadcać"?

– Oficjalnie nasłuch emisji gwiazdnych na geostacjonarnej orbicie nad Morzem Czarnym. Praktycznie szpiegowski na Turcję i okolice plus badania nad niszczeniem innych satelitów, szczególnie łączności.

– Nieźle – pochwaliła. – Wszystkie projekty zostały wstrzymane, gdy pojawił się ten pojazd, i zajęliśmy się przeszukiwaniem najbliższego otoczenia w kosmosie. Jak na razie nie zaobserwowano żadnych innych pojazdów w naszym sąsiedztwie, ale poszukiwania prowadzone są na okrągło.

– Coś jednak znaleźliście, inaczej pani by tu nie było.

– Racja. Przechwyciliśmy dużą liczbę transmisji radiowych, ogólnie sprawę ujmując, pochodzących z rejonu Jupitera. Nagraliśmy je naturalnie i poddaliśmy analizie. Pomagałam przy niej, jak się pan zapewne domyśla. Po skonsultowaniu się z Katedrą Lingwistyki Uniwersytetu Moskiewskiego doszliśmy do wniosku, że nie są one pochodzenia ziemskiego. Nie mają bowiem nic wspólnego z jakimkolwiek językiem czy narzeczem używanym przez człowieka.

– Więc następny krok jest jasny – mruknął Rob. – Zobaczmy, czy ten tu potrafi to przetłumaczyć. Ma pani ze sobą nagrania?

Nadia wyjęła z torby niewielki dyktafon na mikrokasetę, postawiła na stole i włączyła. Najpierw był szum pola, a potem rozległ się dudniąco-świszczący głos:

– N'slht nweu bnnju kloj ksjuhhsbn bsu...

Rob potrzęsnał głową, więc wyłączyła magnetofon.

– W życiu czegoś takiego nie słyszałem, chyba że to kod podany przez syntetyzator głosu...

– Proszę nie wyłączać – rozległ się głos Hes'bu, a on sam pojawił się w drzwiach sypialni.

– Rozumiesz, co mówią? – Nadia nie wydawała się zaskoczona jego wyglądem.

– Pewnie, to mój język ojczysty. To rozmowy między pilotami, chociaż nie wiedziałem, że mamy w tym systemie jakieś jednostki. Może śledzili ten statek, którym przybyłem... Proszę, muszę usłyszeć więcej.

– Dobra – zdecydował Rob, widząc w drzwiach ziewającego kaprala i czujnego sierżanta z herbatą. – Puścimy to nagranie, ale tylko jak będziesz na żywo tłumaczył. Zgoda?

– Dobrze.

Większość tekstu stanowiły wypowiedzi pilotów w slangu typowym dla tej profesji albo w odniesieniu do kwestii technicznych nawigacji czy silników, co do których nie istniały nawet ziemskie odpowiedniki. Część stanowiły rozkazy, część plotki, a potem Hes'bu zaczął zdradzać podniecenie.

– Będzie jakaś ważna wiadomość... jakiej używa się tylko w bardzo ważnych sprawach... proszą o ciszę radiową...

Na taśmie zapanowała cisza, którą przerwał szybko mówiący głos. Hes'bu słuchał w milczeniu, lekko pochylony nad magnetofonem, i nawet nie próbował tłumaczyć. Rob odczekał jeszcze chwilę i wyłączył nagranie.

– Jeszcze nie! – jęknął Hes'bu.

– Nie tłumaczysz.

– Wiem. Za chwilę, wiadomość nie jest kompletna... Proszę!

Rob zawahał się, po czym włączył magnetofon. Obcy słuchał w milczeniu i powoli opadała mu szczęka. Gdy nagranie się skończyło, pstryknął palcami, zamknął z trzaskiem otwór gębowy i oznajmił:

– Wiadomość jest następująca: musicie się skontaktować z władzami. Z władzami wszystkich krajów i wszystkich języków, bo do nich jest ona przeznaczona...

– Gadaj, co to za wiadomość – zdenerwował się Rob. – Władze słuchają na bieżąco, przynajmniej te najważniejsze.

– To były statki zwiadowcze mojej rasy obserwujące flotę Blettr. Sprawdzono jej kurs i bez dwóch zdań prowadzi on na tę planetę. Wojna zbliża się do was i nic na to nie możecie poradzić. Przykro mi. Zwiadowcy są pewni, że w skład floty wchodzi bardzo duża jednostka. My tę klasę okrętów nazywamy fortecami. Jeśli się nie pomylili, to jest to bardzo zła nowina dla waszej planety. Bardzo zła.

# Badania

Niespodziewanie otwarto drzwi wejściowe i do pogrążonego w półmroku wnętrza wpadły jasne promienie słońca. W drzwiach stał uśmiechnięty generał Beltine z nieodłączną trzcinką w dłoni.

– Lekarze oznajmili koniec kwarantanny – oznajmił. – Metabolizmy gości i nasze różnią się o tyle, że niemożliwe jest przenoszenie chorób. Wobec tego przenosimy się wszyscy do Pentagonu. Pani też, proszę się nie denerwować. Teraz jest to operacja połączona i wasz zespół powinien już być na miejscu. Prasa nie zna całej historii, ale któryś z tych durni z ONZ na pewno ją wypaple przy pierwszej okazji, także wskazany byłby pośpiech. Chcemy was stąd wywieźć, zanim będzie się trzeba przebijać przez prasę.

Na potwierdzenie jego słów na pobliskiej łączce lądował właśnie samolot pionowego startu, a przed drzwiami pojazdu stał wóz sztabowy z włączonym silnikiem. Prowadził do niego szpaler żołnierzy zwróconych plecami do przejścia, z bronią gotową do strzału. W ciągu kilkunastu sekund cała trójka znalazła się w samochodzie, który ruszył czym prędzej na lądowisko. Za kierownicą siedział pułkownik US Army.

– Jak się sprawa rozniesie, to będą niezłe kłopoty, i to na całym świecie – poinformował ich Beltine w trakcie krótkiej przejażdżki. – ONZ zwołuje sesję nadzwyczajną, ale nie mamy zamiaru na nich czekać. Prezydent uzgodnił z Moskwą całkowitą współpracę pomiędzy naszymi krajami w tej kwestii. Musimy działać szybko, a tego nawet najzłośliwszy oszczerca nie powie o ONZ. USA i Rosja przystępują do wspólnego programu obronnego, a ONZ się później do tego dołączy. Zanim znajdziecie się w Pentagonie, pewnie podpiszą już wszystkie papiery. No, jesteśmy.

Samolot typu Arachne, najnowszy typ bombowca taktycznego, został przerobiony na wersję pasażerską i miał sześć foteli w ciasnej kabinie pasażerskiej, usytuowanej zaraz za kokpitem. Drzwi do tego ostatniego były cały czas zamknięte i gdy zamknięto luk, pozostali we troje zupełnie sami.

– Proszę zapiąć pasy – odezwał się głośnik. – Start za trzydzieści sekund.

Hes'bu nie bardzo sobie z tym radził, więc Rob mu pomógł. Ledwie sam zdołał usiąść w fotelu, gdy samolot drgnął i poderwał się niczym szybkobieżna winda. Dopiero po osiągnięciu sporej wysokości rytm silników zmienił się i polecieli w poziomie.

– Nie bardzo rozumiem, co ten mężczyzna wam powiedział – odezwał się Hes'bu. – System rządów, jaki panuje na waszej planecie, jest... rzadko spotykany, a za to niezmiernie skomplikowany.

– Informował o nadzwyczajnych krokach, jakie poczyniono w związku z niebezpieczeństwem, o którym nas zawiadomiłeś – wyjaśniła Nadia. – ONZ to organizacja zrzeszająca przedstawicieli wszystkich państw istniejących na Ziemi, ale jest ona bardzo powolna w działaniu. Dwa największe i najsilniejsze kraje porozumiały się jednakże, by wspólnie poczynić wszelkie kroki niezbędne dla obrony Ziemi. To decyzja empiryczna. Rozumiesz?

– Tak.

– To dobrze. – Wyjęła z torby dyktafon i oznajmiła: – Teraz zaczniesz mnie uczyć swojego języka.

– On jest trudny – stwierdził Hes'bu i zainteresował się krajobrazem za iluminatorem.

– Jestem dobra w uczeniu się języków, więc nie musisz się tym martwić. Zaczynamy. Czy twój język to język fleksyjny czy aglutynacyjny?

– A co to znaczy? – zdziwił się Hes'bu. – Nigdy nie słyszałem tych słów.

– Podam przykład. W angielskim czasownik w czasie teraźniejszym wygląda następująco. Zacznijmy od słowa "mówić": ja mówię, ty mówisz, on, ona, ono mówi. To w liczbie pojedynczej.

W liczbie mnogiej zaś: my mówimy, wy mówicie, oni mówią. To się nazywa odmiana czasownika w czasie teraźniejszym. Jak brzmi w twoim języku czasownik "mówić"?

– Kln'r. – Wyraz miał w środku dziwny klekoczący dźwięk i kończył się chrapliwym kasznięciem.

– Doskonale. – Nadia powtórzyła go wolno i zabrzmiało to tak podobnie do oryginału, że Rob nie był w stanie wychwycić różnicy.

Hes'bu też był pod wrażeniem, gdyż przyjrzał się jej uważnie i nie mówił już nic o trudnościach. Zresztą w ogóle się już nie odezwał, ale to jej bynajmniej nie speszyło. Zabrała się za to lingwistyczne przesłuchanie z taką werwą, uzupełniając nagranie notatkami, że zanim wylądowali, kilkakrotnie zmieniała kasety w dyktafonie.

Wylądowali na zamkniętym parkingu koło Pentagonu i czekająca warta natychmiast zaprowadziła ich do położonej kilka pięter pod ziemią sali konferencyjnej. Zgromadzony był tu taki komplet wyższych dowódców, że obojgu oficerom mowę odebrało. Do szoku dodatkowo przyczyniał się fakt, iż około jedną trzecią obecnych stanowili sowieccy generałowie pobrzękujący medalowymi popiersiami. Zebraniu przewodniczyli sekretarz stanu USA i minister spraw zagranicznych Rosji.

– Nigdy nie sądziłem, że zobaczę ich w jednym pokoju i to nie przy próbie poprzegryzania sobie gardeł – szepnął Rob, wywołując cichy śmiech dziewczyny.

Siedli przy końcu mahoniowego stołu, a Hes'bu zaprowadzono na honorowe miejsce na szczycie.

– Jak przetrwamy ten atak, to moi ludzie w końcu się czegoś nauczą – odparła również szeptem.

– Osobiście nie wierzę w cuda, ale obyś miała rację.

– Przepraszam, sir – odezwał się wyprężony na bacność kapitan US Army – ale zdecydowano, że chwilowo ważniejsze od planowania są badania naukowe. Czy pan i pani Andrianowa pozwolą ze mną?

– Z radością – odparł Rob, wstając. – Tu jest tyle gwiazdek, że się człowiekowi w oczach ćmi. Poza tym wiedzą tyle samo co my: oglądali wszystko na żywo.

W sali, do której zaprowadził ich kapitan, nie było uniformów ani niczego, co przypominałoby porządek wojskowego spotkania, które opuścili. Kiedy uzbrojony wartownik otworzył drzwi, na korytarz buchnęła fala zmieszanych ze sobą głosów. Gdy weszli, nikt nie zwrócił na nich uwagi. Mężczyźni w garniturach, z kieszeniami pełnymi kartek i rozmaitych przyrządów do pisania, dyskutowali w różnych językach, tworząc swoistą wieżę Babel. Z boku stał rzutnik i rozmowy dotyczyły przeważnie wyświetlanych zdjęć. Po dłuższej chwili przez tłum przecisnął się ku nim wysoki mężczyzna, którego łysina lśniła od potu.

– Pułkownikowi Hayward – odezwał się, wyciągając dłoń – moje gratulacje. Wykonał pan kawał solidnej roboty i zasłużył na podziw nas wszystkich. Jestem Tilleman i w teorii podobno przewodniczący tej rewolucji.

– Miło mi pana poznać, profesorze. To moja współpracowniczka, Nadia Andrianowa.

Dla Roba była to faktycznie przyjemność, gdyż Tilleman był najśłynniejszym fizykiem od czasów Einsteina. Był twórcą teorii Stałego Wybuchu jako narodzin wszechświata i jeśli on przewodniczył temu zgromadzeniu, to rzeczywiście musiało się ono składać z największych sław, jakie dało się ściągnąć w trybie natychmiastowym. Sądząc po ilości decybeli – byli tu sami indywidualiści.

– Pozwoliłem im zwołać nieco prasy do waszego przybycia, a teraz spróbuję wziąć towarzystwo w karby. Siadajcie koło mnie, tam jest szansa na najlepszą słyszalność.

Ze sposobu, w jaki się za to zabrał, widać było, że profesor musiał przewodniczyć niejednemu

zebraniu. Na stole przed nim stał solidny kawał drewna, na którym leżał młotek rozmiarów łaski do krykieta. Seria mocnych łupnięć jednym o drugie przypominała średnich rozmiarów przygotowanie artyleryjskie i skutecznie uciszyła obecnych.

– Jeśli szanowni zebrani będą uprzejmi usiąść – oznajmił Tilleman, gdy zapadła względna cisza – to będziemy mogli rozpocząć zebranie. Pierwszą sprawą jest podsumowanie naszej wiedzy w tej sprawie. Wszyscy widzieliście nagranie z wejścia obcego tu pułkownika Haywarda do obcego pojazdu, z przebiegu zwiadu i z przesłuchania obcego. Pułkownik odpowie na wasze pytania po podsumowaniu. Chciałem też zwrócić uwagę obecnych, że nie jest celem tego komitetu ustalanie postępowania z obcymi formami życia, jakie przybyły z kosmosu. To sprawa władz i wojska i z tego, co mi wiadomo, właśnie trwają obrady, co z tym fantem zrobić. Naszym celem jest dostarczenie im kompletnych naukowych ocen i faktów pomocnych w podjęciu takich decyzji. Zaczynamy od biologii, wobec czego oddaję głos szefowi zespołu, doktorowi van Nienes.

Wysoki biolog omawiał zagadnienie ze spokojem i dokładnością charakterystyczną dla Holendrów.

– Mieliśmy do przebadania dwie obce rasy: Blettr i Oinn. O tych pierwszych wiemy obecnie więcej, gdyż mieliśmy okazję dokonać sekcji martwych osobników, zacznę więc od nich. Proszę slajdy.

Światła zgasty i na ekranie opuszczonym z sufitu pojawiło się pierwsze zdjęcie. Wyraźne, barwne i brzydkie prawie jak oryginał. Ukazywało leżącego na wznak Blettra. Sądząc po, ranach od kul, był to ten, którego zastrzelił Groot. Biolog wskaźnikiem pokazywał to, co właśnie omawiał.

– Wzrost około dwóch metrów, humanoid o ciele pokrytym czymś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak futro z włosów, ale nim na pewno nie jest. Slajd poproszę. Oto przekrój mikroskopowy pojedynczego "włosa". Widać tu sporo krwi, ale zielonej barwy, gdyż oparta jest na związkach miedzi, a nie żelaza, jak nasza. "Włos", jak można zauważyć, otacza duża liczba drobnych naczyń krwionośnych, które przenikają także jego wewnętrzne ścianki. Widać też dużą liczbę otworków w zewnętrznych ściankach. Nie będę obecnych męczył detalami, krótko mówiąc, jest to odpowiednik naszych płuc. "Włosy" służą do pobierania tlenu wprost z atmosfery, a następnie przekazują go do krwiobiegu. Ogólna ich pojemność jest dwadzieścia do trzydziestu razy większa niż ludzkich, co pozwala założyć, że albo powietrze na ich macierzystej planecie jest znacznie uboższe w tlen niż na Ziemi, albo też ciśnienie jest niższe. Istota oddycha, poruszając futrem, to białe pasmo przy korzeniu to tkanka mięśniowa. U żywego Blettra "włosy" są w ciągłym ruchu, co zapewne dość oryginalnie wygląda. Slajd, proszę.

Zdjęcia zmieniały się, w miarę jak doktor omawiał przebieg i wyniki sekcji, która zdemontowała praktycznie obcego do jego czynników składowych. Towarzyszyła temu absolutna cisza – nikt nawet kasznięciem nie przerwał prelegentowi. Większość zresztą była pod silnym wrażeniem tego, co słyszała i tego, co widziała; fizycy i inżynierowie nieczęsto spotykają się ze szczegółami działania stołu sekcyjnego.

– Wszystko to – podsumował doktor van Nienes – skłania nas do przekonania, że Blettr jest raczej prymitywnym organizmem. Nie mówię tu o jego zdolnościach umysłowych, gdyż, jak widać, jest to rasa wyprzedzająca nas w rozwoju technicznym, ale o ich budowie i fizjologii. Oczy na przykład są bezpośrednimi wypustkami mózgu, nie – jak u istot na wyższym szczeblu rozwoju – odrębnym organem połączonym włóknami nerwowymi z mózgiem. Mózg zresztą też jest ciekawostką. Wygląda na to, że rozciąga się na obszar całego ciała. O, tu, tu i tu zamiast występujących u nas włókien nerwowych, którymi przekazywane są bodźce w jedną, a polecenia w drugą stronę. W praktyce oznacza to, że na przykład stopą porusza ta część mózgu, która znajduje się wewnątrz tejże

stopy. Światło proszę.

Gdy zapalono lampy, asystenci van Nienesa zaczęli rozdawać opasłe teczki zawierające kserokopie raportu sekcyjnego.

– Zawierają one wszystkie szczegóły – wyjaśnił van Nienes. – Proszę najpierw się z nimi zapoznać, potem poprowadzimy dalej dyskusję. Jeśli chodzi o drugą rasę, Oinn, to mamy znacznie mniej danych, gdyż nie było obiektu, na którym można by dokonać sekcji. Dysponujemy jednak próbkami skóry uzyskanymi z krzesła, na którym siedział, oraz zdjęciami rentgenowskimi i wynikami badań przeprowadzonych przez ukrytą w pojeździe kontaktowym aparaturę.

Rob pogratulował w duchu doktorowi przebiegłości – nawet on nie wiedział o tych urządzeniach, a z wozem kontaktowym miał do czynienia parokrotnie w czasie ćwiczeń. Teraz jednak przestał zwracać uwagę na wykład biologa, gdyż po pierwsze, na tym, o czym była mowa, nie znał się prawie wcale, a po drugie, nie dawało mu spokoju pewne pytanie. Tylko nie mógł dojść do tego, jakie konkretnie... Być może chodziło o nogi Hes'bu, którymi interesował się Groot, a które właśnie omawiał van Nienes.

– Są naturalnie metalowymi protezami, ale nie wiemy, czy zastępują one utracone kończyny istoty, czy też zostały wynalezione, by umożliwić ruch istocie nie mającej naturalnych odnóży. Należy o to spytać Hes'bu przy najbliższej okazji, choć skłonny jestem przychylić się do pierwszej wersji. Chciałem jeszcze zwrócić uwagę na jedno: jak widać, organ ten, częściowo ukryty przez protezę wskazuje, iż jest to osobnik płci męskiej, jeśli można stosować w tym wypadku ziemskie analogie.

Nie, to zdecydowanie nie były nogi, ale Rob nie mógł sobie przypomnieć co. Nie zmieniło to faktu, że nie dawało mu to spokoju.

Najwyraźniej podobne wątpliwości gnębiły sierżanta, bo gdy biolog skończył referować, do sali wszedł jeden z wartowników i poinformował Roberta:

– Przepraszam, sir, ale jest do pana depesza.

W holu czekał na nich porucznik Military Police.

– Proszę tu podpisać, sir. – Podał pokwitowanie. – Przyszło kurierem z Nowego Jorku.

Rob podpisał, odebrał zalakowaną kopertę i rozdarł ją, by nie tracić czasu. Wewnątrz była jedna kartka papieru napisana odręcznie przez Groota z następującą wiadomością:

*Nie trafiłem w jego broń, ani w jej bezpośrednie sąsiedztwo. Sprawdziłem na taśmie. Więc dlaczego broń eksplodowała?*

Tak! Właśnie to nurtowało go od dłuższego czasu. Zjawisko to, choć bezsprzecznie miało miejsce, nie miało żadnego wytłumaczenia. Prawda – zdarzyło się wiele i to błyskawicznie, ale wszystko miało logiczne uzasadnienie.

Poza bronią Blettra, która wybuchła bez powodu.

## Wieść o zagładzie

Rob przespał sześć godzin, co było dużym sukcesem, podobnie jak udane wymknięcie się z dalszego ciągu spotkania – od dwudziestu ośmiu godzin był na nogach, i to spędzając czas raczej pracowicie. Wojskowi też jeszcze radzili, gdy udał się na zasłużony odpoczynek, i nikt nie wydawał się za nim szczególnie tęsknić.

Ziewając przeraźliwie, wziął prysznic – najpierw gorący, potem zimny. Gdy wyszedł z kabiny, miał całkiem niezły humor jak na kogoś, kto powinien zamartwiać się inwazją i prawdopodobnym zniszczeniem planety, na której żył. Rob nie martwił się z prostego powodu: zrobił, co mógł, a nic więcej i tak nie mógł na to poradzić. Poza tym sytuacja ciągle wydawała mu się surrealistyczna i myśl o możliwości galaktycznej wojny jakoś nie bardzo chciała trafić do jego świadomości w tak krótkim czasie. Nadia obiecała poinformować go o wszystkim, co zdarzy się w czasie jego drzemki, wykręcił więc numer informacji i zabrał się do zlokalizowania dziewczyny.

Podobnie jak inni uczestnicy obu spotkań, miała zakaz opuszczania Pentagonu. Zakwaterowana została w kompleksie pielęgniarek lokalnego szpitala i bez trudu otrzymał numer telefonu do jej pokoju. Odebrała po drugim sygnale.

– Dzień dobry. Chciałaby pani zjeść ze mną śniadanie? – spytał bez wstępów.

– Doskonały pomysł, pułkowniku Hayward...

– Rob, jeśli pozwolisz.

– Oczywiście. Mów mi Nadia. Więc gdzie się spotkamy?

– Kafeteria numer sześć. Mogłbym ci zacząć tłumaczyć, jak tam trafić, ale i tak byś się zgubiła.

To jest Pentagon, bądź co bądź. Poproś o przewodnika i spotkamy się za kwadrans. OK?

– Zgoda.

Rob pił kawę, gdy zjawiała się Nadia. Podsunął jej drugi kubek z czarnym płynem. Była blada, a podkrążone oczy podkreślały zmęczenie emanujące z całej postaci.

– Czy ty przypadkiem zdążyłaś się położyć? – spytał podejrzliwie.

– Nie, nie było czasu. Pracowałam nad ich językiem i muszę bezkrytycznie stwierdzić, że zrobiłam spore postępy. Pomocny był zapis tłumaczenia Hes'bu tych transmisji radiowych. Ta kawa zaczyna przywracać mi życie.

– Chcesz coś zjeść?

– Za chwilę.

– Nadal nie mam pojęcia, jak ty możesz zrozumieć coś z tego bełkotu. Poza tym Hes'bu powiedział, zdaje się, że to trudny język.

– Powiedział, ale się mylił. Język ten jest uproszczony i zorganizowany podobnie jak esperanto. Kiedy pozna się zasady, to pozostaje tylko nauczyć się słówek.

– Więc Hes'bu skłamał? – spytał po chwili Rob.

– Możliwe. A może chodziło o jakieś obiekcje kulturowe, na przykład to, że rozmawiał z przedstawicielką obcej rasy. Tak mało wiemy o tych istotach. Wkrótce jednak powinniśmy dowiedzieć się więcej, gdyż w drodze jest statek, z którymś z ich wyższych dowódców. Po zażartej dyskusji w końcu pozwolono Hes'bu na skontaktowanie się ze swoimi przy pomocy radia. Oczyszczono na ich przyłot Washington National Airport; wkrótce mają tu być.

– Chciałbym to zobaczyć.

– Zobaczysz. Będzie transmisja dla Pentagonu i obejrzymy to sobie w telewizji. Zdaje się, że mówiłeś coś o śniadaniu?



Byli tak głodni, że pochłonęli tłusty bekon i przypalone jajka, po czym nieprzyjemny smak śniadania splukali kolejną porcją kawy (ta akurat była wyśmienita). Rob usiadł wygodniej i westchnął z zadowoleniem.

– Wszystko, co Hes'bu nam powiedział, mogło być kłamstwem – oświadczyła niespodziewanie dziewczyna.

Rob westchnął ponownie, tym razem z satysfakcją.

– Wiem – stwierdził. – Nad tym samym się zastanawiałem. Naturalnie to wszystko może także być prawdą, tylko że nie mamy żadnego sposobu, by to sprawdzić. Bez medium raczej trudno będzie pogadać z martwym Blettr.

– To może ja wystąpię w roli *advocatus diaboli*, skoro poruszyłam ten temat. Dlaczego Hes'bu miałby kłamać?

– A dlaczego miałby mówić prawdę? Niczego nie możemy być pewni, a oboje zostaliśmy wyszkoleni, by szukać wątpliwości, które pomogą znaleźć ukryte fakty. Uczono nas, jak składać łamigłówki z drobnych informacji, by na ich podstawie dojść do całościowego obrazu sytuacji. Może dlatego właśnie oboje mamy teraz wątpliwości. Sprawdźmy więc dokładnie, ile i co wiemy: mam na myśli to, co naprawdę wiemy, a nie to, co nam powiedziano.

– Też mi to przyszło do głowy. Zaczniemy po kolei: po pierwsze, statek kosmiczny wylądował w Central Park. – Nadia odliczała na palcach. – Po drugie, miał na pokładzie przedstawicieli dwóch obcych ras. Część żywych, część nie; część uzbrojonych, część wyglądających na więźniów. To są fakty, a nie słowa Hes'bu. Chciałabym znać trochę więcej faktów, na przykład: dlaczego wylądowali właśnie tam, dlaczego przybyli na Ziemię i kto pilotował ten statek.

– To ostatnie jest raczej jasne. Przy sterach byli... – zamilkł, zrozumiałwszy nagle sens jej wypowiedzi, i uśmiechnął się. – Masz bardzo podejrzliwy i zboczony umysł z wyraźnymi naleciałościami wykonywanego zawodu. Moje gratulacje.

– A ty nie masz?

– Mam i dlatego ci pogratulowałem. Coś w tej sprawie śmierdzi i to porządnie; ta para przy sterach mogła być martwa przed lądowaniem. Hes'bu mógł pilotować statek, potem ładnie zaaranżować ciała w sterówce i zakuć się w przygotowane łańcuchy. Miał na to aż nadto czasu, zanim automat otworzył drzwi i weszliśmy na pokład.

– Ale zostaliście zaatakowani przez żywego Blettra...

– Tak, tylko że coś w tym ataku od początku nie daje mi spokoju. Widziałaś notatkę od Groota – dlaczego ta broń eksplodowała?

– Ty tam byłeś.

– A ty byłaś na wynikach sekcji. Części mózgu Blettra sięgają do kończyn, tak? Nie zakończenia nerwowe, ale części mózgu. Znasz się na mikroelektronice?

– Prawie w ogóle – przyznała.

– To posłuchaj: my możemy to zrobić, a poziom ziemskiej techniki jest znacznie mniej zaawansowany niż poziom techniki obcych. Co do tego wszyscy są zgodni. Na Ziemi były już przeprowadzane w ciągu ostatnich lat tego rodzaju próby i to udane. Połączenie narkotyków i hipnozy wraz z mikro-nadajnikiem ukrytym bezpośrednio przy ciele, czyli tak, by miał kontakt ze skórą. Może to spowodować, że poddana próbom osoba wykona z góry zaprogramowane i wymuszone czynności w określonej kolejności, nie mając o tym pojęcia i zupełnie nad tym nie panując. W broni mógł być ukryty taki właśnie nadajnik, co przy rozgałęzieniach mózgu daje znacznie szersze możliwości i większą pewność zamierzonego działania niż u człowieka. Dla nieprzytomnego Blettra hasłem zachowania "Atak" był sygnał z nadajnika, dla którego rozkazem było otwarcie drzwi do kabiny.

Łatwo można było przewidzieć, że nagle zaatakowani odpowiemy ogniem i zabijemy napastnika, uniemożliwiając sobie tym samym odkrycie prawdy. Umieszczenie nadajnika w broni miało jeszcze jedną zaletę poza łatwiejszym oddziaływaniem na mózg: musiał on zostać zniszczony, by zatrzeć ślady. Łatwiejszą do przyjęcia jest eksplozja... w wyniku przypadkowego trafienia niż wybuch ekwipunku czy eksplozja... pozostawiająca w ciele wyrwę trudną do wytłumaczenia...

– To dość niesamowita teoria – mruknęła zamyślona. – I prawdę mówiąc, nieco fantastyczna.

– A co nie jest niesamowite czy fantastyczne w całej tej historii? Poza tym jak na razie jest to jedyna teoria spójnie wyjaśniająca wszystkie wątpliwości i to bez brania pod uwagę żadnego słowa Hes'bu.

– Zgadza się. Pozostaje tylko jedno pytanie: po co to wszystko? Tak dokładne przygotowania wymagają jakiegoś naprawdę ważnego celu.

– Odpowiedź jest prosta: skłonić nas do wypowiedzenia wojny Blettr. Poza deklaracją słowną Hes'bu ma dowody na to, że jego wersja jest prawdziwa. Dopiero teraz okazuje się, że one także nie świadczą o prawdziwości jego słów.

– A to oznacza... że możemy wziąć udział w konflikcie o skali, jaką trudno sobie wyobrazić, nie wiedząc, po czyjej stronie jest racja. Opieramy się przecież jedynie na zeznaniach jednej osoby, które mogą być kłamstwem. Pół na pół, że mówi prawdę lub że kłamie.

– Owszem. Tylko jedna poprawka: nie "możemy", bo już jesteśmy uczestnikami tego konfliktu. I to jest właśnie to, co mi się najbardziej nie podoba: podjęcie decyzji, która może doprowadzić do zagłady Ziemi i ludzkości, bez wysłuchania drugiej strony konfliktu.

– Masz rację. Tylko co możemy na to poradzić?

– Niewiele. Raczej trudno byłoby nam polecieć w kosmos i nawiązać kontakt z Blettr, prawda? – uśmiechnął się smutno. – Możemy jedynie poinformować zwierzchników o naszych podejrzeniach i doradzić dużą ostrożność w podejmowaniu decyzji, dopóki nie poznamy większej liczby przekonujących faktów. Obojętnie, w którą stronę przekonujących...

– Spójrzcie! – przerwał im czyjś okrzyk. – Zaczęło się! Ani Rob, ani Nadia nie dołączyli do spontanicznego pędu ku telewizorom; ze swoich miejsc mogli wszystko dobrze widzieć, a żadne z nich nie lubiło tłoku. Na ekranie pojawił się pojazd kosmiczny, niby nic wielkiego – wielokrotnie, na rozmaite sposoby pokazywana w rozmaitych filmach sf scena powolnego opadania przez kilka ostatnich stóp po błyskawicznym przyziemieniu. Tylko że, podobnie jak lata temu pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu, to działo się naprawdę. To nie był film.

– Wydaje mi się, że nie jest to szczególnie sprzyjający moment, by informować o czymkolwiek władze – zauważyła Nadia – zwłaszcza że nasze podejrzenia nie mają żadnej solidnej podstawy.

– Racja. Natomiast nie szkodzi sporządzić pierwsze raporty i dopilnować, by zostały one doręczone aż do samej góry.

– Mam lepszy pomysł: niech to będzie jeden raport w dwóch językach. Daj mi kopię swojego, przetłumaczę go i postaram się, by dotarł przez znajomych do Biura Politycznego. Wątpię, by ktokolwiek zwrócił na niego uwagę, ale dokument będzie na miejscu. Co proponujesz dalej?

– Odpoczynek. I to w twoim wypadku natychmiastowy. Ja postaram się wcisnąć na spotkanie z przedstawicielami Oinn. A potem zamierzam wziąć do galopu Hes'bu – po pierwsze będą tu ważniejsi od niego do negocjacji, po drugie potrzebujemy jak najwięcej informacji, a najlepiej będzie je wycisnąć właśnie z niego. Musisz mieć go stale do dyspozycji, choć na razie twoje postępy lingwistyczne winny stanowić dlań słodką tajemnicę. Jeżeli opanujesz ich język, znacznie ułatwi nam to uzyskanie nowych informacji o naszych sprzymierzeńcach, przepraszam za wyrażenie.

– Brzmi rozsądnie. Skontaktuj się ze mną, jak będziesz miał raport. Idę spać, a potem biorę się

za konwersacyjny kurs oinńskiego.

– Miłych snów.

Na spotkaniu chciał być niemal każdy z Departamentu Stanu i większość oficerów, mających jakie takie pojęcie o tym, co się dzieje. Rob musiał więc pociągnąć za wszystkie sznurki i użyć wszystkich kontaktów, by dostać miejsce w ostatnim rzędzie sali, w której odbywało się spotkanie; a nie była to mała sala. Odpowiadało mu to idealnie, gdyż chciał widzieć, a nie być widzianym.

Sala ucichła, gdy trzech obcych weszło na podium. Ubrani byli w prawie identycznej długości szaty z ciemnego materiału, udrapowane na podobieństwo rzymskich tog. Hes'bu był nagi – rozebrali go strażnicy czy też służyło to innemu celowi? Następne pytanie. Co ciekawsze, wszyscy mieli normalne nogi, nie metalowe protezy. Za to jeden miał metalową dłoń, drugi całe ramię. Jedyne przewodniczący delegacji zdawał się organicznie kompletny. Kolejne pytanie.

Sekretarz stanu wygłosił krótkie przemówienie powitalne, po czym przedstawił przewodniczącego imieniem Ozer'o, piastującego rangę odpowiadającą admirałowi. Zabrzmiały krótkie oklaski, gdy skończył. Ozer'o wstał i podszedł do mikrofonu.

– Witani was mieszkańcy Ziemi. – Jego angielski był prawie doskonały, nawet pod względem akcentu. – Przykro mi, że pierwsze spotkanie naszych ras nastąpiło w tak nieszczęśliwych okolicznościach. Przez wiele lat byliśmy świadomi waszego istnienia na podstawie waszych transmisji radiowych. Potem nauczyliśmy się waszych języków i zwyczajów. Jesteśmy pełni podziwu dla waszej pomysłowości i szybkości, z jaką postępuje wasz rozwój. Nasza rasa jest stara i uporządkowana od dawna i nieprzypadkowo nigdy nie kontaktowaliśmy się z wami. Powodem takiego postępowania było nasze poczucie honoru, gdyż historia naszych zmagañ z odwiecznym wrogiem, jakim jest rasa Blettr, nauczyła nas, że jakakolwiek próba wpływania przez starą kulturę na młodą kończy się źle dla tej ostatniej. Obserwowaliśmy was uważnie, życzyliśmy wszystkiego najlepszego i trzymaliśmy się z dala. Teraz niestety wszystko się zmieniło – odwieczna wojna szalejąca w galaktyce zbliżyła się do nas, gdyż część floty Blettr leci w tym kierunku, by was zniszczyć. Jest moim smutnym obowiązkiem powiadomić was, że nie jesteśmy w stanie ani ich powstrzymać, ani też zmusić do zmiany kursu. Możemy tylko was ostrzec i zaoferować radę i pomoc w obronie planety, jeśli taka będzie wasza wola. – Zamilkł na chwilę, spoglądając po sali, i wydał dźwięk prawie doskonale naśladowujący ludzkie westchnienie. – Z jeszcze większą przykrością zmuszony jestem powiadomić was o ostatnich danych uzyskanych przez nasz wywiad. W skład floty wroga wchodzi jednostka największej klasy o rozmiarach niewielkiej planetoidy. Postępowali już poprzednio w ten sposób, tak że wiemy, na co się zanoszą: chcą wylądować tu i zniszczyć życie na tej planecie. Nie zamierzają niszczyć planety czy osiągnąć waszej cywilizacji. Chcą natomiast całkowitego unicestwienia inteligentnego życia, jakie tu zastaną.

Przeczekał stłumiony pomruk niedowierzania, jaki spowodowała ta nowina, i dokończył znacznie ciszej:

– Są obecnie oddaleni o około trzy tygodnie waszego czasu, tyle zajmie im przyłot tutaj. Należy się ich spodziewać za około dwadzieścia jeden ziemskich dni. Jeśli nie zdołamy ich powstrzymać przed lądowaniem, oznacza to koniec waszej cywilizacji.

# Bitwa o Ziemię

Salę wypełniły pełne gniewu okrzyki, choć Rob zastanawiał się, czy przypadkiem gniew nie maskował strachu. Sam milczał, przyglądając się stojącemu ze spuszczoną głową obcemu, i po raz kolejny zadawał sobie pytanie: czy to historyczne przemówienie było prawdziwe, czy też było kolejnym elementem skomplikowanej gry? Jedyłą odpowiedź mógł dać czas i przebieg wydarzeń, ale wtedy mogło już być za późno. Sądząc po zachowaniu innych, które właśnie obserwował, rezerwa jego i Nadii była czymś niespotykanym. Czyżby tylko oni dwoje mieli wątpliwości?

Ozer'o uniósł ręce i gwar powoli przycichł.

– Moi przyjaciele z planety Ziemia, wiercie mi, że niełatwo było mi powiedzieć to, co usłyszeliście. Mogę jedynie dodać, że ofiarujemy wam całą pomoc, jaka tylko leży w granicach naszych możliwości. Możliwe jest zniszczenie fortecy, gdy znajdzie się ona w atmosferze planety i spróbuje lądować; parokrotnie w przeszłości nam się to udało. Nie zawsze, muszę to przyznać, ale uczymy się z każdą porażką. Techniczne szczegóły mogę wyjaśnić waszym ekspertom i naukowcom, teraz jednak mogę wam powiedzieć, jakie środki należy przedsięwziąć, by obronić Ziemię. Mamy działa energetyczne, które muszą być zainstalowane na powierzchni planety, by skutecznie prowadzić ogień, zużywają bowiem zbyt wiele energii i są zbyt duże, by można je było w pełni wykorzystać na pokładzie okrętów. Mogą one w określonych warunkach zniszczyć nawet tak wielki obiekt jak forteca. Powinny być umieszczone na którymś z biegunów ze względu na dobrą konfigurację pola magnetycznego otaczającego waszą planetę, które wy nazywacie Pasem Van Allena. Dobrze się też składa, że te rejony Ziemi nie są zamieszkałe, gdyż promieniowanie powstające jako efekt uboczny użycia tych dział jest na dłuższą metę szkodliwe dla życia organicznego. Biegun Północny ma zbyt cienką powłokę lodową, by utrzymała ona ciężar tych dział, generatora i stanowiska prowadzenia ognia. Rozumiem jednak, że Biegun Południowy to solidny ład pokryty skorupą lodową, toteż jeśli osiągniemy porozumienie co do obrony Ziemi, najlepiej byłoby właśnie tam zainstalować obronę. Ale decyzja jest wasza i tylko wasza. Naszym jedynym celem jest pomóc przetrwać przyjaznej formie życia.

Rob wyłączył dyktafon, na który nagrywał to wystąpienie, i wyszedł ogłuszony pełnymi entuzjazmu okrzykami, jakimi zgromadzeni zareagowali na przemówienie Ozer'o.

Rob znalazł Nadię w pozbawionym okien pokoiku, służącym jej za biuro.

– Gdzie Hes'bu? – spytał.

– Śpi. Stwierdził, że jest zmęczony, ale myślę, że to wymówka, żeby mieć parę godzin spokoju. Teraz porozumiewamy się w jego języku i coś mi się widzi, że moje pytania nie napawają go zbytnim entuzjazmem.

– Daje choć jakieś konkretne odpowiedzi?

– Niektóre. Co do protez stwierdził, że jego rasa toczy tak wyczerpującą wojnę, że nikt nie jest z niej wykluczony. Gdy żołnierze zostają kalekami, przechodzą rehabilitację, otrzymują protezy i wracają do walki.

– Brzmi rozsądnie. Z tej trzyosobowej delegacji dwóch ma metalowe części. To rzeczywiście musi być ciężka wojna.

– A jak spotkanie?

– Bałem się, że o to zapytasz. Wychodzi na to, że mamy zostać celem inwazji i całkowitego zniszczenia, przynajmniej według tego, który gadał. Nazywa się Ozer'o. Proszę, nagrałem dla ciebie to wiekopomne przemówienie.

Oboje przesłuchali je w milczeniu, a Rob był nawet bardziej przygnębiony niż za pierwszym razem. Przy ponownym aplauzie widowni wyłączył magnetofon.

– Kupiłbyś u niego polisę ubezpieczeniową? – spytała rzeczowo.

– Nie. Używanego samochodu też nie, ale to może być zboczenie zawodowe: jesteśmy zbyt podejrzliwi, doszukując się w jego słowach znaczeń, których tam nie ma.

– Nie, Rob. Nasze rozumowanie jest prawidłowe: jak dotąd mamy tylko słowa i żadnych dowodów świadczących o ich prawdziwości czy fałszu. Prawem i obowiązkiem jest mieć w tym momencie wątpliwości.

– To co robimy?

– Nic. Poza zaalarmowaniem kogo trzeba. I znalezieniem sposobu skontaktowania się z "wrogiem", gdy tylko on się pojawi.

– Nie licząc tego, że inni wymyślą dla nas i tak wystarczającą liczbę zajęć – mruknął Rob.

Okazało się, że Rob miał całkowitą rację. W ciągu następnych dni stracił z oczu Nadię i jej studia lingwistyczne, gdyż wszystko zaczęło gnać w zwariowanym tempie, kierowane jednym celem: zainstalowaniem i przygotowaniem do działania stanowisk ogniowych na biegunie, zanim przybędzie nieprzyjaciel. Rob zaś był w zespole łącznikowym z obcymi. Trzeba było ewakuować taktyczne bazy badawcze, zorganizować zaopatrzenie w materiały, no i pomagać w bieżących sprawach, które mnożyły się jak grzyby po deszczu.

Przy okazji miał możliwość podziwiać technologię gości, która wprawiała go (i nie tylko jego) w szczerzy podziw. Wyglądało na to, że Oinn całkowicie opanowali siłę grawitacji, choć byli ciągle zbyt zajęci pracą, by wyjaśnić teorię czy zasady działania poszczególnych urządzeń. Na lodowych równinach lądowały potężne krążowniki, z których wyładowywano masywne działa energetyczne, mocowane następnie do litej skały pod lodem. Kable przesyłowe o średnicy większej niż jard łączyły je z podziemną siłownią umieszczoną w jaskini wykrojonej w skalnym masywie w ciągu jednego dnia. Szybkość i rozmiar całego przedsięwzięcia były niewiarygodne, a przecież ludzie widzieli ten proces na własne oczy.

Okazało się zresztą, że pośpiech był jak najbardziej wskazany – ziemskie obserwatoria przeszukujące region o podanych koordynatach, dostarczonych przez Oinn, zlokalizowały dużą grupę obiektów poruszających się po trajektorii stycznej z Ziemią. Największy z nich pomimo sporej jeszcze odległości widoczny był w teleskopach umieszczonych ponad atmosferą nie jako punkt, lecz jako dysk, co dobitnie świadczyło o jego wielkości.

– Za kilka godzin rozpoczniemy ostrzał – wyjaśnił Ozer'o grupie ziemskich obserwatorów skupionych w jednym z narożników potężnego centrum ogniowego. Na samym jego środku widać było nieco rozmazaną projekcję holograficzną, na której Ozer'o wyjaśniał założenia planu.

– Podstawą jest zasada, że energia jest tym słabsza i bardziej rozproszona, im większą odległość ma do pokonania. Znacze ją, prawda? Ponieważ wszystkie rodzaje broni, jaką mamy zamiar użyć w tej walce, oparte są na emisji energii, odległość od celu jest nader istotna w każdej fazie operacji. Korzystny jest fakt, że odległość ta ciągle się zmniejsza, przez co każdy kolejny cios będzie silniejszy. Zwróćcie uwagę, że cel wygląda na chmurę meteorytów skalnego pochodzenia, czym zresztą istotnie jest. Aby oszczędzić załogi i statki, nieprzyjaciel pcha przed sobą osłonę skalną, ma też nadzieję, że zużyjemy sporo energii, by wpierw ją zniszczyć, zanim dobierzemy się do fortecy, która została skonstruowana w oparciu o planetoidę. Ma niestety rację, gdyż nie możemy jej osiągnąć, zanim nie uporamy się z osłoną skalnych odłamków. Forteca składa się z części umieszczonej we wnętrzu planetoidy oraz z drugiej, zbudowanej na jej powierzchni, ale po przeciwległej stronie niż ta, która jest skierowana w naszą stronę. Aby dostać się do jej głównych

elementów, musimy przebić się przez grubą warstwę skały działającą jak tarcza. Będą naturalnie próbowali nas zaatakować, ale mamy spore zapasy energetyczne i tarcza, która zwykle jest nastawiona na minimum, by powstrzymać śnieg, teraz ma maksymalną moc. Wątpię, by zdołali ją zniszczyć. Będą też zapewne próbowali bombardować konwencjonalnymi raketami czy torpedami, ale na drodze ich okrętów jest kordon osłonowy naszej floty. Mało prawdopodobne jest, aby udało im się przebić w pierwszym ataku. Aha, zaczęło się!

Ledwie skończył, gdy wszyscy poczuli wibrację skały i przepłynęła przez nich potężna dawka energii, stawiając wszystkim włosy na baczność. Nie było żadnego widocznego efektu użycia działań energetycznych poza tym gigantycznym wyładowaniem energii.

A potem niebo oszałało – *aurora australis*, nigdy nie zachowująca się tak dramatycznie jak *aurora borealis*, teraz za jednym zamachem nadrobiła zaległości. Od horyzontu po horyzont nocne niebo stanęło w płomieniach; z górnych warstw atmosfery spłynęły płyty srebrzystego ognia, na przemian z tęczowym spektrum kolorów drgających i jasnych niczym w słoneczny dzień.

Nie zatrzymało to zresztą atakujących; na hologramie widać było szereg jasnych rozbłysków, które Ozer'o określił krótko:

– Skały z osłony meteorytovej. Nawet nie zaczęliśmy im się dobierać do skóry.

Sytuacja taka trwała przez wiele godzin: niebo wariowało pod wpływem wyładowań, skały na ekranie rozbłyskiwały, a flota inwazyjna nadal zbliżała się do Ziemi.

– Zbliżamy się do finału – w pewnej chwili niespodziewanie oznajmił Ozer'o, choć dla obserwujących bitwę ludzi nie różniła się ona niczym od kilku ostatnich godzin. – Będą musieli zmienić kurs, bo nie przebiją się przez nasz ogień. A wtedy nasze komputery zdołają ustalić ich zamierzone miejsce lądowania. Przegrupujemy się i walka nabierze tempa. Jak dotąd, to oni dyktowali zasady; teraz to się zmieni. Straciliśmy dwa patrolowce, ale znamy w końcu ich dokładną liczebność. Teraz musicie mi wybaczyć.

Rob czuł narastającą frustrację i bezsilność; coraz bardziej żałował, że rzucił palenie – miałby czym zająć ręce. Żałował też, że nie ma tu Nadii, przynajmniej mogłaby na bieżąco podsłuchiwać obcych, którzy teraz wyraźnie się rozgadali, nie próbując nawet tłumaczyć ludziom biegu wydarzeń. Jeśliby oceniać to po głosach, to bez dwóch zdań napięcie rosło. W pewnym momencie jeden z operatorów wrzasnął coś, bijąc pięścią w konsolę, po czym wściekle gestykulując, wskazał na projekcję holograficzną.

Obraz zmieniał się raptownie – planetoida wysuwała się z za porozrywanej i rozrzedzonej osłony skał. Na chwilę skończyły się eksplozje, by rozpocząć się ponownie na jej powierzchni. Błyskawicznie z pojedynczych rozbłysków zrobiło się morze ognia rozbłyskujące punktowo w miarę kolejnych trafień.

Operator pisnął ponownie, paru innych mu zawtórowało, ale nie były to bynajmniej okrzyki zwycięstwa, mimo iż kurs planetoidy przestał być linią prostą – przypominał raczej sinusoidę i to dość nieregularną, zupełnie jakby dostała czkawki. Zachowanie obcych stało się zrozumiałe, gdy z boku projekcji wypłynął biały kształt powoli przesłaniający obraz. Jego coraz wyraźniejszy, kolisty kształt i powierzchnia, poznaczona kraterami i pocięta łańcuchami górskimi, były dziwnie znajome.

– Księżyc! – ktoś z ludzi w końcu go rozpoznał.

To rzeczywiście był Księżyc, a forteca pomimo niszczącego ostrzału i coraz wyraźniej szych problemów z utrzymaniem kursu zmierzała wprost ku niemu, by po chwili skryć się za jego tarczą. Zapanowała cisza – i ludzie, i obcy siedzieli nieruchomo, wpatrzeni w projekcję tarczy Księżyca.

Bezruch przerwał dopiero Ozer'o, podchodząc do ludzi i kłapiąc ustami w silnej emocji.

– Chyba wam coś nie wyszło – powitał go Rob, otrzymując w odpowiedzi mordercze

spojrzenie.

– Niestety to prawda. Zastosowali nową odmianę planu inwazyjnego, dostosowując ją do anomalii waszego systemu planetarnego, którego nie wziął pod uwagę nasz komputer, projektując obronę. Wasz układ Ziemia – Księżyc jest rzadkością w kosmosie, zwłaszcza jeśli chodzi o zamieszkałe światy. Wykorzystali to, by rozłożyć inwazję na dwa etapy. Teraz mają spokojną bazę, gdzie mogą dokonać napraw i przygotować się do desantu na Ziemię.

– Po ciemnej stronie Księżyca – mruknął jeden z oficerów. – Co konkretnie ona im daje?

– Poza wytnieniem, silną pozycję obronną; możliwość osłony ogniowej, choć tylko w określonej konfiguracji planetarnej ataków skierowanych przeciwko Ziemi. To nie jest zwycięstwo, ale też w żadnym wypadku nie jest to porażka. Musimy zmienić plany obrony, a to zajmie nam trochę czasu...

Przerwał mu okrzyk jednego z techników, pośpiesznie manipulującego jakimiś przełącznikami na konsolce.

– Przeszli do ataku mniejszymi jednostkami, prawdopodobnie, by sprawdzić szczelność naszego kordonu osłonowego – wyjaśnił Ozer'o.

Ostatni tego dnia konflikt trwał zaledwie kwadrans, ale sądząc po błyskawicznych przemieszczeniach punkcików przedstawiających jednostki obu flot oraz po liczbie rozbłysków na projekcji, musiał być gwałtowny i błyskawiczny. Niemożliwym było zorientować się, kto wygrał i jakie są straty, tak szybko sytuacja się zmieniała. Gdy obraz opustoszał i większość operatorów wyłączyła swoje pulpity, dyskutując o czymś przyciszonymi głosami, było to tak nagłe, że ludzie długą chwilę siedzieli jeszcze bez ruchu, zanim dotarło do nich, że to chwilowo koniec walki.

Niebo zaczęło się uspokajać, napięcie energii przesycające powietrze zniknęło, ale coś było zdecydowanie nie tak. Rob był tego pewien, zanim jeszcze zbliżył się powoli Ozer'o, który choć niechętnie, oświadczył w końcu:

– Wynik nie jest satysfakcjonujący. Zaplanowali to dobrze: główny atak był dywersją, by odciągnąć nasze odwody i choć stracili dwanaście jednostek, to częściowo osiągnęli swój cel: zbyt późno zauważyliśmy eskadrę ciężkich bombowców, która przedarła się przez osłabioną obronę. Z sześciu maszyn nie ocalała ani jedna, ale udało im się...

Przerwał mu brzęk telefonu na biurku generała US Air Force. Oficer odebrał go błyskawicznie i obserwujący go mogli dostrzec, jak w miarę słuchania krew odpływa mu z twarzy. Powoli odłożył słuchawkę i w nagłej ciszy, jaka zapanowała na sali, wykrztusił łamiącym się głosem:

– Denver... całe miasto... pół miliona trupów... jedna bomba...

Bitwa o Ziemię pochłonęła pierwsze ofiary.

# Na Księżyc

Ze względu na to, że Stany Zjednoczone, podobnie jak i cały świat, znalazły się nagle w stanie wojny, cztery dni zajęło Robertowi zorganizowanie spotkania z Bonningtonem, szefem Central Intelligence Agency. Nie zmarnował tego czasu, a przy okazji przygotował dokładny i przemyślany raport z udokumentowaniem szczegółów (na ile, naturalnie, było to możliwe), by go uwiarygodnić. Dało to także Nadii możliwość wyjazdu do Moskwy, by dograć tam pewne rzeczy, których woleli nie powierzać łączności radiowej czy telefonicznej. Przez to zresztą omal się nie spóźnili – Nadia przyleciała dwie godziny przed umówionym spotkaniem.

Rob skorzystał z przywilejów stopnia i do Langley pojechali czarnym cadillakiem z parą motocyklistów w charakterze obstawy, co zresztą umożliwiło im dotarcie na czas.

Przejsie wszystkich systemów ochronnych i plątaniny korytarzy zajęło im prawie tyle czasu, co sam dojazd, ale w gabinecie Benningtona znaleźli się punktualnie o drugiej.

– Witam, pani Andrianowa, choć przyznaję, że nie spodziewałem się, bym panią kiedykolwiek ujrzał w tym pomieszczeniu. – Gospodarz był niezwykle uprzejmy i miał lekki angielski akcent wyniesiony z Oxfordu i służby w Europie w ramach OSS dowodzonej przez słynnego Donovana. – Zastanawiam się, czy pułkownik Hayward byłby równie miło powitany w Moskwie?

Za jednym zamachem załatwił grzeczności i dał do zrozumienia, że wyjazd Nadii nie był dlań tajemnicą. Zgrabne.

– Zapewniam, że tak – odparła niezmiészana. – Raport, który dostarczyłam, przygotowaliśmy razem, o czym pan zapewne wie.

– Dziwne czasy powodują dziwne związki. – Bennington popatrzył na grubą teczkę, którą Rob położył na jego biurku. – Niezła kobyła. Mógłby pan mi ją streścić, pułkowniku?

– Naturalnie, sir. W zasadzie nie mamy żadnych materialnych dowodów potwierdzających to, co od początku mówią nam Oinn. Trudno więc wykluczyć możliwość, że cała ich wersja wydarzeń to jedno wielkie kłamstwo. O "wspólnym", jak go oni określają, czyli rasie Blettr, nie wiemy w zasadzie nic poza wynikami sekcji i tym, co twierdzą Oinn. Włączyliśmy się w konflikt galaktyczny, nie mając pojęcia, kto jest kim i po czyjej stronie racja, czyli krótko mówiąc: nie wiadomo, czy walczymy po właściwej stronie.

– Nie zapomina pan przypadkiem o Denver? Widział pan, co się tam wydarzyło. Choć przyznać należy, że to praktyczna i ekonomiczna broń: promieniowanie w ciągu sekundy podnosi temperaturę płynów komórkowych każdego żywego organizmu do stu stopni Celsjusza i wszystko, co żyje, gotuje się we własnej krwi. Nic nieorganicznego nie zostaje przy tej okazji nawet draśnięte, a ludzie eksplodują...

– Wiem, sir. Broń doskonała, bez zniszczeń, bez promieniowania i efektów czasowych, gdyż przestaje działać błyskawicznie. Tylko skąd mamy wiedzieć, że to ich sprawka? Zakłócenia w atmosferze były tak wielkie, że ziemskie obserwatoria mają jedynie fragmentaryczne zapisy przebiegu bitwy. Opieramy się nadal na tym, co powiedzieli Oinn. Przecież na dobrą sprawę w tym całym zamieszaniu tę bombę mógł zrzucić któryś z ich pojazdów.

– Rozumie pan, jak poważne są te zarzuty? Zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogą spowodować?

– Oboje zdajemy sobie sprawę, ale dowody potwierdzają nasze podejrzenia.

Gospodarz zmarszczył brwi i wstał. Parokrotnie przemierzył pokój i odezwał się już innym tonem:



– Nie jesteście osamotnieni w podejrzeniach, choć przyznaję, że ten raport jest najbardziej kompletnym ujęciem problemu. – Dotknął jakiegoś ukrytego przycisku i jeden z regałów odsunął się, ukazując dobrze zaopatrzone barek. – Czego się pani napije, pani Andrianowa? Czy też przejdziemy na mniej formalny sposób zwracania się do siebie?

– Bourbon z lodem i proszę mi mówić po imieniu.

– Świetnie! A dla ciebie, Rob, wódka z lodem? Jak wymiana międzynarodowa, to we wszystkim.

– Serdeczne dzięki, wolę to, co Nadia.

– Tak jak i ja... – Nalał złocistego płynu do trzech tumblerów, dołożył lodu i podał im. – Wracając zaś do twego raportu, to jest to faktycznie solidnie...

– Przecież nawet go nie przekartkowałeś... – przerwał mu Rob, ale umilkł na widok złośliwie radosnego uśmiechu gospodarza.

– Chłopcze, miałem go na biurku, jak tylko ukończyłeś pierwszą wersję bez wygładzeń. Używałeś komputera stojącego na twoim biurku w Pentagonie, prawda? Zmuszony jestem przyznać, że mamy parę ciekawych urządzeń w Pentagonie, za wiedzą sekretarza obrony, co i tak wywoła niezłą awanturę, jak się twoi szefowie dowiedzą. Obca inwazja to jedno, a współpraca wywiadu lotnictwa amerykańskiego z sowieckim to zupełnie inna sprawa. Strzeżonego... i tak dalej. Wracając do twego raportu, po raz kolejny zresztą, to zbiera on w jedną całość masę podejrzeń, które jak dotąd napływały do nas z różnych, ale oddalonych od siebie źródeł.

– Jakich na przykład? – zaciekawiła się Nadia.

– Nasi naukowcy, pomimo współpracy z obcymi, nie mają dotąd pojęcia, na czym opiera się zasada działania broni energetycznej czy też jak działa jakiegokolwiek ich urządzenie. Badamy naturalnie pojazd Blettr, ale napotykamy na poważne problemy głównie dlatego, że jest tak odmienny od naszych rozwiązań technicznych, iż bez pomocy Oinn nasi technicy boją się go demontować, by czegoś ważnego nie zniszczyć. Pomocy tej nie mamy, a bez demontażu po prostu nie wiadomo, od czego zacząć. Jak dotąd otrzymaliśmy masę obietnic i nic więcej. Oficjalnie Oinn zasłaniają się zagrożeniem, z którym trzeba się uporać w pierwszej kolejności. Potem przyjdzie czas na naukę. Problem polega na tym, że nie bardzo wiem, co moglibyśmy na to poradzić.

– Właśnie po to Nadia była w Moskwie – odparł Rob. – Chcemy skontaktować się z Blettr i dowiedzieć się, jak wygląda druga strona medalu.

– Łatwo powiedzieć – uśmiechnął się Bennington, ponownie napełniając naczynia. – Trudniej wykonać.

– Nie tak całkiem trudno. Rosjanie mają na wyrzutni gotową do startu rakietę *Musuesto*. Zamierzali, jak wiesz, umieścić pięciu ludzi i laboratorium na powierzchni Księżyca, gdy zaczął się ten kosmiczny cyrk. Cała rzecz została naturalnie zawieszona, ale rakieta stoi. Stwierdzili, że rozładowanie laboratorium i umieszczenie na jego miejscu któregoś z naszych pojazdów księżycowych z dwuosobową załogą nie powinno nastęrczać zbyt wielu problemów. Załoga już jest, dla wyjaśnienia dodam, że ochotnicy.

– Tego jestem pewien. – Gospodarz poważnie im się przyjrzał. – A co będzie, jeśli oni są tak fanatycznymi wrogami jakiegokolwiek inteligentnego życia, jak twierdzą Oinn, i rozwalą was od ręki?

– Nic się na to nie poradzi i wszyscy zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Pozwoli to jednak udowodnić, że Oinn mówią prawdę i jedyna nasza nadzieja leży w pełnej współpracy z nimi, niezależnie od tego, co o nich sądzimy. Natomiast jeśli nie, to może się okazać, że kłamią, a wtedy...

– Faktem jest, że przyszłość naszej planety i rasy zależy od odpowiedzi na pytanie: komu zaufać

i że nie widzę lepszego niż wasz planu. Tylko dlaczego macie lecieć właśnie wy dwoje?

– W zasadzie jestem jedyną osobą mogącą w miarę płynnie porozumieć się w języku Oinn, inni są dopiero w trakcie kursu nauki tego języka. Blettr, niezależnie od tego, jakim językiem się posługują, muszą znać język swoich długoletnich wrogów. Nie możemy zakładać, że podobnie jak Oinn opanowali któryś z naszych języków. Jest to prawdopodobne, ale przy pierwszym kontakcie nie można na to liczyć – odparła Nadia. – Co do Roberta, to bez wątpienia ma on największe na tej planecie doświadczenie dotyczące Blettr i bądź co bądź jest jedną z trzech osób, które widziały przedstawiciela tej rasy żywego. Poza tym prawie bez przerwy przebywał wśród Oinn i ma praktyczną wiedzę na temat kontaktów z obcymi.

– Niech wam będzie, zgadzam się. – Bennington podszedł do biurka i uniósł słuchawkę jednego z telefonów. – Załatwię wam oficjalny list akredytacyjny z Białego Domu, dzięki czemu Rob będzie oficjalnym przedstawicielem tego kraju, choć czy to się na coś przyda...

– Mam taki sam z Biura Politycznego. – Nadia uśmiechnęła się szelmowsko. – Masa pieczęci i złota. Mam nadzieję, że ten będzie wyglądał równie imponująco.

– Z dodaniem gwiazd, pasów i amerykańskiej flagi! Choć przyznaję, że gdyby nie konieczność uzyskania tych informacji, to nigdzie byście nie polecieeli. Uzbrojeni w dwa świstki papieru... niedorzeczność! – Bennington potrząsnął smętnie głową.

– W tym wypadku jedyne sensowne wyjście. Poza tym mamy mało czasu... – przerwał mu Rob.

– Też prawda. W takim razie nie zatrzymuję was i życzę szczęścia. Będziecie go potrzebować.

Choć oba kraje nie traciły czasu, to i tak przygotowania zajęły pięć pełnych dni. Rob pracował przy montażu satelitów szpiegowskich, wobec czego był w stanie nauczyć Nadię zasad posługiwania się kombinezonem kosmicznym. Łazik księżycowy został sprawdzony, spakowany i wysłany do Rosji, gdzie sprawdzono go ponownie i załadowano do rakiety startowej. W tym czasie wojna rozgorzała na dobre – dwa następne miasta zostały trafione przez te same co Denver pociski: Metz w północnej Francji i Tomsk w Rosji. Dlatego też, gdy Oinn ujawnili, że broń na biegunie działa na zasadzie reakcji atomowej, kraje EWG i Rosja zgodziły się dostarczyć materiał radioaktywny, a konkretnie izotop uranu. Zrobiły to również Stany Zjednoczone. Poza tym wiele fabryk i zakładów rozrzuconych po całej kuli ziemskiej przestawiało na gwałt produkcję, rozpoczynając na trzy zmiany wytaczanie części i podzespołów dział energetycznych. Ciekawostką, która zwróciła uwagę władz, był fakt, iż montaż końcowy następował na biegunie i wykonywany był przez obcych. W zasadzie więc tylko oni wiedzieli, jak zbudowane są te urządzenia. No cóż – była wojna i Oinn byli bardzo zajęci. Musiało wystarczyć tłumaczenie, że kiedy skończy się niebezpieczeństwo, będzie dość czasu, by zająć się wyjaśnianiem i nauką.

Gdy wszystko było związane na ostatni guzik, wsiedli do rakiety, bez konferencji prasowej czy innych oficjalnych pożegnań. Najbardziej obawiali się, że ich start i lot zauważą Oinn, ale założyli, że obcy będą obserwować to, co nadlatuje ku Ziemi, a nie to, co z niej odlatuje. Co się tyczy Blettr, to byli po Ciemnej Stronie, przez co stanowili mniejsze niebezpieczeństwo. Nie było jednak innej rady niż zaryzykować.

– A co, jeśli się mylimy? – spytała Nadia, gdy technicy przypinali ich do foteli antyprzyspieszeniowych.

– Tego się prawdopodobnie nie zdążymy dowiedzieć – odparł spokojnie Rob.

Wyciągnął ku niej dłoń, by zatrzeć wrażenie tych niezbyt optymistycznych słów. Fotele były w takiej odległości od siebie, że ich wyciągnięte ręce mogły się dotknąć. Odwzajemniła jego gest, uśmiechając się jednocześnie, i zrozumiał, że mimo swego profesjonalizmu jest przecież znacznie słabsza i delikatniejsza od niego. I że łącząca ich dotąd więź czysto zawodowa wcale nie musi być

jedyną...

– Jestem typową Słowianką, łatwo ulegam przygnębieniu – powiedziała cicho i Rob wrócił do rzeczywistości. – Jeśli zdołamy zbliżyć się do nich niezauważeni, to powinni nas wysłuchać choćby jako źródło informacji, jeśli nie więcej. Chciałabym, żebyśmy już lecieli.

Jej życzenie spełniło się bardzo szybko – technicy skończyli, właz zamknięto i stłumiony ryk oznajmił zapłon silników startowych. Sam start był łagodny i trwał dziwnie krótko, zwłaszcza że wszyscy w napięciu oczekiwali ataku którejś z patrolujących jednostek Oinn. Nic takiego nie nastąpiło, być może dzięki takiemu zaprogramowaniu lotu, by jak najkrócej znajdowali się w pobliżu Ziemi.

Po zaledwie ćwierci orbity odpaliły silniki nośne i ruszyli prosto ku Księżycowi.

– Na razie wszystko idzie dobrze – oznajmił pilot ładownika major Koba, z którym byli w ładowni.

Był to wesoły Ukrainiec o silnej domieszce krwi tatarskiej, co było widać po skośnych oczach i wystających, skośnych kościach policzkowych.

– Nikt do nas nie strzelał, a z każdą sekundą jesteśmy coraz dalej od nich – dodał.

– I coraz bliżej tych drugich na Księżycu. – Nadia nadal była w depresji. – Tam też wystarczy tylko jeden celny strzał.

– Zawsze wystarcza jeden celny strzał. – Koba nie stracił dobrego humoru. – A trafić nas nie będzie łatwo. Teraz zasłania nas Księżyc, a potem będziemy lecieli zaledwie na paru tysiącach metrów. Niemal na wysokości szczytów. Jeśli te dranie Oinn nie podali nam złych koordynat bazy Blettr, to tamci nas w ogóle nie dostrzegą nad horyzontem. A bez atmosfery radar działa tylko w linii prostej. Dlatego będziecie musieli te ostatnie sto kilometrów przejechać tam tym cudem techniki, za które bym grosza nie dał. Wygląda, jakby ktoś go po pijanemu składał ze złomu. Ja wystartuję, jak tylko będziecie bezpieczni poza granicą odrzutu gazów i poczekam sobie jedno okrążenie, żeby nie być nad Ciemną Stroną. Potem połączę się z rakieta utrzymującą nieruchomą pozycję nad Księżycem i wrócimy na Ziemię, nadając na wszystkich pasmach uzgodniony sygnał, żeby nasi sprzymierzeńcy nie rozwalili nas po drodze. Proste.

– Chyba mamy odmienne pojęcie, co jest proste, towarzyszu Koba – stwierdził Rob. – A teraz proponuję iść spać, bo wszyscy mamy przed sobą raczej pracowity dzień.

Okazało się, że major Koba miał rację – przelecieli fragment orbity Księżyca, zdając się muskać co wyższe szczyty, oddzielili się wraz z ładownikiem od rakiety dokładnie w wyznaczonym miejscu i łagodnie wylądowali. W ciągu godziny wylądowali pojazd i zapasy, pomachali pilotowi i ruszyli w drogę. Najpierw podłączyli jednakże kombinezony do systemu łączności łązika – komunikacja radiowa była wykluczona ze względów bezpieczeństwa.

– Gotowa? – spytał Rob, gdy zakończyli ustalone przygotowania.

– Słuchaj, my naprawdę jesteśmy na Księżycu! Widziałeś coś takiego... ten krajobraz jest po prostu niemożliwy!?

– Widziałem – odparł Rob, ignorując srebrzyste szczyty pięknie kontrastujące z czernią przestrzeni. – Ale mamy tu coś do zrobienia, pamiętasz?

– Pewnie – westchnęła. – Wojna zawsze jest najważniejsza.

Rob przesunął dźwignię i cztery elektryczne silniki umieszczone po jednym przy każdym kole ożyły, kierując pojazd na zachód według kursu wskazywanego przez żyrokompas. Napędzane były energią z baterii słonecznych, tak że problem paliwa przestał istnieć. Podróż zdawała się nierealna głównie dlatego, że poruszali się w kompletnej ciszy. Ładownik zniknął im z oczu, gdy pokonali pierwsze wzgórze, a każde następne było bliźniaczo podobne do poprzedniego.

O mijali łagodnymi łukami kratery, a kurz wzniecany przez koła powoli opadał po ich przejeździe. Kilometry na liczniku powoli narastały, a dzięki Słońcu, nieruchomo wiszącemu nad horyzontem, poczucie czasu prawie przestało istnieć.

W pewnej chwili Rob gwałtownie zahamował i wjechał za najbliższy pagórek.

– Co się stało? – spytała niezbyt przytomnie Nadia, wyrwana z zamyślenia.

– Nie jestem pewien. Od ich bazy dzieli nas z piętnaście kilometrów, od linii granicznej dnia i nocy pięć. Wydawało mi się, że zobaczyłem coś wielkiego przed nami. Mogło mi się przywidzieć, ten krajobraz strasznie męczy wzrok, ale lepiej zachować ostrożność. Jeśli chcesz iść ze mną, to trzymaj się kilka kroków z tyłu i Rob dokładnie to, co ja.

Odpięli się od foteli, modułu łączności i zapasów tlenu łazika, przechodząc na przenośne butle, i powoli ruszyli w górę stoku. Rob zatrzymał się, ledwie jego oczy znalazły się ponad wierzchołkiem i gestem przywołał idącą za nim dziewczynę.

Przez długą chwilę oboje stali nieruchomo, wpatrując się w rozciągającą się przed nimi równinę przeciętą prostą linią księżycowego dnia i nocy.

Po Ciemnej Stronie wznosiła się równie ciemna jak otoczenie metalowa góra, rozświetlona w kilkuset miejscach różnobarwnymi światełkami. Umocowane na wysokiej wieży jakieś urządzenie alarmowe omiatało otoczenie snopem niebieskiego światła na podobieństwo latarni morskiej. Poza tym panowała cisza i bezruch.

Rob dotknął hełmu Nadii, co było najlepszym sposobem porozumiewania się bez użycia radia – sam materiał kombinezonu przenosił drgania spowodowane falą dźwiękową, gdyż w jego wnętrzu była normalna atmosfera.

– Forteca – powiedział spokojnie. – Połowa zadania za nami, znaleźliśmy ją.

Spojrzała mu w oczy, nie odzywając się, ale i tak wiedział, co myśli: zaczęła się najważniejsza część zadania. Być może najważniejszego w dziejach rasy ludzkiej.

## Pierwszy kontakt

– I co dalej? – spytała Nadia z nagłą powagą.

– Chyba należy im dać znać, że tu jesteśmy – uśmiechnął się Rob. – Najzabawniejsze jest to, że cały wysiłek skupiliśmy na tym, jak tu dotrzeć, a nigdy tak na serio nie zastanawialiśmy się, jak nawiązać kontakt. Cóż, czas na improwizację.

Powoli zeszli na dół; Robert podjechał łazikiem tak, by antena kierunkowa wystawała ponad szczyt pagórka. Podłączył mikrofon do radia i odesłał dziewczynę na dół. Nadia ukryła się między skałami, a on, używając minimalnej mocy, poprawił o parę stóp pozycję pojazdu tak, by talerz anteny wycelowany był prosto w fortecę. Przełączył moc nadajnika na minimum, by zmniejszyć szansę podsłuchania transmisji przez Oinn. Dokładnie trudno było stwierdzić, kto tu ma rację, ale najlepiej było utrzymać sprawę w wąskim gronie, jak długo się da. Radio miało automatyczny przełącznik odbioru, tak że z usłyszeniem ewentualnej odpowiedzi nie powinno być problemu.

Powoli rozwijając cienką nitkę przewodu łączącego mikrofon z nadajnikiem, zszedł między skały, do kryjówki znalezionej przez Nadię. Od pojazdu dzieliło ich około dwustu jardów, co powinno być wystarczającym zabezpieczeniem; tak na wszelki wypadek.

– Jesteś gotowa? – spytał, dotykając jej hełmu swoim.

– Wątpię, czy kiedykolwiek będę, jeśli dopuszczę do głosu zdrowy rozsądek. Lepiej więc zrobmy to, zanim nerwy wysiądą mi do reszty!

– Wobec tego zaczynamy – uśmiechnął się i włączył mikrofon. – Halo, baza Blettr! Jesteśmy...

Ponieważ Księżyc nie ma atmosfery, nie było dźwięku, który by przerwał mu wypowiedź. Możliwe, że gdyby nawet była atmosfera, huk też by nie było, gdyż nie wiedzieli, jak się zachowuje broń użyta przez Blettr; natomiast nie ulegało żadnej wątpliwości, że coś ścięło szczyt wzgórza wraz z większością łazika, i to w ciągu sekundy. Lekko zatrzęsł się grunt, kurz opadł i to było wszystko. Szczyt wzgórza zniknął, podobnie jak większość pojazdu; zupełnie jakby ktoś odciął wszystko nożem i wyrzucił.

Rob powoli wyłączył bezużyteczny już mikrofon i przytknął swój hełm do hełmu Nadii.

– Nerwowi, nie? – spytał i wówczas dostrzegł przerażenie na jej twarzy. – Spokojnie, to nic nie znaczy poza potwierdzeniem, że mają automatyczny system obronny. Żadna istota nie byłaby w stanie tak szybko zareagować, nieważne, czy byłby to człowiek, czy obcy. Musiała być nastawiona na ruch lub źródło emisji radiowej. Teraz włączył się tam alarm i możemy oczekiwać bardziej racjonalnej reakcji.

W tejże chwili nad ściętym pagórkiem pojawił się matowoczarny pojazd. Zawisł nieruchomo najpierw nad resztkami łazika, potem nad ich kryjówką. Był to długi na półtora metra walec z manipulatorami i wypustkami rozmaitych urządzeń. Jedno z nich zostało wycelowane prosto na parę kosmonautów, toteż Rob pospiesznie włączył nadajnik skafandra i oznajmił:

– Nie strzelajcie! Nie jesteśmy waszymi wrogami; jesteśmy Ludźmi z planety Ziemia. Nie mamy broni, a to jest misja pokojowa. Jesteśmy oficjalnymi przedstawicielami rządów dwóch największych państw na Ziemi...

Przerwał i usłyszał głos Nadii w słuchawkach. Mówiła po rosyjsku ten sam tekst, który on wygłosił przed chwilą.

Latający automat nie drgnął w czasie tej prelekcji i wisiał nieruchomo nad nimi. Gdy dziewczyna skończyła, Rob odezwał się ponownie:

– Pozostaniemy tutaj do czasu nawiązania dwustronnej łączności. Jeśli chcecie, byśmy przeszli

w inne miejsce, dajcie nam znać. Jeśli chcecie czegokolwiek innego, także dajcie nam znać.

Nic. Cisza. Brak reakcji.

Ale jak dotąd ciągle żyli, co też było jakąś wiadomością. Rob odwrócił się i spojrzął na dziewczynę – była już spokojna i opanowana. Najtrudniejsze mieli za sobą: nawiązali kontakt i żyli.

– Co teraz? – spytała spokojnie.

– Poczekamy. Nawet jeśli pierwotnie toto wycelowało w nas broń, to musi mieć jakieś kamery i głośniki, bo jest za małe, by Blettr się tam zmieścić. Operator musiał usłyszeć i nagrać nasze transmisje i teraz się pewnie nad nimi zastanawiają. W ciągu ostatnich kilkunastu minut mieli dość okazji, by nas zabić i jak dotąd tego nie zrobili, można więc spokojnie założyć, że chcą z nami pogadać. Pewnie przyślą jakiś transporter albo platformę latającą, by zabrać nas do fortecy.

Czekali. Po kilkunastu minutach poczuli delikatne drżenie gruntu, toteż odruchowo spojrzeli w kierunku fortecy – bez atmosfery nie sposób było usłyszeć zbliżający się pojazd. Ku ich zaskoczeniu ani na powierzchni, ani nad nią nie dało się nic zauważyć. Drgania też nagle ustały i nadal nic nie było widać. Dopiero Nadia, odwracając się ze zniechęceniem, dostrzegła przyczynę tych drgań.

Jej okrzyk zwrócił uwagę Roberta; odwrócił się błyskawicznie i zamarł.

Za nimi ze skały wystawała metalowa, czarna glista wygięta łagodnym łukiem tak, że przednia część spoczywała na skale, w której tkwiła reszta. Miała co najmniej sześć stóp średnicy, a widoczny fragment liczył chyba ze trzydzieści stóp długości. Poza stożkowatym czubkiem, który wydawał się lekko drgać, reszta pogrążona była w bezruchu. Na środku drgającej części pulsowało złociste światło, a w jednej trzeciej długości otwarta była rampa prowadząca w mroczną czeluść, do której wnętrza nie docierały promienie słoneczne.

– No, tak – mruknął Rob – jak nie górą, to dołem. Świetny sposób, by uniknąć wykrycia i na pewno bezpieczny przy poruszaniu się.

– Ja... ja mam klaustrofobię – wyjąkała Nadia.

– Cholera! – jęknął, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić. – Słuchaj, musimy tylko tam wejść. Nie mamy wyboru. Zmusz się, to nie potrwa długo, a musimy dotrzeć do fortecy.

– Wiem; spróbuję to zrobić, póki jeszcze jestem w stanie. Powoli podeszli do cichej, stalowej masy, prowadzeni przez stalowy automat, który cały czas unosił się nad ich głowami. Rob ujął dziewczynę pod rękę i nawet przez grubą skafander czuł, jak drży. Mroczny otwór nawet jemu przywodził na myśl wrota grobowca...

Nadia nagle stanęła, nie mogąc zrobić kroku. Byli u stóp rampy.

– Nie mogę... – jej głos był tak cichy, że ledwie go usłyszał. – Nie wejdę tam!

– Musisz. Po to tu przybyliśmy. – Nie!

Odwróciła się gwałtownie, ale był szybszy: złapał ją oburącz za ramiona i siłą, krok po kroku, zmusił, by tyłem weszła na pochylnię. Nienawidził się za to, ale wiedział, że nie ma wyboru. Gdy przekroczyli próg, przestała się szarpać, odezwała się natomiast zimnym i pozbawionym jakiegokolwiek emocji głosem:

– Wystarczy. Zabierz ręce. Poradzę sobie.

Puścił ją bez słowa. Wyprostowała się, spoglądając na niego z nienawiścią. Nadal się bała, ale uczucie to przytłumiło obrzydzenie, które czuła doń za fizyczne zmuszenie jej do zrobienia tego, przed czym wzdragała się cała jej natura.

Zrozumiał, że ich związek nigdy nie wróci do dawnej formy – zmienił się nieodwołalnie, bo Nadia nie zapomni i nie wybaczy mu tego, co musiał zrobić. Korzystając z resztek światła, z filozoficzną rezygnacją położył się na podłodze i znieruchomiał. Bez słowa zrobiła to samo i drzwi zamknęły się bezgłośnie. Przez ciało dziewczyny przebiegł dreszcz, gdy zapanowała kompletna

ciemność, ale jedynie jej przyspieszony oddech, jaki słyszał w słuchawkach, świadczył o zaciętym pojedynku, jaki toczyła z własnym strachem.

Ruszyli – powoli i łagodnie, bez żadnych wstrząsów, jedynie chwilami lekko zmieniając kurs. Pojazd nie mógł przekopywać się przez podłoże tak szybko i łagodnie, musiał więc poruszać się według innych zasad – być może zmieniając strukturę skał na płynną, w której poruszał się niby okręt podwodny w głębinach mórz. Rob nie miał pojęcia, czy ta teoria była słuszna, czy nie, a już zupełnie nie wiedział, jakie procesy by ją umożliwiały, ale nie łamał sobie nad tym głowy. Martwiło go, że kompletnie stracił poczucie czasu.

Nagle światło prawie go oślepiło i dopiero po chwili zrozumiał, że pojazd stoi, a światło pada przez otwarty luk. Przybyli na miejsce. Usiadł raptownie, odruchowo wyciągając rękę, by pomóc dziewczynie, ale odtrąciła jego dłoń. Wzruszył ramionami, wstał i wyszedł na zewnątrz. Czekając na nią, miał okazję rozejrzeć się, gdzie są.

Była to olbrzymia sala o ścianach z błękitno-czarnego metalu, pozbawionych otworów czy ozdób. Ich pojazd (długości około pięćdziesięciu stóp, co dopiero teraz było widać w całej okazałości) spoczywał bez ruchu na podłodze; zgasło nawet złociste światło na dziobie. W jednej ze ścian pojawił się otwór i bezgłośnie przekształcił w koliste, rozsuwane drzwi, za którymi znajdowało się znacznie mniejsze pomieszczenie. Nadia przeszła obok niego bez słowa i zniknęła w drzwiach, toteż Rob pospieszył za nią.

Ledwie przekroczył próg, drzwi się zasunęły, a na szybie kasku pojawiły się niespodziewanie kropelki wody.

– Śluza – odezwał się głośno. – Pompują atmosferę, ale nie zdejmuj jeszcze kasku, poczekamy, aż ciśnienie się wyrówna.

Stała bez słowa, ignorując tak jego głos, jak i jego samego.

Po ścianach spływały strużki wody, w miarę jak zwiększała się zawartość powietrza i wilgoci, która skraplała się na zimnych, metalowych ścianach. Dał się słyszeć coraz głośniejszy syk, nieomylny znak gęstniejącej atmosfery. Na ścianie przeciwległej do tej, przez którą weszli, powoli otwarło się koliste przejście i zaciskając pięści, Robert przeszedł przez nie, kiwając po drodze na dziewczynę.

Kolejne pomieszczenie o metalowych ścianach, ale zaopatrzone w meble – stół, fotele i jakieś urządzenia przypominające terminal komputera.

W jednym z foteli siedział potężnie zbudowany Blettr i Rob stwierdził, że choć martwi przedstawiciele tej rasy są przerażający niczym senny koszmar, to żywi są kilkakrotnie bardziej odstręczający. Do tego wrażenia zresztą wydatnie przyczyniało się falujące ciągle futro, kojarzące się nieodmiennie z topielcem przebywającym pod wodą, jak i olśniewający uśmiech ukazujący rekinie zęby. Rob zmusił się do zignorowania tego wrażenia i skoncentrowania się na zadaniu, ale nie przyszło mu to łatwo. Broń będąca duplikatem tej, z której oberwał Shelty, a którą obcy trzymał wycelowaną w nich, nie pomagała mu w tym zbyt.

– Rob wszystko powoli – rzucił do mikrofonu – nie mijaj mnie i nie zbliżaj się do niego. Otworzę hełm i sprawdzę, czy tutejsze powietrze nadaje się do oddychania.

Otworzył zawór hermetyzujący kasku, stwierdził, że powietrze jest chłodne, o nieznanym zapachu, ale można nim oddychać, i zdjął hełm. Kładąc go na podłodze, dostrzegł, że Nadia wiernie powtarza jego czynności. Blettr przez cały czas nie poruszył się ani nie odezwał.

– Mówisz po angielsku? – spytał spokojnie Rob. Siedzący poruszył ustami i dał się słyszeć rehotliwy i charkotliwy głos, przypominający zabę w czasie koncertu.

– Dlaczego tu szpiegujecie? – Gramatyka była bez zarzutu. A więc w tej chwili nawiązali

rzeczywisty, pierwszy kontakt z obcą rasą. Obustronny!

– Nie jesteśmy szpiegami. Jesteśmy przedstawicielami rządów dwóch największych państw na Ziemi i przybyliśmy w pokojowej misji, by się z wami spotkać...

– Jesteście sprzymierzeńcami Oinn, którzy od wieków próbują nas zniszczyć! – przerwał mu Blettr. – Pomagacie im! Na waszej planecie założyli bazę i stanowiska ogniowe!

– Proszę, spróbuj nas zrozumieć. Przybyli do nas, oświadczając, że to wy jesteście wspólnym wrogiem, gdyż niszczyacie każdy przejaw inteligentnego życia, jaki napotkacie. Nie wszyscy ludzie im uwierzyli, ale należało wziąć pod uwagę, że mówią prawdę i że faktycznie chcecie nas zniszczyć, choć nigdy dotąd się nie spotkaliśmy. Nasze rządy wysłały nas jako przedstawicieli, by dowiedzieć się, jaka jest prawda. Mamy wątpliwości co do prawdomówności Oinn i dlatego chcemy porozumieć się z wami. Dlatego tu jesteśmy. Taka jest cała prawda.

Siedzący przyglądał im się w milczeniu i bez ruchu, jeśli nie liczyć falującego futra, jakby muskanego powiewem, którego oni nie czuli. W końcu chrząknął prawie po ludzku, wstał i podszedł do umieszczonego na ścianie komunikatora. Wcisnął przełącznik i coś zameldował wysokim i niezrozumiałym głosem. Ktoś mu odpowiedział i Blettr wsunął broń do kabury umocowanej na szelkach oplatających jego korpus.

– A więc nadszedł czas prawdy – mruknął Rob, spoglądając na Nadię. – Dowiemy się, czy...

– *¿No habla Ud Espanol?* – spytała go niespodziewanie, przerywając mu w pół słowa.

– *Si, poquito. ¿Porque?*

– Nie wiem, czy znają hiszpański – wyjaśniła w tymże języku przyciszonym głosem. – A muszę zaryzykować. Zanim zaczniesz rozmowy, musisz coś wiedzieć. Ich język, ten, którego przed chwilą użyli... są duże różnice w wymowie, ale to taki sam język, jakiego używają Oinn. Dokładnie taki sam. Dwaj śmiertelni wrogowie używają tego samego języka jako swojego naturalnego! Rozumiesz coś z tego?!



# Bletrr

– Pójdziecie ze mną – oznajmił Bletrr, kończąc pogawędkę przez komunikator.

Nie czekając na reakcję, podszedł do drzwi, które zniknęły w podłodze, i ruszył dalej prosto korytarzem. Rob i Nadia spojrzeli po sobie i bez słowa poszli w jego ślady.

Rob spróbował przetrwać usłyszane przed chwilą rewelacje, ale jak na razie niezbyt mu się to udawało. Wyjaśnienie użycia tego samego języka przez dwie tak odmienne od siebie rasy musiało być proste i oczywiste, ale nic nie mógł wymyślić. W końcu zrezygnował z bezowocnych wysiłków; czekające ich spotkanie było zdecydowanie ważniejsze.

Pomieszczenie, do którego zostali zaprowadzeni, było pierwszym, które nie było wyłącznie funkcjonalne: ściany pokrywały tkaniny o abstrakcyjnych wzorach, na środku kajuty stał niski stolik otoczony fotelami. W jednym z nich siedział Bletrr; do szelek podtrzymujących pas miał przypięte metalowe symbole komet.

– To dowódca bazy – przedstawił go przewodnik. – Nazywa się Uplynn. Rozumie wasz język, ale nie włada nim. Ja nazywam się Srparr i moim głównym zadaniem jest nauka waszego języka.

Siedzący spoglądał na nich niewidzącym wzrokiem, nie ruszając się z miejsca, więc Rob zrobił krok do przodu i dokonał prezentacji:

– Jestem pułkownik Robert Hayward, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a to jest Nadia Andnanowa reprezentująca Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich...

– Dlaczego pomagacie tym obrzydliwym Oinn w wojnie z nami? – przerwał mu Srparr, a Uplynn skinął głową.

Po zadaniu pytania Bletrr ciężko opadł na jeden z wolnych foteli i przyglądał się ludziom w milczeniu, acz niezbyt życzliwie.

– Wyjaśnienie zajmie trochę czasu – stwierdził spokojnie Rob, a ponieważ poczuł się jak podsądny przed trybunałem, siadł w kolejnym fotelu.

Nadia poszła w jego ślady, choć jako zdecydowanie niższa od gospodarzy, prawie musiała podskoczyć, by sięgnąć siedziska.

– Żeby wszystko zrozumieć, musimy cofnąć się do dnia, w którym wasz statek wylądował w środku Central Park, bo od tego się wszystko zaczęło.

– Jaki statek? – zdziwił się Srparr.

– Ten. – Rob pokazał mu jedno ze zdjęć, które na wszelki wypadek wziął ze sobą. – Myślałem, że orientujecie się, gdzie przebywają jednostki waszej floty i co się z nimi dzieje.

Tłumacz podał zdjęcie dowódcy, ten spojrział na nie i rzucił na stół, wywarkując krótkie pytanie.

– Komendant pyta, po co pokazujecie mu zdjęcie patrolowca Oinn – przetłumaczył Srparr.

Roberta замуrowało, podczas gdy myśli galopowały na podobieństwo karuzeli. Więc on i Nadia mieli rację – od początku oszukiwano ich i resztę ludzi. Chyba że... że Bletrr łgali na potęgę. W tej sytuacji wszystko było możliwe. Nie znali przecież żadnej z obcych ras i każda z nich mogła kłamać. Dobrze, że była tu Nadia – jeśli kłamią, to istniała nadzieja, że wyda się to, gdy użyją własnego języka. Musiał dokładnie uważać na ich reakcje przy przedstawianiu całej historii. Jej wiedza była ich tajemną, właściwie jedyną bronią.

Opanował się i wyjął z kieszeni następną fotografię.

– Wyjaśni ona, jak sądzę, dlaczego byliśmy przekonani, że to wasz statek. Tu widać wnętrze sterówki, tak jak zastała je ekipa zwiadowcza.

Obaj tym razem przestudiowali dokładnie zdjęcie.

– Zamienili fotele na te z naszego patrolowca, ale urządzenia sterowe są nadal dostosowane do ich rąk. Widzisz, o tu?

– Przyznam, że trudno mi zauważyć różnicę, ale na pewno zbadają to technicy, jak tylko ich o tym poinformujemy – zgodził się Rob, sięgając po kolejne zdjęcie.

– Byłem dowódcą grupy zwiadu i zostałem zaatakowany przez tego oto przedstawiciela waszej rasy. Ranił dwóch moich ludzi i byliśmy zmuszeni go zastrzelić.

– W jaką broń był uzbrojony?

– Identyczną jak ta, którą masz w kaburze.

– A nie wybuchła czasem po użyciu?

– Wybuchła.

Srparr warknął wściekle i dopiero po chwili wyjaśnił:

– Oinn robili to już wcześniej. Powodowali, że nasi wojownicy byli chodzącymi trupami; ten Blettr był nieprzytomny albo i na wpół żywy ze zniszczoną częścią umysłu. W broni było urządzenie kontrolujące jego zachowanie, oddziałujące bezpośrednio na jego mózg. Czy na pokładzie był żywy Oinn?

– Tak, ten. – Rob podał mu następną fotografię. – Przykuty łańcuchami do ściany.

– A więc sprawa jasna. To on pilotował statek, zaaranżował atak na ciebie i udał jeńca. Wszystko po to, by zwalić na nas winę. I, jak widać, skutecznie.

– To prawda, ale też, jak widać, wzbudzili nasze wątpliwości i dlatego tutaj jesteśmy.

Blettr zamyślił się przez dłuższą chwilę i w końcu skinął głową w typowo ludzki sposób.

– Wasza reakcja jest jak najbardziej zrozumiała. Ale nie zmienia to faktu, że nadal pomagacie im w wojnie z nami. Teraz opowiedzcie nam dokładnie, jak do tego doszło.

Rob powoli i dokładnie opowiedział przebieg wydarzeń. Gospodarze słuchali w milczeniu do momentu, w którym zdał relację z podjęcia decyzji o pomocy i umiejscowieniu dział na Biegunie Południowym. Widać było, że ich to poruszyło i zatrajkotali coś pośpiesznie do siebie, poczekał więc, dając Nadii możliwość spokojnego podsłuchiwania. Ciekaw był, co też mieli sobie do powiedzenia, ale wiedział, że na te informacje musi poczekać.

Gdy skończyli, siadł wygodniej i czekał na reakcję. Nie trwało to długo.

– Oni zawsze kłamią – warknął Srparr. – To mordercy i mistrzowie kłamstwa.

– Mimo wszystko nie możecie nas winić, że im pomagamy. Jakkolwiek by było, wszystko przemawiało za ich opowieścią, nawet atak waszego żołnierza...

– Już mówiłem, jak to zrobili – przerwał mu Srparr.

– Ale my nie mogliśmy o tym wiedzieć, nie używamy takich sposobów. Podejrzenia zaczęły się rodzić w miarę rozwoju wydarzeń.

– To też rozumiałe. Ten więzień, ten Oinn w łańcuchach – on ma jakieś imię?

– Hes'bu...

Uplynn warknął coś, co bez tłumacza można było zrozumieć jako przekleństwo i Rob przez chwilę niewinnie zastanawiał się, czy figuruje ono w słowniku Nadii.

– Znamy go – wyjaśnił Srparr. – To wysoki rangą oficer ich wywiadu. Teraz kłamstwem namówili was do pomocy, za jakiś czas skłonią was, byście toczyli za nich bitwy i ginęli w ich sprawie. A w końcu wybiją tych z was, którym uda się to wszystko przeżyć, gdyż uważają, że jedynie Oinn nadają się do życia i panowania w galaktyce.

– Ludzie już umierają: trzy miasta zostały trafione waszymi pociskami i wszyscy mieszkańcy zginęli.

– Nie zaatakowaliśmy, jak dotąd, Ziemi. Toczymy walkę wyłącznie obronną i za te ofiary musicie winić Oinn. Kolejny krok, by zwiększyć waszą lojalność dla ich sprawy. Są doskonali w sztuce oszustwa.

– Dokładnie to samo mówią o was – wtrąciła Nadia.

– Możemy walczyć z nimi jedynie przy użyciu broni, oni oprócz tego używają także kłamstw. Od wielu wieków i my, i inne inteligentne rasy w galaktyce toczyliśmy z nimi wojnę. Pochłonęła już ona wiele miliardów istnień, wiele ras w niej zginęło. Wojna toczy się na wielu frontach, bo choć najważniejsze jest opanowanie centrum galaktyki, to musimy wszędzie szukać nowych planet, zasobów i, być może, sprzymierzeńców. Oinn obserwują nas uważnie i starają się wyprzedzić nasze posunięcia, korzystając z bogatej sieci agentów. Waszą planetę odkryliśmy wiele lat temu i sądziliśmy, że odkrycie to udało nam się zachować w tajemnicy. Jak widać, myliliśmy się. Podczas gdy przygotowaliśmy ten okręt do podróży, której celem było wyjaśnienie wam sytuacji i prośba o pomoc, odkryli nasz sekret. My chcieliśmy pomóc wam wybrać i gdybyście zdecydowali się bronić przed Oinn, to forteca pomogłaby wam w tym zadaniu. Ale oni byli szybsi i kłamstwami przekonali was, byście walczyli po ich stronie. Cóż, pozostaje nam tylko was żałować, gdyż jak doświadczenie uczy, będziecie kolejną wyniszczoną przez nich rasą w galaktyce.

Uplynn powiedział coś do niego, a Srparr przetłumaczył:

– Komendant chciałby pogratulować wam szybkości, z jaką odkryliście ich oszustwo; zwykle rasy w waszej sytuacji dowiadywały się prawdy znacznie później, gdy już nic nie można było zrobić. To dobrze świadczy o waszej inteligencji, podobnie jak przybycie tu jest dowodem wielkiej odwagi. Komendant chciałby wiedzieć, jakie są wasze plany.

Rob omal się nie roześmiał: sam chciałby to wiedzieć. Z kamienną jednakże twarzą wyjął z kieszeni list akredytacyjny i położył na stole.

– Ten dokument potwierdza, że jestem oficjalnym przedstawicielem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pani Andrianowa ma podobny od rządu swej ojczyzny, Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Bylibyśmy wdzięczni za chwilę do namysłu, co zdecydować w związku z potwierdzeniem naszych podejrzeń. Jakkolwiek by było, to poważna decyzja.

– Naturalnie. Chcecie coś jeść lub pić?

– Tylko wody. Żywność mamy w naszym pojeździe w pojemnikach żółtej barwy z błękitnymi pasami. Nie zostały zniszczone przy trafieniu łazika przez wasz system obronny.

– Zostaną wam natychmiast dostarczone. Pozostańcie tutaj.

Obaj obcy wyszli, nie bawiąc się w pożegnania czy inne tego typu ceregiele, i zostali sami, ale Rob delikatnie dotknął palcem warg, nakazując Nadii milczenie. Skinęła bez słowa głową – założenie podsłuchu było oczywistym środkiem ostrożności. Każdy by tak zrobił.

– Przede wszystkim – odezwała się – musimy doprowadzić do zorganizowania łączności radiowej pomiędzy Blettr a Ziemią i to tak szybko, jak tylko się da. Możemy być oficjalnymi przedstawicielami, ale problemy dotyczą nie tylko naszych dwóch krajów i jest ich zbyt wiele, byśmy mogli zająć się wszystkim albo podjąć najlepsze decyzje tylko we dwoje. – Zgadza się. Mam tylko nadzieję, że oni tu mają jakieś metody łączności, które są trudniejsze do przechwycenia niż normalna transmisja radiowa. – Rob wyjął z kieszeni notes i ołówek; rozważał co prawda możliwość podglądu oprócz podsłuchu, ale jakoś musiał porozumieć się z Nadią i to natychmiast. – Proponuję spisać sobie, co postanowimy i to najlepiej w dwóch egzemplarzach. Rozumiesz?

– A więc tak: po pierwsze, zachowanie zupełnej tajemnicy przez cały czas. Gdyby Oinn dowiedzieli się, co planujemy... Musimy używać tych samych środków oszustwa co oni, tylko skuteczniej, to jest tak, żeby się zbyt szybko nie zorientowali. Po drugie: trzeba zorganizować

łączość z Blettr i uzgodnić plany wzajemnej pomocy. Zapisałeś?

– Tak, ale sprawdźmy, czy sformułowania się zgadzają. Wiesz, jak to jest przy tych wszystkich oficjalnych porozumieniach i traktatach... Daj mi swój notes.

Wymienili się notesami i Rob przeczytał to, co napisała: "To, co mówili między sobą, było dokładnie tłumaczone. Tylko ten język! Dlaczego? Trzeba się tego dowiedzieć w pierwszej kolejności!"

Dopisał drukowane: "TAK", podkreślił dwukrotnie i oddał jej notes.

Sytuacja komplikowała się, zamiast wyjaśniać. Oinn byli kłamcami i najeźdźcami i trzeba było znaleźć jakiś sposób, by się ich pozbyć z Ziemi. Ale to wcale nie znaczyło, by zaprosić na nią Blettr z otwartymi ramionami. Ludzie musieli najpierw dowiedzieć się znacznie więcej o przyczynach konfliktu i o obu rasach. Nikomu nie można było wierzyć na słowo – stawka była zbyt wysoka, by można było ryzykować. Ziemia była tylko jedna, a pomyłka oznaczała zagładę.

Do kabiny wszedł Blettr, przerywając im rozmyślenia. Bez słowa postawił na stole przezroczysty pojemnik z wodą, dwa duże kubki i otwarty pojemnik z łazika. Zawierał hermetycznie zamknięte racje żywnościowe.

Nadia kosztem kałuży na stole opanowała sztukę nalewania i po chwili podała Robertowi napełniony kubek.

Racje żywnościowe były twarde i bez smaku, tak jak wszystkie racje awaryjne, na szczęście woda błyskawicznie je rozpuszczała i posiłek składał się z długiego żucia i picia. Oboje potrzebowali jednak wzmocnienia i przerwy na myślenie.

– Im więcej o tym myślę – stwierdziła Nadia, przełykając ostatni kęs – tym bardziej się upewniam, że najważniejsze to poinformowanie naszych rządów o nowej sytuacji. A konkretnymi ustaleniami i dyskusją z Blettr niech już oni się zajmą.

– Zgadzasz się w zupełności. Jak na mnie to zbyt duża odpowiedzialność. Tylko jak teraz zawiadomimy Blettr, że podjęliśmy decyzję? Widzisz jakiś guzik czy coś?

– Jest komunikator, ale nie wiem, jak się go obsługuje. Możliwe, że najlepsze są najprostsze sposoby: Srparr, słyszysz nas? Przyjdź, proszę! – ostatnie dwa zdania wrzasnęła, aż naczynia zadygotały.

Reakcji nie było, toteż zajęli się sporządzeniem fałszywych notatek o wypowiedzianej treści. Nadia zdołała podrzeć kartkę, na której wymieniali informacje, na drobniutkie strzępki i zmieszać ją ze zniszczonymi pojemnikami żywnościowymi. Skończyła to pożyteczne zajęcie, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Srparr.

– Wołałeś mnie? – spytał od progu.

– Potrzebujemy twojej rady – odparł Rob. – Czy jest jakiś sposób, byśmy mogli porozumieć się z Ziemią, ale tak, by Oinn tego nie przechwycili? Potrzebna jest dwustronna łączność pomiędzy waszą bazą a naszymi rządami.

– Porozumienie i koordynacja są niezbędne. Możecie mieć nadajnik, który operuje... nie macie takiego słowa... generuje fale grawitacyjne, co daje prawie natychmiastową łączność na odległość wielu lat świetlnych. Używamy tego zamiast fal radiowych. Ma jeszcze jedną zaletę: nie można zlokalizować źródła emisji, toteż nikt nie będzie wiedział, że nadajemy z Ziemi. Oinn także używają tego sposobu, a kody, jakie stosujemy i my, i oni są trudne do złamania i tak często zmieniane, że w zasadzie nie sposób zrozumieć łączność drugiej strony. Poza tym musicie jeszcze mieć kogoś, kto znałby się na tym sprzęcie i utrzymywał łączność. To będę ja.

– Wszystko ślicznie, tylko jak dostaniemy się na Ziemię z tobą i z nadajnikiem? – wtrąciła się Nadia. – Nasza podróż została zorganizowana w jedną stronę. Istniało zbyt wiele niewiadomych i

zbyt wielkie ryzyko, by planować powrót.

– Komendant ma plan: zaatakujemy działa na biegunie i przy okazji okrążania Ziemi zostanie wystrzelona kapsuła ratunkowa z jednego z okrętów nad rejonem, który nam wskażecie. Rejon ten powinien być tak wybrany, by Oinn nie zauważyli waszego przybycia. Możecie taki obszar znaleźć?

– Bez trudu – odparła Nadia. – Jest doskonałe miejsce na Syberii, gdzie lądowały prawie wszystkie nasze załogi kosmiczne. Tylko musicie szybko lecieć, by nie namierzył was system obrony raketowej, bo nici z tajemnicy. Żeby szybko dostać się do Moskwy, musimy wylądować w pobliżu jakiegokolwiek osady. To rzadko zaludniony i ogromny obszar. Bardzo wątpliwe, by Oinn w ogóle go obserwowali. Czy takie rozwiązanie cię satysfakcjonuje?

Pytanie skierowane było do Roberta, który zmuszony został do błyskawicznej analizy sytuacji, co i jemu, i sytuacji wyszło na dobre.

– Plan jest doskonały – zdecydował. – Poza tym dobrze byłoby, gdyby Srparr pozostał z nadajnikiem w Rosji. Po pierwsze macie mniej wścibską prasę i łatwiej o zachowanie tajemnicy, po drugie Oinn nie pokazali się na waszym terenie ani razu. Stany wyślą zespół łącznikowy i załatwi to sprawę koordynacji poczynań. Lepiej dmuchać na zimne, a w ten sposób ryzyko przypadkowego wyjścia na jaw pobytu Blettr na Ziemi sprowadzone zostanie do minimum.

– Trzeba wszystko przygotować – zgodził się Srparr i wyszedł.

Patrząc na zamykające się za nim drzwi, Rob poczuł, jak opada zeń napięcie. Ogarnęła go fala zmęczenia tak fizycznego, jak i psychicznego. Spojrzał na dziewczynę i podobne odczucia zauważył na jej twarzy.

– To była daleka droga – mruknął.

– Była – odparła obojętnym, dokładnie wystudowanym głosem, który nie zdradzał niczego.

– Przepraszam za to, co było, zanim tu dojechaliśmy.

– Nie ma sensu o tym dyskutować.

– Myślę, że jest. Musisz zrozumieć, że nie miałem wyboru. Nieważne, co każde z nas czuło; musieliśmy wejść do środka tej czarnej gąsienicy.

– Doskonale o tym wiem. Ale mogłeś znaleźć inny sposób wyrażenia swojej opinii, bez użycia przemocy fizycznej. To było obrzydliwe.

– Nie twierdę, że sprawiło mi to przyjemność albo, że chciałem to zrobić. Ale zadanie było ważniejsze niż czyjeś zranione uczucia. Gdybyś była mężczyzną, zrobiłbym to samo.

– Doprawdy? Mocno w to wątpię, myślę, że znalazłbyś inny sposób. Wystarczy tego bezcelowego gadania, mamy do omówienia ważniejszą sprawę. – Zapisała coś szybko i bez słowa podała mu kartkę.

– Tak – przyznał Rob po przeczytaniu kartki, drąc ją na strzępy. – Zgadzam się z tobą całkowicie.

Wiadomość od Nadii była następująca: "NIE UFAM BLETTR ANI TROCHĘ BARDZIEJ NIŻ OINN"...

# Powrót na Ziemię

Chłop pieliał niewielkie poletko kapusty, korzystając z ciepłego dnia, gdy padł na niego cień. Nie zwrócił nań uwagi – chmura albo stado ptaków, nie interesowało go to w ogóle. Miał robotę, która pochłaniała go bez reszty – lato w tych rejonach było krótkie, a ziemia niezbyt urodzajna. Jeśli nie uzyska z niej odpowiedniej ilości płodów, to on i jego rodzina będą głodni. Na pomoc ze strony komunistycznej władzy robotników i chłopów nie miał co liczyć. A w tych stronach tylko jeden krok oddzielał głód od śmierci. Pieliał więc z zapałem, ale cień był nieustępliwy i od dłuższej już chwili zasłaniał słońce. W końcu chłop ruszyło i spojrzął w górę.

I zamarł z otwartą gębą, wpatrując się w ciemny cylinder, opadający powoli prosto na niego.

– Boże mój... – jęknął chłop i wypuścił motykę, pewny, że za chwilę zostanie zmiażdżony.

Cylinder jednak łagodnie zmienił kurs i opadł parę metrów od niego na pole kapusty. Zanim chłop zdołał oprzytomnieć i uciec, otwały się w burcie drzwi i wyszła z nich srebrzysta postać. Tego było zdecydowanie zbyt wiele na nerwy wieśniaka: z krzykiem rzucił się do ucieczki.

– Stój, durniu! – krzyknęła za nim Nadia. – Nigdy nie widziałeś kosmonauty?!

Miała moskiewski akcent i tyle złości w głosie, że chłop stanął. Nogi co prawda mu się trzęsły, ale obawa przed gniewem władz i ciekawość były silniejsze od pierwotnego strachu.

– Tam jest kołchoz? – spytała Nadia, pokazując na grupę białych budynków oddalonych o niespełna kilometr. – Doskonale. Jest tam telefon? Świetnie!

Odwróciła się i przeszła na angielski, gdyż Rob zdążył w tym czasie stanąć obok.

– Jest telefon w kołchozie, zadzwonię, jak się umawialiśmy i wrócę, jak tylko będę mogła najszybciej. Tylko trzymaj Srrparra wewnątrz, bo albo ten chłop dostanie zawału na jego widok, albo się tu zleci cała wieś.

Chłop spoglądał na nich, nic nie rozumiejąc, potem popatrzył w ślad za Nadią, oddalającą się polną drogą w stronę kołchozu i dopiero wtedy wrócił do rzeczywistości. Rozejrzał się po polu i dotarło do niego, że ładownik zniszczył część roślin.

– Kapusta... – jęknął rozdzierająco.

– Niech cholera weźmie to zielsko – warknął Rob, nagle przekraczając granice odporności nerwowej.

Mówił po angielsku, ale ton głosu był wystarczająco wściekły, by chłopą wymiotło. Rob tymczasem ciężko siadł, opierając się plecami o burtę ładownika. Ziemia w niebezpieczeństwie, on po podróży na Księżyc i z powrotem prawie jednym ciągiem, a ten tu rozpacza nad paroma główkami zniszczonej kapusty. Może kiedy indziej by mu współczuł, ale teraz po prostu miał dość.

Dostrzegł wracającą Nadię, ale ledwo doszła do połowy odległości dzielącej ją od ładownika, gdy zjawiała się armada helikopterów. Rob musiał przyznać, że wojsko działało tu błyskawicznie. Maszyny wylądowały, wzbijając tumany kurzu, wysypali się z nich żołnierze i utworzyli ochronny krąg wokół lądowiska. Nadia podbiegła do jednej z maszyn, odebrała od pilota zawiniątko i podeszła do kapsuły.

– Wszystko w porządku – wyjaśniła, siadając obok. – Dodzwoniłam się do Moskwy. Już wysłali konwój z najbliższej bazy. Helikoptery zapewnią osłonę, a przy okazji przywiozły to.

Otworzyła wojskowy chlebak, który dał jej pilot, i wyjęła butelkę dubrowki, jeszcze chłodnej i lekko oszronionej.

– Zapomnieli szklanek – zauważyła, wprawnie otwierając butelkę. Pociągnęła długi łyk z gwinta. – Straszne!

Ponownie sięgnęła do chlebaka i wyjęła parę skibek czarnego chleba z salami.

– To wszystko, co mieli – stwierdziła, ocierając z twarzy pot zmieszany z brudem.

– A kto narzeka?

Wypili, zagryźli i poczuł, jak przechodzi jej część antypatii do niego, ale nawet nie próbował podjąć tego tematu.

Wojskowy konwój zjawił się, gdy z przywiezionych zapasów nie pozostało śladu, poza pustą butelką. Nadia pokierowała największą ciężarówką ze szczelną plandeką, tak by podjechała tyłem do drzwi kapsuły, wychodząc ze zdrowego założenia, że nawet w środku Rosji im mniej świadków, tym lepiej. Rozległ się głośny rozkaz i wszyscy żołnierze zwrócili się twarzami na zewnątrz chronionego obszaru. Srparr błyskawicznie przemknął z wnętrza ładownika do wnętrza ciężarówki, a Rob i Nadia przenieśli pojemniki z żywnością i nadajnik. Blettr wolał nie być na ziemskiej diecie i trudno było mieć mu to za złe. Spływali potem, zanim skończyli i Nadia dała znać dowódcy konwoju, że wszystko załatwione. Zmęczeni zwalili się na drewniane ławki ciężarówki i konwój ruszył. Wsiadając, Rob dostrzegł potężny helikopter, do którego windy mocowano kable, by unieść kapsułę ratunkową pozostającą ostatnim śladem ich przybycia.

– W Moskwie się zagotowało – stwierdziła Nadia. – Choć naturalnie przez telefon nie podałam im żadnych szczegółów. Spotkamy się z władzami w Różowej Bazie, o której pewnie nigdy nie słyszałeś.

– Pink Base. Wasze centrum dowodzenia rejonu Bałtyku na wypadek wojny.

Uniosła brwi.

– Jesteście lepsi niż myślałam – przyznała.

– Teraz to już nie jest takie ważne, prawda?

– Nie jest. I oby tak zostało. Ten sojusz może być dobry nawet bez galaktycznej wojny.

– Jak dotąd to jedyna dobra rzecz, jaka wynikła z tego całego bajzlu. I pomyśleć, że trzeba było inwazji z Kosmosu, żeby ludzie zaczęli myśleć.

– Tu jest strasznie gorąco i duszno – wtrącił się Srparr.

Faktycznie, jego futro poruszało się gwałtownie niczym pod wpływem huraganu.

– Jeszcze tylko kilka minut. Powinniśmy już dojeżdżać do lotniska, a tam przesiądziemy się do klimatyzowanego samolotu. Wytrzymasz?

– Wytrzymam. Nie czuję się dobrze – mruknął Blettr i znieruchomiał w kącie.

– Czy moje władze zostały powiadomione? – zainteresował się Rob.

– Tak. Na spotkaniu będzie część waszej ambasady w Moskwie: ambasador i wszyscy oficerowie wywiadu, jacy tam pracują pod różnymi pretekstami.

– Wasi robią to samo, więc jest remis. W takim razie będę zbędnym dodatkiem do całokształtu, bo to spotkanie będzie rejestrowane na żywo. Moim zadaniem jest zdać w Stanach relację z tego, co się wydarzyło. Zanim zaczniemy współpracować z nimi, musi być wszystko uzgodnione na najwyższym szczeblu.

– Na lotnisku powinien znaleźć się jakiś dyspozycyjny odrzutowiec, a ja mam autoryzację posunąć z samej góry, co oznacza, że mogę robić prawie wszystko, na co mam ochotę. Tylko ustal, gdzie chcesz lądować.

Nadia mówiła prawdę: na lotnisku zarekwirowała dwuosobowy samolot dalekiego zwiadu fotograficznego (czytaj: samolot szpiegowski), zdolny w razie konieczności rozwijać prędkość 3.6 Macha. To była konieczność.

Rob zasnął, ledwie wystartowali, a obudził się, gdy wylądowali. Zgodnie z instrukcją wieży kontrolnej, pilot poczekał na pojawienie się samochodu pilotującego na końcu pasa poza zasięgiem widoczności z dworca lotniczego, w czym wybitnie był pomocny ulewny deszcz. Podkołowali do

pospiesznie opustoszonego hangaru i Rob przesiadł się do pancernego cadillaca.

Gdy wprowadzono go do podziemnej sali konferencyjnej w Pentagonie, Rob czuł się brudny i zmęczony. Jak dotąd nikt się doń słowem nie odezwał, za to wszyscy się potwornie spieszyli. Na jego widok zza stołu poderwał się Bennington z wyciągniętą prawicą.

– Udało ci się! Gratulacje, i to z głębi serca, chłopcze.

– Dziękuję, sir. Ale bez Nadii nigdy bym tego nie osiągnął...

– Naturalnie. Wspaniała dziewczyna! Chcę, żebyś zdał mi natychmiast relację z tego, co się wydarzyło, ale powinna być przy tym jeszcze jedna osoba... O, właśnie jest.

Na widok nowo przybyłego Rob strzelił obcasami jak za najlepszych kadeckich czasów.

– Dobra robota, pułkowniku.

– Dziękuję, panie prezydencie – odparł, ściskając podaną dłoń.

– Proszę wygodnie usiąść i opowiedzieć nam wszystko po kolei. Nagrywamy wszystko, a spotkanie w szerszym gronie będzie później. Teraz chcę usłyszeć pańską opinię, wiem o wątpliwościach, których efektem była ta podróż. Podzielam te wątpliwości, a teraz słuchamy.

Rob zdał relację wolno i dokładnie, nie pomijając niczego. Bennington siedział wyprostowany i milczący, nie zdradzając się żadną reakcją. Prezydent miał różnorakie, ale także zachowywał milczenie. Gdy relacja dobiegła końca, prezydent oparł się głębiej w fotelu i westchnął. Zmarszczone czoło i nieobecny wzrok świadczyły o głębokim zamyśleniu.

– Jakie są pańskie osobiste wnioski, pułkowniku? – zapytał po długim milczeniu.

– Podobne do wniosków pani Andrianowej; mieliśmy okazję wymienić notatki na ten temat. Nie wierzę Blettr dokładnie tak samo, jak nie wierzę Oinn.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego?

– Powody są w zasadzie takie same, jak te, które doprowadziły do wątpliwości w prawdomówność Oinn: wszystko opiera się na słowach, bez żadnych dowodów na ich poparcie. Jeśli nie będzie się brało pod uwagę tego, co mówią i oceniało tylko fakty, to mamy następującą sytuację. Na Ziemi wylądował pojazd obcej cywilizacji z przedstawicielami dwóch ras na pokładzie. Każda z nich mogła to zaaranżować i każda twierdzi, że zrobiła to ta druga. Następnie mamy konflikt galaktyczny z Ziemią w samym jego środku. Jedna ze stron walczących ma fortecę na Księżycu, druga potężne stanowisko ogniowe na Biegunie Południowym. Biją się ze sobą, a my nie dość, że dostarczamy im materiały, to jeszcze straciliśmy kilka ładnych milionów ludzi, zabitych w trzech zbombardowanych miastach. To i tylko to są fakty, reszta to słowa i wrażenia. Zupełnie jak w show businessie.

– Trochę znam ten typ interesów – uśmiechnął się prezydent. – Ma pan jakieś fakty czy dowody na potwierdzenie swojego stanowiska?

– Język. Obie grupy obcych są sobie nawzajem biologicznie tak samo obcy, a jak wobec nas – mówią tym samym językiem. Wydaje mi się, że gdybyśmy znaleźli odpowiedź na pytanie dlaczego, to dowiedzielibyśmy się znacznie więcej na temat tego konfliktu. Reszta to trudne do zidentyfikowania odczucia: ani razu nie miałem wrażenia, że którakolwiek z tych ras mówi mi prawdę. Nie wątpię ani przez chwilę, że ukrywają przed nami całą masę spraw, w tym między innymi prawdziwe powody tej wojny, w którą zostaliśmy wciągnięci.

– To poważne oskarżenie, Rob – odezwał się Bennington – oparte na nader skromnych dowodach, co sam zresztą przyznałeś.

– To nie są oskarżenia, tylko moje osobiste odczucia, które przedstawiłem, jak mnie o to proszono. Co do oskarżeń, to mam jedno: zostaliśmy wciągnięci w wojnę, której nie rozumiemy, i już ponieśliśmy ciężkie straty. To są fakty, którym trudno zaprzeczyć, sir.



– W rzeczy samej – zgodził się prezydent. – Czy ma pan jakieś rozwiązanie, które uważa pan za godne rozważenia, pułkowniku?

– Nie, sir. Jedyne, co mogę doradzić, to czujność. Nie należy ufać żadnej grupie i zawsze pamiętać, że prawdziwą lojalność jesteśmy winni tylko ludzkości i że zawsze jej dobro powinno być najważniejsze.

– Zgadza się – mruknął prezydent. – A co, według pana, uważają Rosjanie?

– Dokładnie to samo, inaczej nie daliby tej rakiety. Oni z natury są znacznie bardziej podejrzliwi niż my, więc to mówi samo za siebie. Podobnie jak współpraca z nami, do której przez wiele lat nie dało się ich namówić.

– Całkowita racja. Jeszcze jakieś uwagi?

– Tak, sir, ale proszę o wybaczenie. Moje pomysły są raczej niecodzienne i być może kierują mną uprzedzenia.

– Prosiłem o pańskie osobiste opinie. Nie zapominam, że pan pierwszy zetknął się z przedstawicielami obydwu tych ras. Takie kontakty bardzo pomagają w wyrobieniu sobie właściwego poglądu na sytuację, choć w danej chwili może być on odosobniony czy wręcz ekscentryczny.

– Rob, jeśli masz jakiś pomysł, to nie krępuj się i mów – poparł prezydenta Bennington.

Rob wziął głęboki oddech i oznajmił, starając się zachować maksymalny spokój:

– Ponieważ nie możemy ufać żadnej ze stron, nie powinniśmy angażować się w konflikt. Nie możemy tego zrobić otwarcie, w związku z czym należy udawać sojusz z każdym z osobna. To powinno skutecznie ukryć nasze właściwe zamiary. By móc odzepić się od tych nieproszonych gości, potrzebujemy nowych broni, na tyle silnych, by były w stanie im zagrozić, a jednocześnie umożliwiały nam obronę Ziemi. A na to potrzebujemy czasu, musimy więc grać na zwłokę.

– Ma pan wyobraźnię – przyznał prezydent. – Oni w tej chwili dysponują bronią i wynalazkami przekraczającymi wyobraźnię.

– Wiem, sir. Choć co do wyobraźni nie zgodziłbym się: to i wiele więcej dawno temu wymyślili już pisarze z wyśmiewanego swego czasu gatunku zwanego science fiction, ale nie w tym rzecz. Nie mamy broni mogącej się równać z tym, co oni mają w swych arsenałach i dlatego należy wzmóc badania i wysiłki wywiadowcze, by zdobyć maksimum danych o tej broni. Trzeba obiecać im złote góry, a dać tyle, ile niezbędne, by nie wzbudzić podejrzeń tak Oinn, jak i Bletrr. I zrobić to z tak uczciwą miną, by oni ani przez moment nie wątpili w nasze nieskalane intencje. – Rob przerwał na chwilę i dodał. – Należy też zagonić do roboty wszystkich dostępnych naukowców do badań nad różnymi pomysłami, które można wykorzystać militarnie. Być może da to zupełnie inny rodzaj uzbrojenia niż ten, którym posługują się obcy, ale nie mniej groźny. Należy bowiem dozbroić się w sekrecie, by w odpowiedniej chwili wypowiedzieć wojnę obu tym rasom i wyrzucić je raz na zawsze tak z Ziemi, jak i z Księżyca.

Prezydent, mniej opanowany z pary słuchaczy, wypuścił ze świstem powietrze, Bennington zaś leciutko się uśmiechnął. Pomysł był oszałamiający, ale zaczął mu się podobać.

## Przełomowa decyzja

Niewielka żaglówka kołysała się na atlantyckich falach niczym korek. Świeża bryza nadawała jej wcale przyzwoitą prędkość i Rob z prawdziwą przyjemnością kierował małym stateczkiem, trzymając w jednej dłoni ster, w drugiej szot bomu. Z pozbawionego najmniejszej choćby chmurki nieba lał się żar, a morze, jak okiem sięgnąć, nie było skażone ludzką obecnością. Na zachodzie hotele Miami Beach rysowały się na horyzoncie, poza tym panowała cisza i spokój.

Nadia opalała się w czarnym i nieprzesadnie obszernym bikini, wyglądając atrakcyjniej niż kiedykolwiek dotąd. Rob z trudem pozbył się tej myśli, skupiając się na powodach, dla których wypłynęli aż tak daleko od brzegu.

– Chyba wystarczy – stwierdził – żaden znany mi sprzęt nie jest w stanie nas tu podsłuchać.

– A łódź?

– Wybrałem przypadkową z setki prawie identycznych i sprawdziłem wykrywaczem pluskiew. Czysta. Możemy spokojnie porozmawiać.

– Te środki ostrożności zaczynają mi działać na nerwy.

– Bardziej nerwowe byłoby obserwowanie, jak nas wszystkich szlag trafia. Zdajesz sobie doskonale sprawę, że oni nie mogą nas o nic podejrzewać.

Westchnęła, patrząc na ślad, jaki zostawiała na wodzie jej zanurzona dłoń.

– Pewnie, że zdaję sobie z tego sprawę. Jestem zmęczona i mam wszystkiego dość, to się chyba nazywa chandra. To i ciągle napięcie, że w każdej chwili mogę coś wypaplać... wiesz, coraz ciężiej przychodzi mi normalnie z nimi rozmawiać.

Rob miał ochotę wziąć ją w ramiona i pocieszyć, ale opanował się, zaciskając dłoń na rumplu; od chwili, kiedy zmusił ją do wejścia do podziemnego pojazdu, coś między nimi pękło, a od tej pory nie miał czasu ani głowy, by zajmować się własnymi uczuciami.

– Nie mamy wyboru – odparł, starając się, by głos brzmiał obojętnie, a nawet zimno. – Tak się złożyło, że tkwimy w tym po szyję i to z własnego wyboru. Okoliczności zdecydowały za nas. Oboje jesteśmy od początku i będziemy zapewne do końca uwikłani w tę sprawę; niezależnie od tego, jaki to będzie koniec. Poza tym wybraliśmy się tu, żeby popracować, toteż proponuję zabrać się do roboty.

– Ale dziś jesteśmy obowiązkowi i oficjalni – parsknęła gniewnie.

Przez chwilę na jej twarzy malowała się złość. Opryskała twarz wodą i przetarła oczy; gdy odezwała się po paru sekundach, głos był już spokojny i opanowany:

– Przepraszam, to była głupia uwaga. Wiem, co musimy zrobić, więc zabierajmy się do roboty. Czy połączony sztab podjął jakieś decyzje?

– Gdzie tam! Gadają jak stare baby na rynku, argumentują, że aż żal słuchać i nie podejmują absolutnie żadnej decyzji. Według mnie po prostu boją się odpowiedzialności za tak ważną decyzję. Chcą wiedzieć więcej o Blettr. Czy Srparr dostarczył wreszcie te plany?

– Nie; twierdzi, że nie jest specjalistą, a schematy są zbyt skomplikowane, by dało się je narysować na podstawie ustnych danych, jakie mogą przekazać z bazy.

– No, to jesteśmy w tym samym miejscu, co parę tygodni temu. Fabryki na całym świecie produkują elementy broni dla Oinn, ale nie główny obwód sterujący, bez którego jest ona bezużyteczna. Oinn nie chcą zdradzić tego sekretu, a Blettr niby mają dobre chęci, ale jak dotąd też

tego nie zrobili.

– Musi być jakiś sposób, by przełamać ten impas.

– Święta racja, tylko jaki? Uważaj na głowę, robimy zwrot.

– Poproszę o drugi zestaw pytań – mruknęła, odruchowo wciągając głowę w ramiona, gdy przelatywał nad nią żagiel chwilowo pozbawiony wiatru.

– Po południu ma się odbyć konferencja, gdzie spotykają się rozmaite zespoły badawcze, by wymienić efekty badań. Będę tam jako obserwator, by sporządzić raport tak dla naszych władz, jak i dla twoich. Dlatego musiałem się z tobą wcześniej spotkać, żeby dowiedzieć się, czy macie jakieś sukcesy.

– Nic istotnego technicznie czy ważnego informacyjnie. Słucham Srparra na żywo albo z taśmy i wszystko, co mówi im i nam, jest dokładnie tłumaczone. Czasami zastanawiam się, czy słusznie jesteśmy tak samo podejrzliwi wobec Blettr, jak wobec Oinn.

– Opierając się tylko na słowach? Wiedzą, że współpracujemy z Oinn i że znamy ich język. Mogą być bardziej cwani niż przypuszczamy; czy dostajecie nagrania drugiej strony, ich bazy na Księżycu?

– Nie. Srparr nosi słuchawki w czasie nadawania i nie udało nam się jak dotąd nagrać tej części rozmowy.

– Sama więc widzisz, że może słyszeć zupełnie coś innego, niż wam mówi. Znów tylko słowa, bez dowodów i faktów. Jest jeszcze coś, co powinienem umieścić w raporcie?

– Tylko to, że dostarczyliśmy niewielką ilość materiału radioaktywnego do fortecy, by zwrócić stracony na nasz powrót.

– Dobra. Zapamiętałem wszystko. Zanim złapię samolot, zdążę wpaść na lunch. Przyłączysz się?

– Nie, to znaczy dziękuję, nie. Nic do ciebie nie mam, ale jestem wściekła na cały świat. Jedyne, na co naprawdę mam ochotę, to być sama i mieć spokój. Jeśli możesz mi powiedzieć, jak się tym pływa, to spędzę tu resztę dnia.

– Żaden problem, bardzo łatwo można się tego nauczyć.

Praktyka okazała się nieco trudniejsza: gdy Nadia opanowała sztukę żeglowania na tyle, by można ją było bezpiecznie zostawić samą na pokładzie, Robertowi zostało tylko tyle czasu, by dojechać na lotnisko i złapać w biegu hamburgera. Na szczęście lot wojskowym transportowcem nie trwał długo, a na Lowry Field czekał już na niego wóz z eskortą. Wysiadając, Rob odruchowo spojrzął na rysującą się na horyzoncie panoramę Denver. Kierowca, sierżant, zauważył to spojrzenie i splunął na cementowe płyty pasa startowego.

– Stąd nic nie widać, sir – odezwał się. – Nadal usuwają trupy: ludzi, kotów, ptaków. Wszystko ugotowane i rozprysnięte po ścianach; chłopaki mówią, że śmierdzi tam tak, że nie ma czym oddychać.

– Dostaniemy ich za to, sierżancie. Nie mogę wam powiedzieć jak, ale zapłacą za to.

– Miło słyszeć, sir – głos był flegmatyczny, ale dziwnie groźny. – Wielu chłopaków chciałoby im się dobrać do skóry. Nie będzie problemu z ochotnikami.

Podróż składała się z czterech etapów: dwóch lotniczych i dwóch lądowych, a ostatni dojazd odbył się z przepaską na oczach w samochodzie o szczelnie zasłoniętych oknach. Cała ta procedura na tyle spowolniła podróż, że Rob dotarł na zebranie jako ostatni. Spotkanie już się zresztą zaczęło.

Sala, w której odbywało się posiedzenie, była pustawa – kilkunastu obecnych zapełniało jedynie kilka pierwszych rzędów; nie miała też okien, co było zrozumiałe, gdyż mieściła się trzy poziomy betonu pod masywem Rocky Mountains. Była częścią kompleksu przewidzianego, by gościć prezydenta i Sztab Generalny na wypadek konfliktu nuklearnego. Obecnie wypożyczono ją

naukowcom, gdyż zapewniała maksimum ochrony i zachowania tajemnicy. Nie chcąc jednak zdradzać jej dokładnego położenia, wprowadzono owe środki ostrożności, wskutek czego Rob się spóźnił. Gdy wpadł do sali, na mównicę wchodził właśnie doktor Lukoff, szef zespołu badającego pojazd, którym przylecieli obcy.

– Panowie, i panie naturalnie. – Prelegent odchrząknął, kładąc obok mikrofonu grubą teczkę z dokumentami. – Mam tu wstępny raport z badań pojazdu, który wylądował w Nowym Jorku. Już pobieżne obserwacje ujawniły, że wszystkie urządzenia i instrumenty w kabinie sterowniczej nie działają, co było zgodne z zapisem filmowym zaraz po nawiązaniu kontaktu, gdy Oinn wyłączył je w obecności naszych obserwatorów. Kolejnym krokiem było rozebranie i zbadanie znajdujących się tam rozmaitych urządzeń, co było powolnym zajęciem głównie dlatego, że zasady montażu i uchwyty były nam zupełnie obce. Skonstruowano odpowiednie narzędzia, odpowiedniki śrubokrętów czy kluczy, i udało nam się rozmontować większość urządzeń. Nie udało się natomiast ich zbadać, gdyż nie reagowały na testy, i dopiero dalsze badania ujawniły, że wszystkie urządzenia poddane zostały bardzo silnemu przeciążeniu energetycznemu, w wyniku którego obwody uległy spaleni i żadne z nich nie działa i działać nie będzie.

Obecni zareagowali na to gniewnym pomrukiem, który uciszyło dopiero pytanie Tillemana, przewodniczącego posiedzenia:

– Czy znane są przyczyny tego stanu rzeczy?

– Owszem; dokładne przejrzenie taśmy wideo nie pozostawia wątpliwości co do tego, że gdy zwiad po raz pierwszy wszedł do sterówki, część urządzeń była sprawna, paliły się lampki, działały ekrany itp. Podobnie rzecz się miała, gdy zaprowadził ich tam Hes'bu, by rozbroić bombę, jak twierdził. Po tymże "rozbrojeniu" wszystkie ekrany zgasły, jasne jest więc, kto i kiedy zrobił owo spięcie. Biorąc pod uwagę jego stałe ignorowanie naszych próśb o tłumaczenie czy schematy, widać jasno, że celowo dąży do tego, byśmy nie byli w stanie zrozumieć i skopiować ich technologii. – Lukoff zajrzał do notatek i kontynuował: – Następnie przeprowadziliśmy dokładne poszukiwania na całym statku. Poza drzwiami, które otworzyły się przy pierwszym wejściu zwiadu, nie działa żadne urządzenie i żaden mechanizm. Udało nam się jednak dojść do generatora i, jak nam się zdaje, napędu. Oba są skonstruowane z materii przypominającej metal, acz charakteryzującej się dziwnymi właściwościami. Nie udało nam się bowiem ani ich naciąć, ani przewiercić, ani podziałać chemicznie. Nie możemy wziąć próbek do analizy, a jedyną rzeczą, jaką wiemy, jest to, że źródło energii zawiera substancje radioaktywne. Jeśli ekranowanie nie zniekształca odczytów, to jest to izotop uranu znany jako U-235. I to, proszę państwa, jest wszystko, co wiemy w chwili obecnej o statku i technice obcych.

Wściekłą wrzawę uciszył dopiero młotek Tillemana.

– Proszę obecnych o uwagę! – ryknął przewodniczący. – Dyskusja i komentarz po ostatnim raporcie, tak było przewidziane, ale biorąc pod uwagę niezwykłość tego, co usłyszeliśmy, proponuję, by zmienić porządek obrad. Prosiłbym o komentarz pana Dalgaard.

Do mównicy podszedł powoli wysoki Duńczyk i oznajmił krótko:

– Jedyne, co mam do zakomunikowania, to to, że rozmaite zakłady rozsiane po całym świecie produkują części składowe broni obcych, dostarczane do ich antarktycznej bazy. Z tego, co wiemy, są one zasilane przez U-235, a ich plany dostarczyli Oinn. Ostatnie meldunki od nich głoszą, że większość izotopu zużyli na odparcie pierwszego ataku Blettr i muszą gwałtownie uzupełnić te braki. Zamówienie opiewa na sporą ilość izotopu nadającego się do wyrobu broni nuklearnej. Jest on obecnie w drodze do ich bazy.

Znów podniosła się wrzawa i znów Tilleman uciszał zebranych.

– Proszę o spokój, przedyskutujemy sytuację po wysłuchaniu wszystkich raportów. Kolejnym mówcą będzie doktor Heiserman z Sekcji Analiz Broni Oinn.

Doktor Heiserman wdrapał się na mównicę, nie wyciągając rąk z kieszeni nieco wymiętej marynarki.

– Nie przyniosłem raportu, bo nie ma o czym pisać – wyjaśnił zwięźle. – Uzyskaliśmy próbki wszystkich wyrobów produkowanych na zamówienie Oinn i przyznaję, że wszystko do siebie idealnie pasuje. Na oko mamy replikę ich działa. Nie jest ona jednak sprawna, gdyż brak nam całej elektroniki, która nie jest produkowana nigdzie na Ziemi. Należy więc założyć, że mają ich zapas, który montują do gotowych urządzeń. Mówiąc więc krótko, mamy do dyspozycji cholernie kosztowny kawałek złomu...

W tym momencie ktoś zbliżył się do Roberta i spytał cicho:

– Pułkownik Hayward?

Rob odwrócił się – za nim siedział młody porucznik, który dodał wyjaśniająco:

– Jest pan proszony do centrum łączności. Poprowadzę pana.

Dotarcie do centrum łączności okazało się przejściem przez trzy niezależne kordony uzbrojonych i bardzo dokładnych strażników. Za każdym razem dokładnie oglądano przepustki i sprawdzano na terminalach, czy przypadkiem nie są fałszywe. Nie były i w końcu dotarli do sekcji szyfrów.

– Raczej rzadko spotyka się wiadomość oznaczoną najwyższym stopniem utajnienia, przeznaczoną dla pułkownika. Ale tak jest w tym wypadku – powitał ich oficer dyżurny. – Wyjdziemy, a pan wprowadzi swój kod. Potem proszę skasować wiadomość.

Rob odczekał, aż drzwi się zamknęły, wprowadził swój kod i odczytał na ekranie komputera:

**NATYCHMIAST PRZYBYĆ DO WASZYNGTONU. PODJĘTO DECYZJE.  
BEZZWŁOCZNA AKCJA ZBROJNA.  
BENNINGTON**

## Plan bitwy

W pokoju były cztery osoby – Rob znał generała Beltine'a, ale obaj Rosjanie byli dlań zagadką. Starszy, w randze generała, był szpakowaty i grubawy, tradycyjnie jak choinka obwieszony medalami od szyi do pasa. Młodszy, w stopniu majora, był muskularny i proporcjonalnie zbudowany. Wiek i liczba odznak, od spadochroniarskich po wyborowego strzelca, świadczyły o przynależności do jednostek liniowych.

Rozmyślania Roberta przerwało chrząknięcie generała Beltine'a, który przewodniczył naradzie.

– Chciałbym przedstawić obecnych sobie nawzajem oraz wyjaśnić, po co się tu zebraliśmy. Jestem generał Beltine i zostałem mianowany szefem akcji ze strony amerykańskiej. Dowódcą operacji będzie siedzący po mojej prawej stronie pułkownik Robert Hayward. Moim odpowiednikiem ze strony rosyjskiej jest generał Sobolewski, a zastępcą dowódcy akcji major Kirsza Daniłow. Oba zespoły oficerów pracowały już uprzednio ze sobą na zasadzie podwładny-przełożony. Teraz zaś pora wyjaśnić, po co zebraliśmy się tutaj. Otóż na ostatnim posiedzeniu połączonych sztabów otrzymaliśmy w końcu wskazówkę, jaki powinien być cel operacji wojskowej z naszej strony, jeśli by takowa miała nastąpić. Dały nam ją rozmowy z Blettr. Jak się orientujecie, utrzymujemy kontakty z obydwoma obcymi rasami, o czym Oinn nie wiedzą. Blettr zaś nie wiedzą o tym, że jesteśmy wobec nich, łagodnie mówiąc, mniej niż szczerzy, podobnie zresztą jak i wobec Oinn. Każdy, kto miał do czynienia z przedstawicielem którejkolwiek z tych ras, podziela opinię, że nie są oni szczerzy w stosunkach z nami w co najmniej takim samym stopniu. Dlatego też wszystkie informacje i nagrania wszystkich rozmów z każdą ze stron są dokładnie porównywane i analizowane. Ponieważ generał Sobolewski jest odpowiedzialny za łączność z fortecą Blettr, oddaję mu głos w sprawie szczegółów.

– Dziękuję. Nie jest rzeczą dziwną dla nikogo, że wiele wiadomości, jakie przekazujemy za pośrednictwem Srparr, jest tak spreparowanych, by uzyskać bezpośrednią lub pośrednią drogą wiadomości do analiz. Zaproponowaliśmy im zmniejszenie dostaw uranu dla Oinn, na co usłyszeliśmy, żeby tego nie robić, gdyż wzbudzi to podejrzenia i może zakończyć się zagładą kolejnego miasta. Niby prawda. Proponowaliśmy rozmaite akcje mające na celu wyciągnięcie danych z Oinn, ale rozważanie ich celowości i skuteczności przeciąga się w nieskończoność, choć w kilku przeanalizowanych opinie były zgodne z naszymi. Zaproponowaliśmy też atak na bazę Oinn na biegunie. Gdy nie ma tam żadnego z pojazdów obcych, ich liczba jest niewielka: zwykle sześć do siedmiu. Propozycja obejmowała szybki atak w typie commando, wypytywanie złapanych obcych, po czym usunięcie śladów i pytanych tak, by wyglądało to na przypadkowy wybuch. – Sobolewski przerwał i rozejrzał się po twarzach obecnych z zimnym uśmiechem triumfu. – Na tę propozycję dostaliśmy zupełnie jednoznaczny i błyskawiczny odpowiedź. Srparr, ledwie panując nad sobą, przekazał nam, byśmy nigdy i to pod żadnym pozorem nie próbowali atakować tej bazy, gdyż może to oznaczać koniec Ziemi. Naturalnym wobec tego było zupełnie na serio zaplanowanie takiego ataku...

– Proszę wybaczyć, towarzyszu generale – przerwał mu Daniłow w zupełnie niezłym angielskim – ale czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego akurat w tym wypadku chcemy zrobić coś zupełnie przeciwnego temu, co chcą Blettr? Zazwyczaj starannie i bez pośpiechu analizujemy ich rady.

– Najlepiej będzie, jeśli odpowie panu pułkownik Hayward – odezwał się Beltine. – Miał on osobiste kontakty z przedstawicielami obu ras i ma więcej doświadczenia w obcowaniu z nimi niż

my trzej razem wzięci.

– Znam ich i dlatego uważam, że akcja powinna się odbyć, i to jak najszybciej. Od pojawienia się tego pojazdu i kontaktu z Oinn poruszaliśmy się po omacku, próbując oddzielić prawdę od kłamstw. Jak dotąd w każdej sprawie otrzymywaliśmy od obu stron sprzeczne informacje. Dosłownie we wszystkich kwestiach. Oznacza to, że któraś ze stron musi kłamać, ale nie mieliśmy żadnego sposobu, by sprawdzić, która. Na przykład: obie strony twierdzą, że pojazd, który wylądował w Nowym Jorku, należy do przeciwnej, obie winią się nawzajem za zniszczenie naszych miast i nazywają najeźdźcami. Przykłady takie można mnożyć w nieskończoność, nawet w kwestiach zupełnych drobiazgów.

– Poza tym jednym i to wcale nie drobnym, rozumiem... – Daniłow pokiwał głową. – Oinn naturalnie nie chcą, byśmy ich zaatakowali, co jest zupełnie zrozumiałe, a teraz Blettr też nam tego zakazuje, a więc istnieje tam coś, czego żadna z tych ras nie chce nam zdradzić. A to naturalnie oznacza, że musimy zaatakować, by dowiedzieć się, co to takiego.

– Właśnie tak – zgodził się generał Beltine. – Musi to także być wspólna operacja, co jest chyba zrozumiałe. Rob jest z kolei naturalnym kandydatem na dowódcę z powodu znajomości obcych.

– Major Daniłow jest naturalnym wyborem z naszej strony – dodał generał Sobolewski. – Brał udział w wielu akcjach jako dowódca specjalnych grup piechoty morskiej. Jest doskonałym specjalistą w walce wręcz i jednym z najlepszych lingwistów w armii. Współpracował z Nadią Andrianową i obecnie równie płynnie jak ona posługuje się językiem obcych. Obaj zatem jesteście wybrani, by wprowadzić w życie plan, o którym mowa.

Pod wpływem nagłego impulsu Rob wyciągnął rękę do młodego majora.

– Miło mi będzie z tobą współpracować – powiedział, łamiąc wszelkie konwenanse wojskowego protokołu.

Twarz Rosjanina rozjaśnił uśmiech na widok tego spontanicznego zachowania. Entuzjastycznie uściśniętą dłoń i odparł:

– Cała przyjemność po mojej stronie, Rob. Nadia powiedziała, że mogę ci ufać; teraz wiem, że mówiła prawdę.

– Cieszy mnie dobry początek współpracy – podsumował generał Beltine. – Powinno się wam... Nie, do cholery! Musi się wam udać! Wystarczająco długo siedzieliśmy beczynnie, można to nazwać zemstą, można sprawiedliwością. Ja nazywam to wyrównywaniem rachunków za miliony zabitych i wciągnięcie nas w wojnę. Musimy ustalić, która grupa jest winna, bo bez dowodów nie można podjąć przeciwko nim żadnej akcji. Zdobądźcie ten dowód, a świat nigdy wam tego nie zapomni.

– Macie przygotować dokładny plan akcji i ją wykonać – zgodził się generał Sobolewski. – Ogólne zarysy pomysłu, a jeśli się uda, to i szczegóły oraz przybliżony termin najlepiej będzie ustalić tu i teraz. Wraz z generałem Beltine'em ustaliliśmy, że nie chcemy wam niczego narzucać, toteż najpierw prosimy o przedstawienie pomysłów. Potem omówimy szczegóły. Kirsza?

– Muszę mieć więcej danych. Jak dotąd jasne jest tylko, że atak musi być całkowitym zaskoczeniem, toteż oddział powinien zbliżyć się po lodzie, gdyż każdy obiekt latający będzie łatwo wykryty z dala od celu. Mam ludzi znających syberyjską zimę, gdzie panują podobne warunki klimatyczne, i wiem, że z radością skorzystają z tej okazji...

– Przepraszam, że przerywam, ale to się nie ma prawa udać – wtrącił Rob. – Baza leży ponad sto mil od brzegu, a ocean o tej porze roku jest zamrożony na wiele mil. To jest sam środek zimy w tamtych rejonach. Nawet jeśli podpłyniemy okrętem podwodnym i przebijemy się przez lód przy brzegu, podróż będzie zbyt długa i zbyt niebezpieczna. Musimy znaleźć inny sposób: łagodny, nie budzący podejrzeń podejście i nagły atak, który...

Zamilkł nagle, gdyż zaświtał mu niespodziewany pomysł. Poderwał się na równe nogi, zapominając o innych, i zaczął spacerować po sali. Dopiero po chwili zatrzymał się zadowolony z wyników rozmyślań i rozejrzył się przytomniej, zdając sobie sprawę, gdzie jest i co robi. Pozostali obserwowali go w milczeniu.

– Przepraszam, ale coś mi wpadło do głowy – powiedział, siadając na krześle. – Dlaczego by nie wykorzystać przeciwko nim ich własnych sztuczek? Można wyciąć im numer równie przewrotny, jak oni nam na samym początku. Koń trojański.

– Znam tę historię – zgodził się Daniłow – ale nie bardzo rozumiem co...

– Zaraz wyjaśnię. – Rob wziął leżący na stole notes i wyrysował na nim koło. – To centrum bazy Oinn. Wokół tego budynku, tu, tu i tu, w trzech współśrodkowych kręgach ustawione są działa energetyczne. Kręgi te nie są jednak kompletne, gdyż tutaj znajduje się lotnisko. Mają cały czas włączone pole siłowe nastawione na minimalną moc, by powstrzymać śnieg i zredukować siłę wiatru. Samoloty sprowadza radar i wieża kontrolna, a w połączeniu z polem daje to możliwość lądowania w prawie każdych warunkach atmosferycznych. I tu właśnie zaczyna się nasz koń trojański. Transportowy samolot, jeden z wielu bezustannie dostarczających tam zaopatrzenie i części. Nic nadzwyczajnego, że ten akurat przyleci w porze snu, co prawda o tej porze roku słońca się tam nie uświadczy, ale pory doby są dokładnie przestrzegane. W dodatku przylot odbędzie się w czasie burzy śnieżnej, których jest tam do diabła i trochę. Na pokładzie będą tylko piloci, co przy dużym ładunku i stałej trasie nie jest niczym niezwykłym. Nasi technicy muszą zaaranżować awarię w trakcie lądowania; niegroźną, ale uniemożliwiającą przełożenie pasa i przejście poza pole siłowe, tak by zaraz za nim maszyna utknęła w zaspie. Może to być awaria hamulców, złożenie jednej nogi podwozia, czyja wiem co...

– Doskonale. – Daniłow klasnął z zachwytem. – Piloci zostaną ranni w trakcie lądowania, więc ekipa ratunkowa przewiezie ich do szpitala w bazie. W samolocie będzie tylko zwykły ładunek, więc do rannej zmiany pozostawią go w spokoju, wychodząc z założenia, że nie ma sensu budzić ludzi o te kilka godzin wcześniej. A tymczasem wewnątrz ładunku...

Roześmiał się, widząc pełen złośliwej satysfakcji uśmiech Roberta.

– Należy odpłacać pięknym za nadobne – dodał Robert. Masz rację. Gdy ratownicy odejdą w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku i zamieszanie się uspokoi, nastąpi wyładunek oddziału i atak. Tu wyłania się kolejne pytanie: padła propozycja złapania żywcem i przesłuchania któregoś z Oinn. Nie wydaje mi się, byśmy byli zdolni zmusić go do mówienia: nie znamy ich budowy, nie wiemy, jakie chemikalia nań działają i jakie są ich słabe punkty. Szybkie zmuszenie go do zeznań wydaje mi się niemożliwe. Poza tym nie wiemy, jakie mają formy zabezpieczeń czy też ciche alarmy i ile będziemy mieli w związku z tym czasu. Na przykład mogą co określony czas wysyłać uzgodniony sygnał do któregoś z patrołowców; jego brak oznacza natychmiastowy alarm. Według mnie ryzyko brania jeńców jest zbyt duże, może narazić całą operację.

– Implikacją tego jest eliminacja od ręki wszystkich napotkanych Oinn – uzupełnił sucho generał Beltine.

– Tego wymaga powodzenie akcji; poza tym wojna nie kieruje się moralnością, lecz logiką, a nam nie tyle zależy na nich, co na ich urządzeniach. Gdy zdobędziemy elektronikę kierującą ogniem dział, zorganizujemy ładny fajerwerk, żeby ukryć ślady, a potem będziemy już dysponowali równie groźną bronią, co przeciwnik. Jeśli chodzi o fajerwerk, to proponowałbym taktyczny ładunek nuklearny: jak to wybuchnie, to trudno o ślady z przebiegu wydarzeń, a w tej okolicy straty z tego powodu będą minimalne.

– Brzmi to logicznie i przekonująco. – Generał Beltine w zamyśleniu skinął głową. – A co pan o



tym sądzi, generale Sobolewski?

– To samo, co i pan. Trzeba tylko dokładnie przemyśleć detale, zwłaszcza wybuchu i oficjalnej wersji, jaką podamy Oinn: to musi wyglądać jak wypadek. Naturalnie ledwie baza zostanie zdobyta, trzeba przerzucić tam zespół badawczy, a potem i ich, i desant ewakuować. To dobry plan – prosty i bez zbędnej liczby miejsc umożliwiających popełnienie błędu. Przypomina atak na Entebbe<sup>11</sup> i powinien zakończyć się podobnym sukcesem.

– Świetnie, wobec tego zabierzmy się za detale i listę sprzętu i ludzi, których będziemy potrzebować. Gdy zjednoczone sztaby zaakceptują plan, będziemy mogli zaczynać. – Generał Beltine sięgnął po długopis i notes.

– Zabili miliony z nas, nasze fabryki pracują dla nich, zabierają nasz materiał radioaktywny – powiedział cicho generał Sobolewski. – Musieliśmy się na to zgodzić, ale teraz skończyły się żarty!

## Godzina Zero

– Zajęte? – spytał Rob, wskazując krzesło.

– Nie, sir. Proszę bardzo. – Młody porucznik omal się nie zakrzusił.

Miła twarz pod blond włosami zdradzała pierwsze objawy otyłości, a jej właściciel opanował sztukę, jaka rzadko komu się udawała: równocześnie gadał i jadł, nie krztusząc się przy tym (jeśli nie liczyć niespodziewanych pytań ze strony oficerów sztabowych).

– Proszę siadać i jeść z apetytem, choć w tej mesie jest to nieco utrudnione. Przyznać im jednak należy, że braki w jakości nadrabiają ilością.

Ziemniaki, mięso i surówka, nie wspominając o deserze, znikwały równomiernie i w błyskawicznym tempie wewnątrz spiętego lotniczą koszulą brzucha. Koszula, poza tym, że była za ciasna, pozbawiona była wszelkich odznak, nie licząc stopnia na kołnierzu i skrzydełek pierwszego pilota na lewej piersi.

– Jestem tu przejazdem – odparł Rob. – Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali?

Zapytany uśmiechnął się szeroko.

– Nie sądziłem, że pan mnie zapamięta, pułkowniku Hayward. Spotkaliśmy się jak dotąd tylko jeden raz, a i tak przez większość czasu byłem w kabinie. Pilotowałem maszynę, którą leciał pan do bazy Żółwi. Nazywam się Baxter, pseudo Biscuit Baxter, choć nie mam pojęcia dlaczego. – Widelec znieruchomiał nad pustym talerzem, ale lewą ręką Baxter zdołał to nadrobić, pakując do ust wyczarowaną nie wiadomo skąd kanapkę.

– Lot był przyjemny i bez niespodzianek, to pamiętam, Biscuit. Nadal robisz za szofera na tej trasie?

– Przez cały czas, pułkowniku... – Rob.

– Tyle razy tam latałem, że wiem, co czuje motorniczy metra.

– Wnioskuje z tego, że taki lot to łatwizna?

– Czysta rutyna i nie da się złego słowa powiedzieć o tej robocie. Naturalnie nie licząc Żółwi.

– Oinn?

– Taa, Żółwi. Trzaskają dziobem jak żółwie, a gadają krokiem. Rzygać się chce. Miło byłoby tak którego potraktować napalmem, albo choćby miotaczem ognia,

– Biscuit, tak się głupio składa, że to nasi sprzymierzeńcy w galaktycznej wojnie.

– To może powinniśmy zmienić strony. – Baxter przełknął drugą kanapkę i z westchnieniem odsunął pustą tackę po obiedzie. – Niedobrze mi się robi, jak na nich patrzę.

– Nie jesteś jedyny – powiedział cicho Rob, pomimo iż sąsiednie stoliki były puste. – Jak by ci się podobał pomysł wzięcia udziału w małej egzekucji, po stronie plutonu egzekucyjnego naturalnie?

Pilot zamarł z batonem, na w pół rozwiniętym, w garści (baton wyjął przed chwilą z kieszeni). Po kolejnych dwóch sekundach zawinął go starannie i schował z powrotem.

– To na poważnie? – spytał bez śladu uśmiechu, natomiast ze sporą dozą podejrzliwości.

Rob stuknął kciukiem w odznakę spadochronową na własnej piersi.

– Zamierzamy wziąć tę bazę, Baxter. Potrzebuję pilota, który zna trasę i ma na to ochotę. Uczciwie ostrzegam, że może mu się stać krzywda, w najgorszym razie może nawet zginąć. Sprawdziłem: jesteś najlepszy co do znajomości trasy i lotu, co do reszty – słucham.

– Chyba się nie pomyłę, jeśli stwierdzę, że nie przypadkiem się do mnie przysiadłeś?

– Ani trochę.

Biscuit uśmiechnął się szeroko i zatarł z zadowoleniem ręce.

– No to jestem tym durnym ochotnikiem. Co mam zrobić?

– Pomaszerować do dowódcy i poprosić o tydzień urlopu. Nagła sprawa rodzinna; dostaniesz urlop bez żadnych pytań. Spakuj parę drobiazgów i bądź za godzinę przy głównej bramie.

Porucznik zerwał się na równe nogi.

– Idę, i to z pieśnią na ustach! – oznajmił.

Potężny kadłub białego boeinga 747 z czarnymi literami UNITED STATES AIR FORCE na burcie wypełniał wnętrze hangaru, przytłaczając trzech mężczyzn stojących przy ogromnych kołach przedniego podwozia.

– Użyjemy tej maszyny – wyjaśnił Rob. – Ty, Biscuit, będziesz ją pilotował, a Kirsza będzie drugim pilotem.

– Baxter spojrzał podejrzliwie na Rosjanina.

– Wiesz w ogóle, jak się pilotuje samolot? – spytał.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał ucziwie Daniłow. – Wspaniale. Wobec tego umówimy się na wstępie, że niczego nie dotykasz, a z resztą sam sobie poradzę. Prawdę mówiąc, ta maszyna prawie sama lata. Coś mi się zdaje, że nie chcecie drugiego pilota, żeby jak najmniej ludzi spoza oddziałów specjalnych miało coś wspólnego z tą akcją. Mam rację? W ten sposób będziecie mieli w bazie swojego człowieka po kraksie, który może się przydać. Zgadza się?

– Zgadza się – przytaknął Rob. – I wyjaśnijmy sobie jedno: jak wylądujemy, twoja rola się kończy. Jesteś obserwatorem, a resztą zajmujemy się my.

– Możesz na mnie liczyć. Nie umiem walczyć na ziemi, wobec czego będę starał się schodzić wszystkim z oczu. Nawet nie poproszę o coś do żarcia.

– Ślicznie, grzeczny chłopiec – uśmiechnął się Rob i wskazał na podwozie. – Teraz masz łamigłówkę: jak skutecznie zaaranżować wypadek? Złożyć podwozie, czy podłożyć tu ładunek wybuchowy, czy jeszcze coś innego?

– Oby ci się te słowa w gówno obróciły! – Pilota aż cofnęło na samą wzmiankę. – Masz pojęcie, ile to cacko waży? Albo ile paliwa znajduje się w zbiorniku w skrzydle właśnie nad podwoziem? Nie licz na to, że wylądujemy bez podwozia i będziesz mógł się z kimkolwiek podzielić wrażeniami.

– To, co robimy? – spytał Daniłow. – Żeby plan się udał, musimy mieć wypadek przy lądowaniu.

– Zastanawiałem się nad tym od chwili, kiedy powiedzieliście mi, w co gramy. Pozwólcie, że przedstawię wam pewien scenariusz: jak już będziemy zdrowo za punktem bez powrotu...

– A gdzie to jest? – zainteresował się Rosjanin.

– Na niebie, bracie. To połowa drogi skądś dokądś, takie miejsce w czasie, gdy masz wystarczający zapas paliwa, by dolecieć, gdzie planowałeś, ale za mało, żeby wrócić tam, skąd wystartowałeś. Więc, jak mówię, gdy przelecimy półmetek, dam im znać przez radio, że mamy kłopoty z silnikami. Niech się pomartwią i przygotowują na awaryjne lądowanie, sprowadzą na pas, straż, łapiduchów i całą resztę. Nie żeby zaraz wielkie halo, ale że coś nie gra. Potem sprowadzę grata na pas, wyląduję, opuszczę klapy i dam wsteczny ciąg. Tylko że nie będę miał wstecznego ciągu.

– To jest w ogóle możliwe? – zdziwił się Rob.

– Za cholerę, ale tam nie ma nikogo, kto by o tym wiedział. Do tego potrzebny jest pilot albo dobry mechanik, a przecież to tylko lotnisko zaopatrzeniowe z minimalną obsługą na wieży

kontrolnej. Tylko musicie zadbać, żeby nie było wtedy ani na dole, ani w pobliżu żadnego pilota, bo sprawa się od razu wyda.

– Załatwimy to – mruknął Rob, zapisując sprawę w notesie.

– Doskonale. A więc przesmarujemy cały pas, trochę tylko zwalniając, same hamulce i klapy nie zatrzymają tego smoka z pełnym ładunkiem. Naturalnie będę hamował silnikami, ale o tym w wieży nie będą wiedzieć. Będziemy tak sobie radośnie jechać, zanim nam się pas nie skończy. Wtedy dam pełen ciąg wsteczny i łagodnie wjedziemy w zaspę. Wyciągnięcie tego grata to będzie niezła harówka, ale to już nie nasz problem.

– Podoba mi się ten pomysł – stwierdził Rob. – A tobie, Kirsza?

– Brzmi rozsądnie. Składanie podwozia jakoś nigdy mnie do końca nie przekonało.

– No to załatwione. Proponuję obejrzeć wewnątrz naszego drewnianego konia.

Na górę prowadziła długa rampa, ale wysiłek został w pełni zrekompensowany reakcją pilota. Ledwie stanął w drzwiach ładunkowych, zamarł z otwartą gębą.

– Co tu się stało? – wykrztusił w końcu.

Pytanie było uzasadnione: pokład ładunkowy wypełniały drewniane skrzynie rozmaitej wielkości, przymocowane tak, by nie przesuwały się w trakcie lotu czy lądowania. Większość z nich zachowała i pozycję, i wygląd, ale kilka pierwszych zerwało się z mocowań, tworząc przy drzwiach malowniczą i groźną kompozycję potrzaskanego drewna, pogiętego metalu i ogólnej katastrofy.

– Wygląda realistycznie, co? – uśmiechnął się Rob. – Ręczne arcydzieło na zamówienie US Army. Dykta i aluminium w dziewięćdziesięciu procentach; większość jest składana, a całość wymaga lekkiej kosmetyki zaraz po wylądowaniu, żeby wyglądało tak jak teraz. Jak ekipa ratunkowa sobie to obejrzy, to jak ręką odjął przejdzie im ochota wylądowywać ten bajzel po nocy. Prosimy dalej.

Przez rumowisko prowadziło wąskie i kręte przejście, świetnie zamaskowane. Rob minął obraz nędzy i rozpaczy, jaki stanowił zniszczony ładunek, i zapukał w pierwszą, nie uszkodzoną skrzynię. Bok odchylił się bezgłośnie i z wnętrza wyrzła uśmiechnięty sierżant Groot.

– Właśnie sprawdzamy kwatery – oznajmił. – Da się przeżyć.

Ponieważ skrzynie stykały się burtami, cały środek został przekształcony w długą, wyposażoną we własne oświetlenie kabinę, wypełnioną rzędami foteli lotniczych skierowanych oparciem w kierunku lotu i przymocowanych do podłogi. Były znacznie mniej wygodne od klasycznych, używanych w samolotach pasażerskich, ale było ich więcej i wyposażone były w dodatkowe pasy bezpieczeństwa, obejmujące ramiona siedzącego i zbiegające do klamry klasycznych pasów.

– Czysty luksus i rozpusta – skomentował Daniłow. – Proponuję obejrzeć kabinę pilotów.

Prowadziły do niej spiralne schodki, gdyż znajdowała się znacznie wyżej od pokładu ładunkowego. Tym razem przodem szedł Baxter.

– Jezu, tu też! – jęknął, stając w drzwiach.

Szyba po stronie pierwszego pilota była pęknięta, tablica uszkodzona, a ciężkie radio, wyrwane z mocowania, wisiało na przewodach nad fotelem wyraźnie ochlapane krwią i na takiej wysokości, że musiało trafić siedzącego w fotelu w głowę.

– To się nazywa realizm i dbałość o detale – wyjaśnił Rob. – Będiesz nieprzytomny i tu jest namacalny dowód, dlaczego. Nikt nie będzie ci zadawał głupich pytań, a wszyscy będą koło ciebie skakali. Odwrócenie uwagi. Człowiek jest zawsze ważniejszy od ładunku, przynajmniej w naszym społeczeństwie, a to, że jesteś ranny, skutecznie zajmie ratowników. Masz tylko udawać nieprzytomnego i to wszystko.

– Cholera, to się może udać! – przyznał Biscuit.

– Nie może, musi. – Daniłow nagle spowaźniał. – Nie stać nas na popełnienie błędów. Oni mają broń zdolną niszczyć całe miasta. Nic nie jesteśmy w stanie jej przeciwstawić. Jeśli odkryją prawdę o tym ataku, to może to oznaczać koniec Ziemi.

– Nie odkryją – mruknął Robert. – Mamy dwie możliwości: albo odkryć prawdę i dozbroić się do ich poziomu, albo powoli popadać w ich niewolę i tracić zasoby mineralne naszej planety. Mamy szansę na sukces i nie możemy jej zmarnować.

Po jego słowach zapadła cisza, którą dopiero po dłuższym czasie przerwało pytanie Baxtera:

– Kiedy ruszamy?

– Za trzy dni.

## Cała naprzód

Trzydzieści tysięcy stóp w dole lśniły w księżycowej poświacie srebrzyste lody antarktycznych pustkowi. Ponad samolotem widać było tylko kilka cumulusów znaczących szarymi konturami rozgwieżdżone niebo. Razem dawało to ładny krajobraz z okien kabiny pilotów oświetlonej jedynie blaskiem przyrządów i lampek na tablicy kontrolnej. Mając włączonego autopilota, Baxter siedział sobie wygodnie w fotelu, obok na miejscu drugiego pilota siedział Daniłow, a nad oparciem widać było Roberta.

– Lepszy widok niż z kabiny pasażerskiej – stwierdził Rob. – Teraz rozumiem, dlaczego wybrałeś to zajęcie, Biscuit.

– Że nie wspomnę o drobiazgu: można dostać tyle żarcia, ile się chce, i to z kuchni pierwszej klasy.

– Nawet w US Air Force?

– Detale przemilczmy. Wracając do rzeczywistości, to właśnie dostałem raport pogody z bazy: burza narasta, wiatr o sile dziesięć, temperatura minus czterdzieści stopni Celsjusza i Fahrenheita, jest to bowiem miejsce, gdzie skale się zbiegają. Ciekawostka. Przypomnijcie mi, żebym wziął szalik przed lądowaniem. Burza jest tak silna, że wysuną pole na nasze spotkanie, co jest doskonałą wiadomością.

– Dlaczego?

– Widziałem, jak to się odbywa przy złej pogodzie. Żeby zapewnić lepsze lądowanie, wywołują wybrzuszenie pola w kierunku, z którego nadlatuje samolot, co powoduje osłabienie pola po przeciwległej stronie. Przez to na pasie znajdzie się trochę śniegu i wiatr jest silniejszy.

– Jakby specjalnie dla nas.

– No nie? – Baxter poprawił się w fotelu i naciągnął na uszy słuchawki. – Czas na małe kłopoty z silnikami. Jest szansa, Rob, żebyś znalazł gdzieś trochę kawy? Strasznie mi gardło wysycha przy oficjalnych komunikatach o awarii. A jakby tak jeszcze kilka kanapek...

– Zaczynamy schodzić do lądowania – oznajmił, wyłączając autopilota. – Za chwilę znajdziemy się w tym gównie w dole i lepiej, żeby twoi bohaterowie poprzypinali się do foteli, Rob. Ty zresztą też.

– Już się robi. Możesz wyłączyć ogrzewanie ładowni?

– Wedle życzenia. – Baxter przestawił serię przełączników na tablicy rozdzielczej. – Zostawiłem hermetyzację i dwa grzejniki, żeby nie zamarzli na kość. Wyłączę, jak wylądujemy. Co i tak nie zmieni faktu, że w błyskawicznym tempie zaczną wam jaja marznąć.

– Przeżyjemy, a autentyzm musi być zachowany – uśmiechnął się Rob.

Roberta powitały zaciekawione twarze, gdy wszedł do ukrytego przedziału desantowego. Ponieważ na dworze panowała temperatura minus pięćdziesiąt pięć stopni, już dało się tu odczuć spadek temperatury.

– Zaczynamy chłodzenie ładowni – poinformował ich. – Nakładać ekwipunek arktyczny, ale nie dopinajcie go szczelnie, dopóki nie będziemy na ziemi. Jak tylko się ubierzecie, przypinać się do foteli: wchodzimy w burzę, a lądowanie może nie być łagodne. Broń zabezpieczona?

Wraz z Grootem przeszli wzdłuż burty, sprawdzając mocowanie broni i amunicji w zatraskach pozwalających na ich natychmiastowe odcięcie. Pistolety maszynowe, karabiny snajperskie, dwa

miotacze ognia i dwa moździerze, pojemniki z pociskami, materiałem wybuchowym i granatami oraz zielony plecak, w którym znajdował się zapalnik do wcześniej przywiezionej bomby. Razem arsenał wystarczający na rozpoczęcie niezłej wojenki.

Wokół rozlegał się przyciszony, dwujęzyczny gwar, gdy żołnierze zakładali ocieplane kombinezony i przypinali się do foteli.

Zostało wcześniej uzgodnione, że językiem grupy jest angielski, a w Armii Sowieckiej była wystarczająca liczba ludzi ze Specnazu, by nie stanowiło to problemu. Daniłow sprawdził ludzi i siadł w fotelu, zapinając pasy.

– Wszyscy na miejscach – zameldował.

– Dobrze. Jeszcze raz przypomnę plan, żeby nic się nikomu nie pomyliło. Ja w trakcie lądowania będę w kabinie pilotów, a tutaj dowództwo przejmie major Daniłow. Drzwi tego przedziału będą zabezpieczone w pozycji otwartej, a światła pozostaną zapalone do momentu wylądowania; gdy zgasną, będzie to znak, że operacja naprawdę się zaczęła. Lądowanie skończy się porządnym wstrząsem i chcę, żebyście byli na to przygotowani. Zaraz potem dwukrotnie zamrugają lampy i wszystko zostanie wyłączone, łącznie z ogrzewaniem. Od tego momentu major Daniłow przejmuje komendę.

– Gdy tylko zgasną światła, rozpiąć pasy, ale wstaje tylko zespół przygotowawczy siedzący przy drzwiach, reszta czeka w fotelach. Wiecie, co do was należy, trenowaliśmy to w tych samych warunkach i oświetleniu: po to macie okulary noktowizyjne, żeby się nie pozabijać i zdążyć. Uwalniacie ładunek i zdejmujecie zabezpieczenie drzwi do tego przedziału. Zostają one zamknięte, ledwie pułkownik Hayward się tu znajdzie. Pułkowniku?

– Zobaczymy się po wylądowaniu. Jesteście najlepsi i macie wprawę; pamiętajcie o tym, a wszystko pójdzie dobrze.

Zanim Rob dotarł do kabiny pilotów, samolotem targnęły pierwsze turbulencje. Gdy zapinał pasy, za oknami kłębił się już śnieg, prawie natychmiast zalepiający okna, pomimo pracujących wycieraczek. Widoczność błyskawicznie spadła do zera i Rob poczuł się z lekka nieswojo. Przy szybkości mili na sześć sekund i braku widoczności, misja tak dobrze zapowiadająca się jeszcze przed chwilą, stanęła nagle pod dużym znakiem zapytania. Spojrzał na pilota i zdębiał.

Biscuit pilotował, pogwizdując, zadowolony z życia, całkowicie lekceważąc to, co za oknem. Noc, dzień, deszcz czy słońce – to wszystko były detale. Dla niego liczyły się wyłącznie wskazania przyrządów pokładowych, a te działały niezależnie od pogody. Naprowadzani byli przez radiolatarnię bazy, która powinna wyprowadzić ich dokładnie na czysty od śniegu pas, i to było wszystko, co go obchodziło. Pogawędził z wieżą, zapewniając, że silniki pracują bez zarzutu, co i tak nie zmieniło faktu, że na dole przygotowali się do awaryjnego lądowania i na pasie czekała karetka, straż i dźwig.

Z gwizdem hydrauliki wysunęły się kłapy, szczęknęło zaskakujące w gniazda podwozie i Baxter zwiększył ciąg. Przy w pełni wychylonych kłapach boeing miał wszelkie parametry lotne odpowiadające bryle betonu – jedynie potężna moc silników utrzymywała go w powietrzu. Wokół samolotu zrobiło się nagle jasno, gdy silne reflektory lądowiskowe odbiły się od wirujących płatków śniegu.

I nagle burza zniknęła – gdy przebili się przez pole siłowe, wokół było czysto i spokojnie. Oświetlony pas wyrósł przed dziobem, biegnąc prosto jak strzelił aż do białej, ściętej jak nożem, ściany po drugiej stronie lądowiska. Przestało kołysać i wyć – wiatr też został po drugiej stronie pola. Przy środku pasa, z boku, parkowały wozy awaryjne z zapalonymi światłami.

– Łatwizna – obwieścił Baxter – zupełnie jak wjazd do własnego garażu.

Rob odprężył się nieco i już byli na dole. Koła dotknęły pasa, amortyzatory odbiły i z piskiem zadziały hamulce. Baxter zaczął hamować silnikami, krzycząc do mikrofonu:

– Hamowanie nie działa! Wieża! Wieża, nie mogę wytracić szybkości! Nie wystarczy mi pasa! Co jest dalej? Śnieg? Doskonale!

Głos kontrolera z wieży chrobotał w słuchawkach, ale pilot zignorował go skupiony na ocenie odległości do końca pasa.

– Wieża! Wie... – zaczął i szarpnięciem wyrwał przewód łączący słuchawki z radiem. – To powinno dodać im skrzydeł i zastąpić logiczne myślenie.

Głos miał spokojny; jednocześnie dał pełną moc na hamulce i zmienił ciąg, nie zbaczając przy tym z pasa startowego, co jak na jednego pilota było niezłym wyczynem: zazwyczaj zajmowali się tym obaj.

– Jak tylko przebijemy pole, to znów nic nie będzie widać – ostrzegł. – O, właśnie.

Wokół znów szalała śnieżycą, a blask reflektorów odbijał się od śniegu. Ale prędkość mieli już znacznie mniejszą. Baxter wyłączył silniki, czując pierwszy wstrząs, gdy skończył się pas, i nacisnął na hamulce.

Pod nimi zamajaczyło coś białego i olbrzymiego, a samolot zaczął podskakiwać jak wóz, który ma resory do wymiany.

– Jupii! – ryknął Biscuit, puszczając hamulce prawego podwozia i gwałtownie kręcąc wolantem.

Zatrzymali się z głośnym łomotem, przechyleni pod niewielkim kątem do gruntu, gdy płat zaklinował się w masie śniegu i lodu, w którą jeszcze przed chwilą celował dziób maszyny. Baxter wyłączył zasilanie i poza czerwonym blaskiem lampek awaryjnych zapanowały ciemności. Westchnął i rozparł się wygodnie w fotelu.

– Wiesz co? – spytał. – Nie sędzę, żebym kiedyś miał ochotę na powtórkę.

Rob rozpiął pasy i wstał, wyciągając z kieszeni aerosol.

– Doskonała robota – pochwalił, zdejmując kapsel z pojemnika. – Popatrz, co tu mam.

– A co... – głos Baxtera zamarł, gdy strumień gazu trafił go prosto w twarz.

Bez jęku osunął się głową w przód ku tablicy przyrządów, aż zawisł na pasach. Rob parę sekund oddychał przez chustkę trzymaną w drugiej dłoni – gaz rozprasał się błyskawicznie, jak mu powiedziano, ale wołał nie ryzykować. Założył kapsel na pojemnik, schował go do kieszeni i wyjął krótką, gumową pałkę w skórzanym oprawie oraz niewielki plastikowy woreczek z krwią.

– Przepraszam – mruknął – ale udawanie nieprzytomnego wcale nie jest takie proste...

Pałka po krótkim, ale silnym zamachu wyładowała na czole nieprzytomnego, a wskutek lekkiego skręcenia nadgarstka w chwili uderzenia rozdarła skórę. Rob rozerwał woreczek i zawartą w nim krwią oblał włosy i twarz lotnika, dla dodania realizmu. Schował oba, zbędne już, rekwizyty i ostrożnie odpiął zatrzaski przytrzymujące radio. Opuścił je i lekko rozkołysał – bujało się ponad głową nieprzytomnego i dość makabrycznie wyglądającego pilota, dopełniając obrazu zniszczeń.

Na zewnątrz rozległy się słabe jeszcze syreny, gdy pędem ruszył ku schodom.



# Na lodzie

Daniłow czekał na dole i ruszył po stopniach, ledwie Rob je zwolnił – były zbyt wąskie, by mogli się minąć.

– W ładowni wszystko gra – rzucił.

– W kabine też – odparł Rob, biegnąc ku jednemu jaśniejszemu miejscu w ładowni, jakim było wejście do przedziału desantowego.

Uzgodnili wcześniej, że dla większego efektu oświetlenie awaryjne zostanie wyłączone – zespół "artystów" miał noktowizory, a Rob kierował się na minilatarkę trzymaną w drzwiach przez sierżanta Groota. Dopadł ich jako ostatni i Groot zatrzasnął je zaraz za jego plecami, po czym zgasił latarkę. Zapanowała ciemność.

Ekipa wypadkowa była dobra: ruszyli, ledwie samolot ich minął i mimo szalejącej zamieci nie zgubili go i byli na miejscu w zadziwiająco krótkim czasie. O mało zresztą nie za krótkim: Daniłow zdążył wpaść do kabiny tuż przed tym, jak zalał ją blask reflektora umieszczonego na wozie strażackim. Po paru sekundach rozległ się na zewnątrz zgrzyt i w pole widzenia bocznego okienka wjechała rozkładana drabina ze strażakiem na końcu. Ledwie znieruchomiła, ratownik wybił szybę i zaczął się gramolić do wnętrza.

– Cały jesteś? – spytał na widok Rosjanina. – To leć na dół i otwórz chłopakom drzwi do ładowni. Tym biedakiem już my się zajmiemy.

Daniłow bez słowa ruszył w stronę schodów.

Rob wziął od Groota słuchawki połączone z mikrofonem tkwiącym w ścianie skrzyni – musieli wiedzieć, co się dzieje wewnątrz ładowni: słuchawki i niewielki otwór zamaskowany jako dziura po sęku zapewniały to minimum informacji.

Dostrzegł Daniłowa podchodzącego do drzwi wyładunkowych i polecił:

– Cisza! Major wpuści zaraz ekipę ratunkową.

Przez otwór wyraźnie było widać, jak ładownię zalało światło reflektorów, ledwie Daniłow otworzył drzwi ładunkowe. Przez otwór przedostała się para ciepło ubranych ratowników i tuman śniegu.

– Pilot... nieprzytomny – wyjaśnił Kirsza.

– Peyton, Slater, na górę i zanieście go do karetki – polecił pierwszy z nowo przybyłych, odsuwając siebie i Rosjanina, by zrobić im przejście. – Ktoś jeszcze oberwał?

– Nie, lecieliśmy tylko we dwóch. Co z samolotem, nie zapali się?

– Nie zdążył, a teraz wszędzie wokół jest już piana. Nie ma prawa się zapalić. Gdzie twoje rękawice?

Daniłow rozejrzał się półprzytomnie; mężczyzna wyciągnął zza paska zapasową parę i polecił:

– Natychmiast je załóż. Na zewnątrz jest minus czterdzieści stopni, stracisz palce, zanim dojdiesz do wozu. Ci tu zaprowadzą cię, żebyś się nie zgubił.

Para grubo ubranych ratowników pomogła Rosjaninowi wyjść tuż przed tym, jak wysłani na górę wrócili, niosąc nieprzytomnego Baxtera. Błyskawicznie zawinięto go w koce i przypięto do noszy. Gdy go wyniesiono, dowódca drużyny ratowniczej rozejrzał się wokół, po raz pierwszy spokojnie. Przykucnął, by dokładniej obejrzyć jedną z rozbitych skrzyń (ta na szczęście była autentyczna), następnie napalił latarkę i odwrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Rob wiedział, że nie można dostrzec ani mikrofonu, ani dziury. Sam to sprawdził, ale gdy blask latarki go oślepił, przeżył chwilę paniki. Zmienił oko, bo przed oślepieniem latały mu wielobarwne

kręgi – wewnątrz było trzech ludzi rozglądających się w świetle latarek.

– I co, sierżancie? Ściągamy dźwig czy czekamy do rana? -spytał jeden.

– Nie ściągamy. Ładunek nigdzie nie zniknie, a w tej śnieżycy to żadna robota. Jak się uspokoi, to zabierzemy się do rozładunku. Teraz znosimy się do bazy, tylko zamknijcie drzwi, wychodząc, zawsze mniej śniegu naleci do środka.

I kolejno wyszli.

Rob odczekał chwilę po zamknięciu drzwi i szeptem poinformował ludzi:

– Wygląda, że poszli, ale nie gadać jeszcze przez piętnaście minut. Chcę się upewnić.

Siedzieli w ciszy przerywanej jedynie szelestem kombinezonów, a Rob zmusił się do odczekania pełnego kwadransa. Gdy fosforyzujące wskazówki dobiegły kresu tego kawałka swej drogi, wyprostował się.

– Ruszamy!

Groot przesunął dźwignię i w połowie ładowni zapłonęły lampy awaryjne, kąpiąc ją w czerwonej poświacie. Sierżant wyszedł pierwszy, sprawdzić tak na wszelki wypadek, czy faktycznie są sami. Wrócił po trzech minutach i zameldował:

– Czysto, sir.

– Otwierać drzwi, brać broń i ekwipunek. Ruszamy za pół godziny – polecił Rob i spytał Groota: – Na zewnątrz coś widać?

– Śnieg, zimno i ani żywej duszy.

– No to na razie wszystko przebiega zgodnie z planem. Teraz wszystko zależy od Daniłowa. Odbiornik działa?

– Sprawdziałem przed startem.

– Dobrze. Antenę wyrzucić przez wybite okno w kabinie pilotów i melduj, jak tylko będzie sygnał.

Obudzony przed kilkunastoma minutami lekarz przetarł oczy i wyprostował się, tłumiąc ziewnięcie.

– Nic mu nie będzie, jak się porządnie wyśpi – oznajmił, przyklejając ostatni kawałek plastra do czoła Biscuita.

– Nie ma obawy wstrząsu mózgu, sir? – spytał Daniłow. – Żadnych objawów, które by na to wskazywały, ale i tak podłączymy go do monitora; tak na wszelki wypadek. Siostra wezwie mnie, gdyby były jakieś niepokojące odczyty. Tobie zaś, chłopcze, radzę dużą whisky i ciepłe łóżko.

– Dziękuję, ale wolałbym wpiery skontaktować się z naszym lotniskiem i złożyć raport.

Niebezpieczeństwo przestało istnieć i baza wróciła do normalnego stanu nocnego letargu. Korytarze były ciche i puste, nikt więc nie zaczepił Daniłowa, gdy wędrował do centrum łączności, dokładnie według drogi zapamiętanej z planów. Jednakże tuż przed ostatnim zakrętem prawie wpadł na sierżanta, który dowodził ekipą ratowniczą.

– I co z pilotem, sir? – zainteresował się na jego widok.

– Doktor uważa, że rano będzie na chodzie...

– Mieliście szczęście.

– A nie? Dzięki za szybkie przybycie, zaczynało się robić naprawdę zimno.

– Zawsze do usług. Chce pan kawy? Chłopcy rozgrzewają się w messie.

– Najpierw muszę złożyć raport; na lotnisku muszą być nieźle przerażeni. Proszę podziękować chłopakom w naszym imieniu.

Rozstali się i Daniłow podszedł do drzwi oznaczonych tabliczką "RADIO". Gdy je otworzył, znalazł się twarzą w twarz z Oinn.

– Co się stało? – spytał obcy na jego widok.

Wokół istoty roztaczała się dziwna, kwaskowata woń, a ponieważ był to pierwszy obcy, jakiego Daniłow widział z bliska i w trójwymiarze, nie miał najmniejszych problemów z udawaniem zaskoczenia czy lekkiego strachu.

– Co... – wykrztusił, pozwalając, by opadła mu szczęka, na co Oinn i tak nie zwrócił uwagi.

Obejrzał go uważnie od stóp do głów i oznajmił:

– Nigdy cię tu nie widziałem. Masz oznakę pilota. Przyleciałeś tym ostatnim samolotem?

– Jako drugi pilot. Muszę zameldować o wypadku do bazy. – Kirsza pozbierał szczękę, minął obcego i podszedł do radiooperatora obserwującego zajście z lekkim rozbawieniem.

Oinn popatrzył w ślad za nim, postać chwilę i wyszedł.

Radiooperator splunął do kosza na śmieci.

– Cały czas się tak pałętają? – spytał Daniłow.

– Na szczęście nie. Jakby się tak szwendali, dawno bym poprosił o przeniesienie. Żółwie są równie miłe, co krowie podogonie. Słyszałem, że nic się wam nie stało. Tym razem było blisko, nie?

– Jak na mnie aż za blisko. Muszę się połączyć z bazą, jak u was to po kolei idzie?

– Weź tę słuchawkę, ja cię włączę przez satelitę do sieci wywiadowczej i otrzyma sygnał jak w normalnym telefonie. Potem po prostu wybierz numer i masz lotnisko. Trochę inaczej niż zwykle, co?

– Raczej tak.

Numer był autentyczny, tyle że dziś został przełączony do kwatery głównej rajdu i osobą, która go odebrała, był generał Sobolewski.

– Tak?

– Mieliśmy wypadek przy lądowaniu, sir. Wieża zameldowała o przebiegu?

– Tak. Co z Baxterem i z tobą?

– Baxter zarobił w głowę i chwilowo jest w szpitalu, ale rano powinien być zdrow jak ryba. Ja jestem cały i wybieram się właśnie spać.

– Powodzenia.

Daniłow odłożył słuchawkę. Stwierdzenie "Wybieram się właśnie spać" było ustalonym hasłem oznaczającym, że akcja przebiega zgodnie z planem i właśnie mają przystąpić do ataku.

Pożegnał się z dyżurnym i wyszedł. Korytarze pogrążone były w mroku, co sprawiało wrażenie, jakby zrobiło się znacznie chłodniej. Tym razem przed każdym zakrętem uważnie nasłuchiwał, nie mając najmniejszej ochoty na napotkanie kogokolwiek. Zawsze co prawda mógł się wyłgać tym, że się zgubił, ale spowodowałyby to zwłokę, a tego lepiej było unikać. Zgranie czasowe było nader istotne dla powodzenia planu. Poza tym w ładowni musiało już być porządnie zimno; po co narażać ludzi na większe niewygody, niż jest to konieczne.

Dotarł do kuchni pogrążonej w całkowitym mroku i wyjął z kieszeni latarkę. Teraz już żadne wytłumaczenie by nie pomogło, ale zawsze skutkowało narkoza: pojemnik z gazem miał w lewej dłoni. Przemknął się wzdłuż rzędu szafek do znajdujących się po przeciwległej stronie drzwi. Było tu znacznie chłodniej, gdyż mieściły się tu magazyny i krótki korytarz prowadzący do drzwi zaopatrzeniowych. Przytrzymał latarkę drugą ręką i zapiął skafander. Potem założył rękawice, co wymagało pewnej ekwilibrystyki, i złapał za klamkę.

Ciężkie, stalowe drzwi otworzyły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Jego oddech wydobył się w formie obłoku pary: w tej niewielkiej i pustej sali temperatura była równa tej na zewnątrz, od której dzieliły go tylko jedne drzwi. Nie było tu natomiast śniegu i wiatru szalejących na dworze.

Zamknął za sobą drzwi, podszedł do następnych i dokładnie je obejrzał. Dokładność wynikała

bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby: skrzynka alarmu, z której wychodziły dwa przewody, przymocowana była do futryny dokładnie na wysokości oczu. Nikt nie próbował jej ukrywać, bo i nie było to zabezpieczenie anty włamaniowe, tylko sygnalizacja, że zostały otwarte drzwi prowadzące na zewnątrz. Standardowa procedura na stacjach arktycznych, gdzie brak takiej informacji i niedbałość mogły doprowadzić do śmierci lekkomyślnego człowieka na zewnątrz, jak i zagrozić życiu ludzi pozostałych w bazie. Tylko, że tym razem chodziło o coś wręcz przeciwnego: dyżurny w centrali nie mógł się zorientować, że drzwi te zostały otwarte.

Daniłow wyjął z kieszeni szczypce i przeciął prawy drut, tak jak polecił mu człowiek, który zakładał ten czujnik. Następnie spojrział na zegarek i schował szczypce i latarkę.

Od lądowania minęła niespełna godzina. Doskonale. Naciągnął kaptur, schował spray obezwładniający i wyjął z kieszeni mały, czarny nadajnik z jednym tylko przyciskiem osłoniętym klapką. Odsunął ją, uśmiechnął się i założył rękawice.

Drzwi otwierały się do wewnątrz, wpuszczając lodowaty wiatr i chmurę płatków śniegu. Daniłow odruchowo pochylił głowę i postąpił kilka kroków na zewnątrz.

Następnie wyciągnął przed siebie prawą rękę i nacisnął przycisk.

## Atak

Mimo wyjącego wiatru wyraźnie było słycać przenikliwy, elektroniczny pisk. Groot, ledwie go usłyszał, ruszył ku schodom.

– Jest sygnał od majora! – ryknął, zbiegając po kilka stopni.

– Ruszamy! – polecił Rob.

Ćwiczyli to wszystko wcześniej do znudzenia, tak że ich głównym przeciwnikiem była wyłącznie rutyna: trzeba pamiętać, żeby czegoś nie zlekceważyć. Drzwi przedziału ładunkowego zabezpieczono w pozycji "otwarte" i w dół zostały zrzucone dwie składane drabinki, przymocowane po wylądowaniu do specjalnych zaczepów. Zanim dosięgły śniegu, pierwsza para już zaczęła schodzić.

W samolocie było przeraźliwie zimno, ale w porównaniu z warunkami na zewnątrz było tam miło i zacisznie. Temperatura wynosiła minus czterdzieści stopni Celsjusza, ale jeśli dodać przenikliwy lodowaty wiatr, dawało to minus pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stopni. Pomimo kombinezonów, masek i rękawic, mróz dopadł ich, ledwie opuścili wnętrze ładowni.

– Formować drużyny – polecił Rob. – I ruszać się cały czas. Jak dłużej postoiacie, zaczną się odmrożenia.

Do łączności używali jednego z ostatnich wynalazków: miniwzmacniacza głosu słyszalnego przy tej pogodzie z odległości maksimum pięciu metrów. Bez niego porozumiewanie się byłoby niemożliwe, a używanie radia groziło przedwczesnym zdradzeniem obecności.

W kilku miejscach rozbłysły różnobarwne latarki: podoficerowie dawali swym drużynom sygnał zbiórki. Rob ruszył przez wysoki śnieg w ślad za porucznikiem Razinem, dowódcą zwiadu. Zbiórka oddziału, już podzielonego na drużyny, nastąpiła w kolejnie wyoranej przez kadłub boeinga. Było tu trochę spokojniej niż w wyższych partiach terenu.

– Jest – ucieszył się Razin. – Ledwie widać ślady gąsienic, bo śnieg już je prawie przysypał, ale dadzą się jeszcze rozróżnić. Kierunek w prawo pod kątem czterdziestu pięciu stopni i trafimy prosto do budynku bazy, pomiędzy pasem i kopułą.

Jego ludzie zakładali narty, a porucznik, widząc niepewność Roberta, dodał:

– Proszę się nie martwić, sir. Dla moich chłopców to normalna pogoda.

– Mam nadzieję, bo będą przecierać szlak, a do ciepłego wejdą jako ostatni.

– Pułkowniku, to może nie jest letni spacer, ale na pewno nie jest to najgorsza pogoda, jaką przeżyli.

Pułkownik zostawił jednego człowieka o dziesięć metrów od miejsca zbiórki i wraz z resztą zniknął w śnieżycy. Pozostawiony zaświecił latarkę i skierował ją w stronę, w której zniknęli pozostali; przez chwilę nic się nie działo, a później rozbłysło w oddali ledwie widoczne światełko. Łańcuch ludzi z latarkami był dla oddziału jedynym sposobem poruszania się po prostej; radia nie mogli użyć z obawy przed podsłuchem, kompasy zaś w takiej bliskości bieguna dostawały kręćka. Jedyna nadzieja leżała w tym, że Sybiryacy mają w istocie owo fenomenalne wycucie kierunku, o którym mówił Daniłow. Zawsze w ostateczności zostawał marsz po zasypywanych przez śnieg śladach samolotu, ale wyjście na środek pasa nie było najlepszym sposobem skrytego podejścia. A stawka była zbyt wysoka, by ryzykować przedwczesne odkrycie.

Z ciemności wyłoniła się masywna sylwetka Groota, przerywając Robertowi niewesołe myśli.

– Maszyna pusta, oddział sformowany, wszyscy obecni.

– Ruszajcie wobec tego po kolei. Wygasić latarki. – Jedyne, jakie od tej chwili się palą, to te, które mają przewodnicy.

W milczeniu długi wąż obładowanych sprzętem żołnierzy przedefilował przed nim, niknąc w śnieżnej zamieci. Rob ruszył za ostatnim z nich.

Noc była mroczna, śnieżna i lodowata. Pierwotnie rozważali użycie noktowizorów, ale próby wykazały, że podczas śnieżycy sprzęt ten nie zdaje egzaminu. Rob walczył z wiatrem i śniegiem, uważając, by się nie potknąć na nierównościach i nie zgubić kierunku, choć to ostatnie było łatwiejsze, jako że prowadził go ślad poprzedników, którego wiatr i śnieg nie były w stanie zasypać.

Za nim świecił jedynie samotny punkcik, w jaki zamieniła się latarka pierwszego z Sybiraków. Nie zazdrościł mu – rozkazy były jasne: na wypadek niebezpieczeństwa cała linia miała pozostać na miejscu aż do dotarcia zwiadu do pola siłowego. Razin miał następnie przejść trasą i zebrać swoich ludzi. Stanie samotnie w mroku i śnieżycy, gdy cały oddział poszedł dalej, nie było najprzyjemniejsze, ale nie było też innego sposobu.

Rob poruszał się od jednego z nich do drugiego, dziękując w duchu losowi, że nie musi tam stać i nie musi ich zbierać. Zdawało mu się, że droga nie ma końca, a wyjący wiatr brzmiał w jego uszach coraz bardziej szyderczo.

W pewnej chwili prawa noga zapadła mu się w śnieg, lewa rozjechała się w tył i wylądował nosem w śniegu. Zaczął się gramolić, klnąc pod nosem, gdy silna dłoń ujęła go pod ramię, a znajomy głos powiedział:

– Już niedaleko, żołnierzu. Prosto jak w pysk strzelił.

– To pan, poruczniku?

– Pułkownik Hayward? To ja, sir. Wszystko przebiega zgodnie z planem: trafiliśmy dokładnie tam, gdzie planowaliśmy. Teraz zbieram ludzi; powinniśmy być przy polu siłowym równocześnie z panem, sir.

Sądząc po szybkości, z jaką zniknął, mówił poważnie. Oto, co znaczy doświadczenie. Rob ruszył przed siebie i faktycznie po niedługim czasie dostrzegł przed sobą czarną, poruszającą się i przytupującą masę – oddział czekający przed polem siłowym.

– Pole nie dalej jak o pięć kroków – powitał go Groot. – Można spokojnie przez nie przejść niczym przez kurtynę. Wiatr i śnieg zostają po tej stronie, a tam cisza, spokój i doskonała widoczność.

– Rzucę okiem, daj mi znać, jak przybędzie Razin z przewodnikami – zdecydował Rob, dając kilka kroków we wskazanym przez sierżanta kierunku.

Groot miał rację: niewidzialna bariera rozciągała się od ziemi do nieba. Nic nie czuł, przechodząc przez nią, ale po drugiej stronie dała się odczuć natychmiastowa zmiana temperatury – nie było tu wiatru i od razu zrobiło się znacznie cieplej. O dwie mile w prawo widać było jasno oświetlony pas i leżące obok hangary, po lewej, około dziewięciuset jardów od miejsca, w którym stał, połyskiwała kopuła centrum ogniowego otoczona budynkami bazy.

– Jesteśmy, sir – odezwał się za nim głos Razina strzepującego śnieg z kaptura. – Jeden kontuzjowany; upadł i stracił gogle. Przyprawiliśmy go z przepaską na oczach, ale w jakim jest stanie, dowiemy się dopiero w bazie.

– Liczyliśmy się z większymi stratami. Zostawić z nim jednego człowieka z drużyny Delta, niech poczeka tu i ruszą do bazy, dopiero jak się skończy strzelanina. Teraz tak, pójdziemy zewnętrzną stroną pola, tak na wszelki wypadek, aż dotrzemy tam. Jest to punkt pola położony najbliżej bazy. I jeszcze jedno: trzeba odszukać działobitnię któregoś z dział energetycznych. Okazuje się, że są poza

osłoną pola, wywiad nie był w stanie tego wcześniej ustalić. Ma pan jakiś pomysł?

– Żaden problem, sir. Powtórzymy całą operację z odszukaniem pola, tylko na odwrót: moi ludzie utworzą łańcuch od pola na zewnątrz, a potem wystarczy, by łańcuch ten wykonał wokół osi, jaką stanowi pole, pewien łuk, nie tracąc się wzajemnie z oczu. Musimy wejść na którąś działobitnię.

– Proszę dać mi znać, jak tylko to nastąpi.

– Tak jest, sir.

– I proszę podać rozkaz wymarszu.

Szli około kwadransa i prawie równocześnie dotarli do miejsca maksymalnego zbliżenia pola i budynków, gdy do Roberta dotarł posłaniec od porucznika. Narty w tych warunkach okazywały się niezastąpione.

– Zlokalizowaliśmy działo, sir. Mam pana tam zaprowadzić.

– Groot, drużyna Delta, technicy – do mnie!

Przed nimi zamajaczył przysypany śniegiem kształt. Rob odgarnął śnieg ze skrzynki rozdzielczej, która wmontowana była w podstawę, i polecił technikom rozstawiającym przenośny parawan z daszkiem:

– Jak tylko będziecie mieli ten cud techniki, meldować natychmiast.

Technicy ćwiczyli przygotowanie i otwieranie na makiecie usytuowanej w chłodni; problemem był natomiast demontaż elektroniki, gdyż nikt nie był w stanie opisać im, co też mogą wewnątrz znaleźć. Drużyna Delta rozstawiła się wokół wachlarzem, kierując broń w stronę pola siłowego: wróg mógł nadejść jedynie z tej strony.

Rob, Groot i ludzie Razina podążyli ku czekającym przy polu siłowemu.

– Drużyna Alfa za mną, reszta czeka na sygnał. Jak ubezpieczymy wejście, ruszacie – polecił Rob.

Biegiem pokonali trzysta jardów dzielących ich od ”kuchennych drzwi”, jak to określił Daniłow na którymś ze spotkań. Major czekał na nich za na wpół uchylonymi drzwiami. Gdy drużyna ubezpieczyła zewnętrzne podejścia i oba stalowe odrzwia, zamrugał latarką z zieloną przysłoną.

Po sekundzie pusta dotąd przestrzeń zaroiała się biegnącymi w milczeniu ludźmi z bronią gotową do strzału.

Teraz nie były potrzebne żadne rozkazy; ten fragment akcji ćwiczyli aż do znudzenia.

– Coś się działo? – Rob spytał Daniłowa, patrząc, jak mijają ich kolejni żołnierze.

– Nic. Cisza i spokój. Żadnych podejrzeń i żadnego ruchu na korytarzach.

Znajdowali się w kuchni, wraz z nimi czekały trzy drużyny przeznaczone do opanowania centrum ogniowego i kwater Oinn.

– Kapralu. – Rob niespodziewanie podszedł do jednego z nich. – Co zrobicie, jak zobaczycie obcego?

– Zastrzelę go od ręki, sir. – Zapytany odbezpieczył ingrama z tłumikiem i dodał cicho: – Jestem z Denver, sir.

– To jeden z powodów, dla których tu jesteś – odparł cicho Rob. – Oni na przykład są z Tomaska. Pamiętajcie o jednym: oszczędzać ludzi, oni są niewinni, a będą ogłupiali. Jedyny uzasadniony powód, dla którego mogą oberwać, to jeśli nie da się inaczej utłuc Żółwia, jak strzelając przez człowieka. No, pięć minut minęło, Beta już powinna być przy radiostacji. Idziemy.

Cicho i pewnie przemierzali korytarze, kierując się ku wejściu do centrum ogniowego, które było punktem rozpoczęcia ataku. Jak dotąd w całej bazie panował spokój i cisza. Rob przystanął przy ścianie, spoglądając co chwilę na zegarek – sekundy wlokły się w nieskończoność, ale w końcu wskazówki ustawiły się na pełną godzinę. Uniósł dłoń i polecił:

– Jazda!



## Czas śmierci

Drzwi zostały otwarte gwałtownym szarpnięciem i atakujący wpadli do wnętrza centrum kierowania ogniem. Światła były pogaszone i w pierwszej chwili nie zauważyli żadnego ruchu, toteż rozbiegli się zgodnie z planem, by jak najszybciej opanować jak największą przestrzeń i wyeliminować maksymalną liczbę wrogów. Zza jakiegoś urządzenia wynurzył się Oinn i natychmiast padł przecięty seriami trzech pistoletów maszynowych. Ingram z tłumikiem robił tyle hałasu, co dobrze naoliwiona maszyna do pisania.

Ruszyli biegiem. Inny Oinn wypadł z boku, skrzecząc coś, ale ledwie pierwszy dźwięk dotarł do dwóch najbliższych ludzi, serie rzuciły go na ścianę. Potem zapanowała cisza.

– Czysto – zameldował Groot. – Było ich tylko dwóch.

– Wobec tego zostało jeszcze pięciu. Przeszukać kwatery i zabić. Szybko! – polecił Rob.

To nie była walka, tylko egzekucja, ale z takich spraw także składa się wojna. Ludzie byli doskonale do niej wyszkoleni i teraz poruszali się z dokładnością automatów. Rozbiegli się po korytarzach, przeszukując metodycznie pomieszczenie po pomieszczeniu.

Rob wskoczył do pokoju – pusty. Gdzieś z przodu dobiegł go terkot ingrama i łomot pękającego szkła. Dostali następnego.

Przed nim otworzyły się drzwi i wypadł z nich Oinn z otwartą gębą. Parę sekund patrzyli na siebie w milczeniu, które przerwał obcy:

– Pułkownik Hayward...

Wtedy Rob go poznał.

– Hes'bu – syknął, naciskając spust colta 45. Naciskał tak, dopóki nie skończyły się pociski w magazynku, a po każdym strzale ciało Hes'bu odskakiwało coraz dalej, aż w końcu legł on twarzą do ziemi w kałuży zielonkawej krwi. Rob spojrział na trupa, zmienił magazynek i zarepetował broń.

Przeskoczył nad ciałem i wbiegł do sali, do której prowadził korytarz. Hulał w niej arktyczny wiatr, gdyż jedno z wielkich okien termicznych zostało strzaskane. Pod wybitą dziurą leżał obsypany odłamkami trup obcego. Groot pochylał się nad leżącym na podłodze żołnierzem. Gdy Rob wpadł do środka, sierżant się wyprostował.

– Słyszałem strzały w korytarzu – oznajmił. – To ty?

– Ja. Dostałem jednego.

– A więc mamy komplet. Siedmiu załatwionych.

Rob spojrział w otwarte i martwe oczy leżącego. Pierś miał przeciętą niby nożem, a kombinezon jeszcze dymił.

– Jedyne zabite – oznajmił Groot. – Okno poszło przypadkowo, bo umierając, strzelał do końca.

– Dobra. – Rob nagle poczuł ogarniające go zmęczenie. – Stanowisko dowodzenia ustawimy w centrali. Znieście tam też ciała i chcę jak najszybciej meldunki od każdej drużyny.

To, że akcja się powiodła, Rob przyznał przed samym sobą dopiero po wysłuchaniu meldunków. Radiostacja została opanowana, zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek zrobić, a wszyscy obcy zabici, zanim któryś zdołał dotrzeć do czegokolwiek, co mogłoby przypominać komunikator. Atakujący mieli jednego zabitego i dwóch rannych. Z uczuciem ulgi wszedł do radiostacji, gdzie operator oddziału szturmowego już uzyskał łączność przez scrambler z kwaterą główną. Rob opadł na fotel i wziął podaną mu słuchawkę.

- Tu Hayward.
- Melduj – rozległ się głos generała Beltine'a. – Jesteśmy tu obaj.
- Całkowity sukces. Siedem trafień bez łączności. Baza jest nasza.
- Gratulacje! Doskonała robota. Są jakieś konkretne informacje?
- Za wcześnie. Jedna grupa pracuje na zewnątrz, a tu, zgodnie z rozkazem, nie ruszamy niczego, czekając na zespół badawczy. Co z nimi?
- Są w drodze zgodnie z planem. Powinni wylądować za jakieś piętnaście minut.
- Jak tylko się zjawią, zaczynamy ewakuację personelu. Powinna być zakończona do czasu, w którym rozbiorą co trzeba.
- Doskonale. Zamelduję o wszystkim na górze, a ta linia pozostaje czynna do zakończenia operacji.

Rob odłożył słuchawkę i westchnął; pierwsza część planu zakończona. Teraz trzeba było się wynieść i tak całość zamaskować, aby nie zostało śladu z rzeczywistego przebiegu wydarzeń.

– Kawy, sir? – wybił go z rozmyślań głos radiooperatora podtykającego mu pod nos parujący kubek.

– Naturalnie! Co za pomysł...

Zdążył upić zaledwie łyk, gdy do pomieszczenia wpadł zdyszany żołnierz.

– Technicy wrócili, sir!

Kubek z trzaskiem rozbił się na podłodze, a Rob wypadł na korytarz.

W centrali stała ociekająca wodą grupa techników. Rozpinali kombinezony. Na widok Roberta wystąpił dowodzący nimi kapitan.

– Macie to? – spytał Rob, z trudem łapiąc oddech.

– Nie, sir. Tam nic nie było.

– Przepraszam, nie rozumiem. Prawda?

– Nic, sir. Sami tego nie rozumiemy, ale takie są fakty: otworzyliśmy bez problemów skrzynkę rozdzielczą, ale wewnątrz nie było niczego. Ani generatora, ani żadnego scalaka, nic, poza rozgałęzieniem przewodu do następnego działu. To nie miało sensu, więc odszukaliśmy następną działobitnię i powtórzyliśmy całą operację. Dlatego to tak długo trwało. Tam było to samo, sir. Żadnej elektroniki czy urządzeń, tylko rozgałęzienie do następnego działu.

– Chce pan mi powiedzieć, że te działu to... po prostu atrapy?

– Te, które sprawdziliśmy, z całą pewnością. Chciałbym obejrzeć jeszcze kilka. -Porucznik Razin odnalazł następny pierścień działu. Może tam będziemy mieli więcej szczęścia.

– A może i nie... – Rob ciężko opadł na najbliższe krzesło, próbując dojść do siebie i do ładu z sytuacją. Atrapy? Przecież sam widział, jak prowadziły ogień... zaraz, naprawdę to widział...? Uniósł głowę i stwierdził, że technicy wciąż czekają na rozkazy, przypatrując mu się w milczeniu.

– Dobra, otwórzcie jeszcze dwa, ale to wystarczy. I proszę zameldować, jak tylko to zrobicie – polecił i znów pograżył się w myślach.

Co naprawdę widział owego dnia, gdy Oinn odpierali w teorii atak Blettr? Widział potężne instalacje i holograficzną projekcję bitwy, słyszał raporty ze stanowisk ogniowych, czuł przepływającą energię i widział efekty jej użycie: zorza polarna stojąca w płomieniach.

– Pierdolone skurwysyny! – stwierdził nagle głośno. – Znowu im się udało!

Dłuższy czas siedział w milczeniu, analizując kolejno fakty i ignorując wszystko, co się wokół działu. Dotarł doń dopiero głos Groota, gdy sierżant dotknął jego ramienia.

– Naukowcy wylądowali. Samoloty kołują do terminalu.

– Doskonale, jak tylko maszyny uzupełnią paliwo, wsadzić do pierwszego całą załogę bazy poza

dyżurnymi kontrolerami z wieży oraz wszystkich naszych ludzi poza drużynami Alfa, Beta i Delta. Jak tylko się załadują, mają natychmiast startować. Gdzie trupy Oinn?

– Zebrani w ich kwaterach.

– Dobrze, przyprowadź naukowców tutaj, gdy wysiądą.

Zespół składał się z dwunastu ludzi pod kierownictwem nieustrudzonego profesora Tillemana. Poza nim Rob rozpoznał jeszcze doktora Lukoffa, ale nie miało to większego znaczenia. Tilleman dobierał ludzi, a do profesora Rob miał pełne zaufanie. Wszyscy ledwie powstrzymywali się od zacierania rąk i innych objawów radości, gdy sierżant wprowadził ich do centrum. Natychmiast rzucili się do rozmaitych urządzeń, ale zanim dopadli któregoś, powstrzymał ich stanowczy głos Roberta:

– Proszę o chwilę uwagi; proszę pracować w rękawiczkach i rozbierać tylko to, co na pewno złożycie z powrotem...

– Wiemy, pułkowniku – przerwał mu Lukoff. – Wszystko to mówiono nam już na odprawie przed startem.

– To bardzo dobrze, a teraz mówi się wam jeszcze raz. To wojskowa operacja i bardzo ważne jest przestrzeganie limitów czasowych: macie dokładnie godzinę na badania, łącznie ze złożeniem wszystkiego do kupy. Nie może zostać ani jedna część nie na miejscu, nic, co by świadczyło o waszej tu obecności. Mamy zamiar co prawda wysadzić to wszystko, ale nigdy nic nie wiadomo. Proszę zaczynajcie, a pana, profesorze Tilleman, chciałbym poprosić na chwilę.

– Wspaniale. – Spokojny zwykle naukowiec był wyraźnie podniecony. – Niepowtarzalna okazja.

– Odkryliśmy kilka ważnych faktów, o których chciałbym, żeby pan wiedział przed rozpoczęciem badań. Ekipa techników otworzyła już skrzynkę rozdzielczą jednego z dział.

– Doskonała wiadomość! Gdzie zawartość?

– Nigdzie. Zawartość nie istnieje; te działa to atrapy niezdolne do niczego, poza robieniem dobrego wrażenia.

Tilleman zamrugał gwałtownie, potrząsnął głową i stwierdził ostrożnie:

– Wydaje mi się, że nie rozumiem.

– A mnie się mocno wydaje, że znów daliśmy się zrobić w balona. Bitwa, której byliśmy świadkami, nie rozegrała się; działa są atrapami, więc nie mogły strzelać, a skoro tak, to nikt nie próbował nikogo przed niczym powstrzymać. To, co widzieliśmy i czuliśmy oraz zakłócenia atmosfery były jedynymi praktycznymi skutkami tej walki. Wydaje mi się, że wyłącznym celem tej bazy było spowodowanie tych zakłóceń i wywołanie malowniczych efektów na zorzy polarnej. Nie licząc naturalnie wrażenia, jakie miało wywrzeć na nas.

– To niemożliwe! Cała ta instalacja nie może być atrapą! Sam pan był na Księżycu i widział fortecę Blettr!

– Byłem i widziałem. Nasze obserwatoria potwierdzały jej zbliżanie się, ale Oinn zamarkowali bitwę, by uzyskać naszą współpracę. Zaczynam poważnie wątpić, czy w ogóle toczy się jakaś wojna w galaktyce. Powiedziano nam już tyle kłamstw, że trudno wierzyć w cokolwiek, na co nie mamy dowodów. A dowodem jest brak urządzeń umożliwiających jakiegokolwiek działanie tej cudownej broni, która niby to ocaliła Ziemię przed inwazją.

– Tak... w tym jest sporo racji... Cóż, tym bardziej istotne jest teraz, byśmy mogli dokładnie zbadać te urządzenia. Będziemy musieli mieć więcej czasu...

– Niemożliwe. Rozkład jazdy jest dokładnie opracowany i musimy go ściśle przestrzegać.

– Jestem pewien, że da się go trochę uaktualnić...

– Profesorze – głos Roberta był cichy, ale w niczym nie zmieniało to jego wyrazistości. – Być może to do pana jeszcze nie dotarło, więc powiem otwarcie: żebyście mogli tu teraz się znaleźć, oddział szturmowy musiał zabić wszystkich obcych, których zastaliśmy w bazie. Ludzie będą stąd ewakuowani, a baza zostanie wysadzona w powietrze. Nikt nie może wiedzieć, jaki był prawdziwy przebieg wydarzeń, gdyż wtedy Denver będzie skromną przestrogą. Jest już oficjalna wersja, która zostanie przedstawiona Oinn, ba, nawet mamy trupa, na którego spadnie odpowiedzialność; jeden z naszych został zabity w czasie ataku. Wersja ta głosi, że człowiek ten zwariował po stracie rodziny (a faktycznie pochodzi z Denver) i uciekł z jednostki, a był w oddziałach specjalnych. Ukrył się na pokładzie samolotu transportowego i spowodował jego przymusowe lądowanie, w wyniku którego maszyna uległa zniszczeniu, i dostał się tutaj. Mając broń i doświadczenie, wdał się w walkę z Oinn, został zabity i ginąc, wywołał wybuch. Zniszczenia były tak duże, że jedyne, co mogły zrobić ekipy ratunkowe, to ewakuować pozostałych przy życiu. Niestety obcy zginęli wszyscy, bo wywołał niewielki wybuch atomowy. Gdy Oinn przybędą, zastaną tu wyłącznie moich ludzi przeszkolonych w tym, co i jak mówić. Rozumie pan teraz, dlaczego nie możecie tu być ani minuty dłużej niż to zaplanowano?

– Całość... to szaleństwo... ryzyko...

– Jest ogromne, ale tego, co się stało, nikt już nie zmieni. Pozostało nam jedynie wykonać ten plan do końca, najlepiej jak potrafimy i zgodnie z nim... – przerwał na widok sierżanta.

– Pierwszy samolot załadowany i gotów do startu – zameldował Groot, podchodząc do nich. – Teraz właśnie kołuje na pas startowy.

– Doskonale. Przygotuj drugi tak, by... – zaczął Rob, ale nagłe pojawienie się Daniłowa w otwartych drzwiach przerwało mu ponownie.

– Kłopoty – poinformował ich Rosjanin. – Pierwszy samolot nie może wystartować. Stoi na pasie.

– Dlaczego?

– Zobacz sam.

Rob podbiegł do okna i zamarł. Na końcu jasno oświetlonego pasa startowego stał biały boeing 747 z pracującymi silnikami, ale bez ruchu. Powód tego bezruchu był kilkaset jardów przed nim.

Czarny kształt krążownika Oinn spoczywającego w poprzek pasa blokował go całkowicie i skutecznie.

## Bez wyjścia

Nieszczęście!

Rob stał jak sparaliżowany, nie mogąc się ruszyć ani też wykrztusić słowa, spoglądając na obcy kształt, którego obecność rujnowała wszystko. Na szczęście ośpienie nie trwało długo. Ocknął się:

– Musimy improwizować! Są jakieś propozycje? Sekunda, dwie, trzy... cisza. Był zdany na siebie.

– Cóż, po pierwsze złożyć sprzęt... nie, to i tak bez znaczenia. Daniłow, wyprowadź stąd wszystkich i umieść gdzieś, gdzie nie będzie ich widać. Już! Groot, przygotuj ładunki, tylko bez atomowego, i wysadzaj w cholerę centrum i trupy najszybciej jak się da. Nie chcę, by pozostał jakikolwiek ślad naszej tu obecności.

Rob nie miał pojęcia, czy mu się uda, ale wiedział, że musi spróbować. Co robią obcy? Rzut oka za okno upewnił go, że nic: okręt z zamkniętymi lukami tak jak poprzednio blokował pas. Nic się nie zmieniło.

– Zapalniki podłączone, gotowe do odpalenia – zameldował Groot. – Na szczęście nasi podłożyli wcześniej ładunki.

– Odpalaj, jak tylko się stąd wyniesiemy, a potem zorganizuj jakiś transport i czekaj na mnie przy wyjściu z terminalu – polecił Rob i ruszył biegiem do drzwi.

Był właśnie w kabinie radiowej, gdy potężna eksplozja omal nie zwała go z nóg. Z sufitu posypał się pył.

– Co się... – Operator odwrócił się przerażony.

– Nic. Wywołaj wieżę i każ im zabrać samolot z pasa; niech podkołuje pod terminal. – Rob złapał słuchawkę. – Generale...

– Jestem.

– Mamy kłopoty, sir. Wylądował krążownik Oinn i samoloty nie mogły wystartować. Wysadziliśmy ślady i trupy, a teraz jadę do krążownika; będę próbował sprzedać im nową wersję wydarzeń. Proszę być gotowym do akcji, gdyby mi się nie udało. – Odłożył słuchawkę, zanim zaskoczony zwierzchnik zdołał cokolwiek wykrztusić, i wybiegł na korytarz.

Przy drzwiach czekał Daniłow.

– Naukowcy ukryci, ale cały personel wie, co się tu wydarzyło. Jeśli Oinn będą z nimi rozmawiać...

– Właśnie dlatego musimy ich powstrzymać. Choć spróbujemy tym razem ich okłamać dla odmiany. Możemy zyskać na czasie.

– Wziąć ze sobą ludzi?

– Uzbrojona eskorta? – Rob zastanowił się przez moment. – To dobry pomysł, co prawda nie możemy ich do niczego zmusić, ale można ich przekonać, że nie żartujemy. Musimy ich przekonać, żeby dla własnego bezpieczeństwa pozostali na pokładzie. Weź ludzi!

Sierżant Groot czekał na nich w jednym z transportowców przed wyjściem. Była to przerobiona pięciotonowa ciężarówka wyposażona w stałe ściany i dach, dobrze izolowana przed zimnem. Wewnątrz zamocowano kilka rzędów ławek, by ludzie mogli usiąść w czasie podróży.

– Wsiadajcie, ale zachowujcie się cicho na wypadek, gdyby nas obserwowano. Nie wylazić bez mojego rozkazu – polecił Rob.

Wóz był ciepły, gdyż sierżant zabrał go z ogrzewanego garażu, a zainstalowana wewnątrz dmuchawa utrzymywała w ryzach zimne powietrze mimo otwartych drzwi. Rob chciał widzieć przebieg wydarzeń, a ocieplane burty skutecznie to uniemożliwiały.

Minęli kołującego w przeciwną stronę boeinga i pomiędzy nimi a krążownikiem był już tylko szybko zmniejszający się pas betonu.

– Chyba otwierają luk – zauważył stojący obok niego Daniłow.

– Też pięknie. Groot, stań tak, by tył wozu skierowany był na ten luk. A wy trzymajcie broń w pogotowiu, ale żadnych szaleństw. Ja i major pójdziemy pogadać; poza pistoletami nie bierzemy broni, ale może się okazać, że dobrze będzie im ją pokazać, więc uważajcie na sygnał.

Wóz stanął dokładnie tyłem do opuszczonej rampy, z której właśnie zeszło na beton dwóch grubo ubranych Oinn. Rob i Daniłow zeskoczyli na ziemię i Rob rozpoznał jednego z idących: Ozer'o, dowódca delegacji obcych na Ziemi.

– Są pewne kłopoty... – zaczął, ale Ozer'o przerwał mu, nie czekając na ciąg dalszy:

– Odebraliśmy sygnał alarmowy z bazy, ale nie możemy skontaktować się z naszymi przedstawicielami. Widzieliśmy wybuch. Wyjaśnij w drodze do centrum. Jedziemy.

– Jak zacząłem mówić, są pewne problemy. Baza została zaatakowana przez terrorystów. Nie wiemy jeszcze, ilu ich jest. Trwa oczyszczanie terenu przez specjalne oddziały...

– Zawieź nas tam. – Ozer'o znów zrobił krok do przodu. Rob i Daniłow nie ruszyli się jednak z miejsca.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić – wyjaśnił Rob. – Moim obowiązkiem jest dbać o wasze bezpieczeństwo. Zawiozę was, jak tylko dostanę meldunek, że niebezpieczeństwo minęło i baza jest sprawdzona przez moich ludzi. Do tego momentu proponowałbym, abyście pozostali na pokładzie swego okrętu.

– Rozumiesz, że próbujesz mi przeszkodzić w wejściu do mojej własnej bazy? – syknął Ozer'o. – Uważaj, co robisz, człowieku.

– Mam nadzieję, że po namyśle nie będziesz tego w ten sposób interpretował. Chodzi mi jedynie o wasze bezpieczeństwo, a z tego, co wiem, zagrożenie jest spore.

Obaj obcy mieli dłonie wpuszczone w obszerne rękawy grubych płaszczy, ale mimo to widać było, że drżą. Czy przyczyną było zimno czy wściekłość, trudno było orzec, nie ulegało natomiast wątpliwości, że znaleźli się w impasie. Ludzie nie zamierzali ustąpić, a Oinn koniecznie chcieli dotrzeć do bazy. Nagle rozległ się znacznie spokojniejszy głos Ozer'o:

– Być może ma pan rację, pułkowniku Hayward. Pozostaniemy wewnątrz naszego statku, dopóki nie będziecie gotowi.

Powiedział coś do swojego towarzysza, a Daniłow pochylił się w stronę Roberta, biorąc go jednocześnie pod ramię. Rozwój wydarzeń był tak niespodziewany, że zanim Rob zdołał w jakikolwiek sposób zareagować, Rosjanin pchnął go nagle, podcinając mu nogi, tak że obaj zvalili się na beton, i krzyknął:

– Ognia! Zaraz będą strzelać!

Obaj Oinn jak na komendę wyciągnęli dłonie z rękawów: lśniły w nich matowo pistolety laserowe...

Kilkadziesiąt pocisków wystrzelonych przez grupę osłonową podziurawiło ich ciała, ciskając zakrwawione trupy na pas startowy. Z szoferki wyskoczył Groot, zmieniając magazynek, dopadł obu poskręcanych w tańcu śmierci przeciwników i kopniakami odrzucił broń poza zasięg ich martwych rąk. Niby trupy, ale nigdy nic nie wiadomo – lepiej dmuchać na zimne.

– Słyszałem, co powiedział temu drugiemu – wyjaśnił Daniłow. – Kazał mu strzelać, bo zostali

zdradzeni...

Przerwał mu nagły rozbłysk w otwartym luku. Igła złocistego blasku trafiła go w plecy, przewracając na ziemię. Groot wygarnął z półobrotu w ciemny otwór i nie przerywając ognia, rzucił się ku rampie.

– Do abordażu! – ryknął Rob, odruchowo używając starej, morskiej komendy.

Jego ludzie z rykiem wyskoczyli z ciężarówki i rzucili się ku krążownikowi. Sierżant dopadł rampy, pokonał ją w dwóch skokach i miał wpaść do środka, gdy trafiły go promienie dwóch laserów. Zwinął się w skoku i padł na metalowe płyty.

Rampa zaczęła się podnosić, a drzwi opadać, blokując wyjście.

## Jeńcy

Groot padł częściowo na rampę, częściowo w otwór luku, który właśnie się zamykał. Pomimo dymiącego kombinezonu i dwóch dziur w piersiach nie był martwy. Jeszcze nie. Rob, biegnąc wraz z resztą oddziału szturmowego, zobaczył, jak prawa ręka sierżanta wolno się unosi wraz z zaciśniętym w niej Ingramem.

Wylot tłumika i krawędź drzwi zetknęły się w chwili, gdy Groot zaklinował kolbę broni w szczelinie, w którą powinny opaść drzwi, i znieruchomiał. Rozległ się jęk protestującego mechanizmu i drzwi zamaryły na wpół otwarte, zablokowane bronią trzymaną przez martwą już rękę.

Rob rzucił się szczupakiem na rampę i nie celując, wypróżnił magazynek colta w otwór. Za nim i wokół rozległ się tupot butów i rampa pod ich wspólnym ciężarem opadła ze zgrzytem, nieruchomiejąc w pozycji "otwarte". Jeden z atakujących posłał długą serię nad głowę Roberta, a dwaj inni podważyli drzwi, unosząc je bez większego wysiłku: mechanizm albo się wyłączył, albo przepalił. Na korytarzu leżały dwa trupy obcych – jeden przecięty serią, drugi podziurawiony kulami z pistoletu Roberta.

Pierwszy z ludzi, którzy przestąpili próg, został trafiony promieniem lasera między oczy, ale na jego miejsce wskoczyli dwaj następni, ani na chwilę nie przerywając ognia, a dwaj inni osłaniali ich krótkimi seriami.

Roberta, usiłującego dostać się do wnętrza, bezceremonialnie przytrzymał kapral, pozwalając, by minęła ich reszta grupy. Rob oprzytomniał na tyle, by wymienić magazynek na pełny i polecić:

– Potrzebuję przynajmniej jednego jeńca! Strzelajcie tak, by obezwładnić, jeśli tylko się da!

– Dopilnuję tego, sir – obiecał kapral, puszczając go i wbiegając do środka pojazdu w ślad za swymi ludźmi; Rob podążył za nimi.

Opór Oinn, po pokonaniu tych najbliższych wejścia, w praktyce przestał istnieć w zorganizowanej formie. Ponieważ jednakże większość załogi była uzbrojona, walki wybuchały to tu, to tam i Rob co chwila mijał trupy tak ludzi, jak i obcych; tych ostatnich było zdecydowanie więcej. W sterówce zegary i ekrany nosiły ślady zarówno kul, jak i promieni laserowych, ale nic się nie paliło. Było za to sześć trupów; jeden żołnierz i pięciu obcych.

– Zostanę tutaj – zdecydował Rob, rozglądając się wokół – zawiadomcie podoficerów i sprawdźcie dokładnie całą jednostkę cal po calu.

To ostatnie było skierowane do dwóch żołnierzy pilnujących wejścia do momentu jego przybycia. Słowa te wymiotły ich na korytarz, a Rob odsunął trupa zajmującego jeden z foteli i ciężko opadł na zwolnione siedzenie. Dopiero teraz poczuł strach, nie przed tym, że mógł zginąć, ale przed konsekwencjami tego, co właśnie zrobili. Reakcja była odruchowa, jak u wszystkich dobrze wyszkolonych żołnierzy – jeśli strzelają do ciebie, to broń się, a najlepszą formą obrony jest atak. A najskuteczniejszy atak to zabicie strzelającego.

Tylko czy zabijając załogę krążownika, nie zabili Ziemi?

Rozmyślenia przerwał mu ruch przy wejściu – odruchowo wycelował i z ulgą stwierdził, że to sanitariusz pomaga wejść obandażowanemu od szyi do pasa Daniłowowi.

– Kirsza! Myślałem, że już po tobie.

– Prawdę mówiąc, ja też – uśmiechnął się słabo Rosjanin, siadając ostrożnie na pierwszym wolnym fotelu. – Ochroniła mnie grubość kombinezonu i to, że byłem w ruchu. Jak twierdzi łapiduch,



mam paskudną ranę na plecach i oparzenia któregoś tam stopnia, ale podobno przeżyję. Statek jest nasz?

– Wkrótce powinniśmy się dowiedzieć. Czekam na meldunki.

– Proszę to wziąć za godzinę, sir – polecił sanitariusz, dając rannemu fiolkę. – Jedna albo dwie w zależności od tego, jak mocno będzie bolało. Zastrzyk wtedy przestanie działać. Pójdę zobaczyć, mogą być inni ranni, choć dotąd były same trupy.

Sanitariusz wyszedł, a po sekundzie w drzwiach pojawił się żołnierz, rozejrzał się i pognął za nim.

– Niezłe zamieszanie nam wyszło – mruknął Daniłow.

– Może to i lepiej – odparł Rob. – Cholera wie, jak powinniśmy byli postąpić. Chyba dobrze, że zaryzykowaliśmy.

Raporty zaczęły napływać po jakichś pięciu minutach. Okręt został opanowany i oczyszczony poza maszynownią. Jak dotąd nie udało się złapać żadnego Oinn żywcem. Siedmiu ludzi z oddziału zostało zabitych, trzech ciężko rannych.

– Mamy jeszcze kilku żywych w maszynowni – wyjaśniał goniec. – Chcą się poddać, ale żądają rozmowy z oficerem dowodzącym.

– Mówią po angielsku czy rosyjsku? – spytał Rob, jako że meldujący był Rosjaninem.

– Łamanym angielskim, sir.

– Zaprowadź mnie tam. Majorze, proszę przejąć dowództwo do mojego powrotu.

Drzwi były masywne i pilnowane przez dwóch żołnierzy, reszta czekała parę jardów bliżej, obok skrzyżowanego trupa Oinn. Jeden z wartowników wskazał na czerwony prostokąt w ścianie.

– To jakaś wersja intercomu, sir. Właśnie przez nią się porozumiewaliśmy.

– Kto tam? Czy oficer? – rozległ się nieco zniekształcony głos dobiegający z samej płytki, najwidoczniej zostawili urządzenie na nasłuchu tego, co się dzieje na korytarzu.

– Tu pułkownik Robert Hayward, dowódca oddziału szturmowego – odparł Robert, podchodząc bliżej.

– Znam pana. Dlaczego nas pan zabija?

– To wy otworzyliście pierwszy ogień i próbowaliście mnie zabić. My po prostu się broniliśmy. Chcecie się poddać?

– Nie chcemy więcej zabijania!

– Jeśli wyjdziecie bez broni, macie moje słowo, że nikt nie będzie do was strzelał.

– Mamy broń.

– To otwórzcie drzwi i wyrzucie ją na korytarz, ale pamiętajcie, że każda próba jej użycia skończy się śmiercią.

– Nie strzelać! Otworzymy.

Na te słowa żołnierze przyjęli pozycje strzeleckie. Rozległ się szum jakiegoś mechanizmu i drzwi uniosły się na parę cali. Drżąca, dwupalczasta dłoń wysunęła przez otwór trzy pistolety laserowe, które Rob czym prędzej kopnął w bok.

– Pokaż się – polecił. – Nie będzie więcej zabijania. Znowu rozległ się szum mechanizmu i drzwi otworzyły się do połowy. Wygramolił się przez nie Oinn z uniesionymi w górę rękoma, rozglądając się bojaźliwie. Otwór gębowy otwierał mu się i zamykał gwałtownie, ale przez chwilę nic nie mówił.

– Widzicie! Poddaję się! – oznajmił wreszcie. – Inni też chcą się poddać. Jest nas sześciu. Nie jesteśmy żołnierzami, tylko robotnikami od silników. Nie zabijajcie nas.

– Masz moje słowo. Teraz otwórz drzwi do końca i wychodźcie z rękoma do góry.

Oinn, zamiast wykonać polecenie, zaczął się trząść i spytał drżącym głosem:

– Ale nie zabijecie nas, nawet jak się rozżłoście widokiem?

– Masz moje słowo – warknął Rob. – Teraz otwieraj! Oinn wydał jakąś komendę i odsunął się od drzwi, które powoli się uniosły, aż zniknęły w suficie. Rob spojrział na stojącą za nim piątkę obcych i pojął przerażenie swego rozmówcy. Powoli opuścił broń i starannie schował ją do kabury.

– Uważajcie na jeńców, ale żeby żadnemu nic się nie stało – polecił żołnierzom. – I nie pozwólcie im niczego dotykać. Przyślę po nich, jak tylko zamelduję o tej ciekawostce przyrodniczej.

Niespiesznie wrócił do sterówki, zastanawiając się, co robić dalej. W korytarzu przed drzwiami stały grupki ludzi z oddziału szturmowego, gawędząc z ożywieniem. Teraz opadło z nich napięcie i adrenalina. Zamilkli na jego widok.

– Majorze. – Rob jak zwykle w takich wypadkach wołał oficjalny sposób zwracania się. – Zdoła pan pełnić tu obowiązki dowódcy, dopóki nie podeślę wsparcia?

– Naturalnie, sir.

– Doskonale. Muszę natychmiast połączyć się z generałem Beltine'em. Przyślę tu dwie sekcje, lekarza, ambulans i transport. Mamy sześciu jeńców, schowali się w maszynowni i po obustronnych zapewnieniach o dobrej woli poddali się bez walki.

– Co zeznali?

Rob stanął w drzwiach i uśmiechnął się złośliwie.

– Nic. Nie musieli; wystarczyło jedno spojrzenie. Załoga maszynowni w liczbie sześciu, z czego trzech Oinn i trzech zagorzałych i nieprzejednanych ich wrogów – Blettr. Nie byli jeńcami czy niewolnikami. Pracowali razem w jak najlepszej zgodzie. Teraz wszystko jasne, prawda?

## Ultimatum

– Pułkownikowi Hayward, chcę oficjalnie zaprotestować przeciw temu, jak pan nas potraktował.

– Proszę wejść, panie profesorze. O, doktor Lukoff. Proszę bardzo do środka. Chcą panowie kawy? Świeżo parzona.

– Proszę przestać się wygłupiać. – Tilleman naprawdę był wściekły. – Dla nas to poważna sprawa.

– Dla mnie też, ale i tak miałem się napić, wobec czego panowie wybaczą. Tam jest raczej zimno. – Wskazał gestem ścianę i nalał parującego płynu do kubka.

Zamierzał zrobić to samo z kubkiem Daniłowa, ale dostrzegł, że ten drzemie na zaimprovizowanym fotelu. Byli sami w przestronnej mesie, której dobrze izolowane okna wychodziły na pas startowy. Widać na nim było ciemny kształt zdobycznego krążownika.

– Wszystko, co słyszeliśmy, to plotki. – Lukoff powiódł wzrokiem po oknach i znieruchomiał. – Plotki o jakiejś walce, o obecności Oinn, o tym, że pan był w ich pojeździe...

– Wobec tego proponuję, żebyśmy zaczęli od chwili, w której widziałem was po raz ostatni. – Rob przerwał na chwilę, upił łyk kawy i zaczął relację: – Gdy zaatakowaliśmy, jeden z Oinn musiał uruchomić jakiś alarm, który ściągnął tu krążownik. Byli przekonani, że zaszło coś złego i mieli naturalnie rację, choć ani Daniłow, ani ja tego nie potwierdziliśmy. Nasze próby rozmów nie okazały się zresztą zbyt owocne: Oinn próbowali nas zabić, stąd rana majora.

– To straszne!

– To było straszne! Mieliśmy ogromne szczęście, że się skończyło tak a nie inaczej. Jesteśmy zawodowcami, a to oznacza, że raczej trudno nas zabić. Wywiązała się walka, w której efekcie jednostka widoczna za oknami dostała się w nasze ręce.

Tilleman nieco opanował gniew.

– Chce mi pan powiedzieć, że zaryzykował pan losy świata i ludzkości, wdając się w walkę z Oinn? – spytał lodowatym głosem.

– Tak – odparł spokojnie Rob. – I jest wysoce prawdopodobne, że wygrywając tę walkę, uratowaliśmy świat i ludzkość, o której pan mówi. Okręt jest nasz, pomimo strat, które ponieśliśmy. Oni zresztą też solidnie oberwali.

– Jest pan szaleńcem! – nie wytrzymał Lukoff. – Oinn też mają takie bomby, jak te, które zniszczyły Denver, one...

– Jak dotąd nie zostały jeszcze zrzucone – wpadł mu w słowo Rob. – Od chwili rozpoczęcia walki nie mieliśmy żadnego oficjalnego kontaktu z Oinn. Koniec może być faktycznie blisko, ale ani nie wiadomo dokładnie jak, ani jeszcze nie nadszedł. Rozmawiałem z dowództwem i przedstawiciele połączonych sztabów, są już w drodze. Polecili mi przekazać panom rozkaz natychmiastowego zbadania okrętu: może to być okazja, której tak desperacko szukaliśmy, by poznać ich technikę. Mam na pokładzie ludzi, którzy posłużą jako przewodnicy; odkryliśmy też magazyn części zamiennych. Proponuję, byście wzięli po jednej sztuce każdej z nich, nie licząc dokładnego sprawdzenia, jak działają rozmaite urządzenia...

– Nie potrzebujemy pańskich rad, jak wykonywać swoją pracę – parsknął Tilleman. – Chciałbym tylko wiedzieć, po co mamy się męczyć, skoro i tak wkrótce będzie koniec świata.

– Nie tak znowu wkrótce – odparł cicho Rob. – Nie zdążyłem wam powiedzieć, co jeszcze

odkryliśmy na pokładzie tego okrętu. Najciekawsza bowiem była załoga maszynowni, którą wzięliśmy żywcem; składała się z przedstawicieli obu ras pracujących łapka w łapkę. Blettr nie byli ani jeńcami, ani niewolnikami; dobrowolnie i z ochotą współpracowali ze swymi "odwiecznymi wrogami".

– Nie rozumiem. – Po minie Lukoffa widać było, że to prawda; nowa informacja jakoś przekraczała granice jego percepcji.

– Wobec tego powiem wyraźnie: zostaliśmy oszukani. Wiedzieliśmy, że obie rasy posługują się tym samym językiem, ale nie wiedzieliśmy dlaczego. Teraz wiemy – współpracują ze sobą, a to oznacza, że nie ma żadnej wojny i nie groziła nam żadna inwazja. Wszystko, co się wydarzyło od wylądowania ich statku w Nowym Jorku, było jednym wielkim i starannie zaplanowanym oszustwem. Ta baza była i jest atrapą, a bitwa w obronie Ziemi doskonałym trickiem. Zostaliśmy po mistrzowsku nabici w butelkę, i to na wielką skalę.

– Ale miasta... – zaprotestował Tilleman. – Denver, Metz, Tomsk. One zostały zbombardowane naprawdę. Zginęły miliony ludzi i to nie było oszustwo. Po co?

– Ma pan rację. – Rob nagle spowaźniał. – To nie było oszustwo, to było zaplanowane z zimną krwią ludobójstwo na skalę, jaka nie ma odpowiednika w historii Ziemi. Zrobili to, by nas przekonać, że ta wojna toczy się na serio, i udało im się to w stu procentach. Dlatego też nie mam absolutnie żadnych wyrzutów sumienia w związku z tym, co zrobiliśmy tutaj. Zginęło wystarczająco dużo niewinnych ludzi, żeby wszystkich tych przybłędów ze spokojnym sumieniem wysłać do diabła.

– Ależ oni zbombardują następne miasta! – jęknął Lukoff.

– Dlaczego? – zdziwił się szczerze Rob. – Jestem co prawda tylko głupim oficerem, ale nie widzę żadnego powodu, by mieli to zrobić: nic przez to nie osiągną, gdyż znamy prawdę. Cała ich legenda przestała istnieć. Nie mówię, że gdy ochłoną, to tego nie zrobią, choćby z czystej zemsty, ale jak na razie jesteśmy bezpieczni. I mogę panu powiedzieć nawet jak długo: do pierwszej rozmowy z nimi. Dlatego potrzebujemy jak najwięcej informacji o ich technice, i to jak najszybciej. Potem będzie czas na wzajemne żale i oceny moralne. Teraz proszę zabrać się do roboty. Przykro mi, że poczuliście się obrażeni, ale starałem się przekonać was w jak najkrótszym czasie, żebyście zrobili to co jest w tej chwili najważniejsze dla nas wszystkich. Następny krok należy do obcych, a to oznacza, że nie wiemy dokładnie, ile mamy czasu. Proszę, bierzcie się do pracy!

Tilleman miał wyraźną ochotę protestować, ale widać było, że tym razem rozsądek wziął górę nad emocjami.

– Chyba ma pan rację – mruknął. – Argumentować sobie będziemy później. Ostrzegam też, że nie zamierzam zataić tego, co sędzę na temat zwariowanego pomysłu, w którym zresztą biorę udział. Ale o tym później. Teraz faktycznie zabieramy się do roboty.

Po tym budującym stwierdzeniu obrócił się na pięcie i wyszedł.

Gdy za obydwojma luminarzami nauki zamknęły się drzwi, Daniłow otworzył jedno oko i westchnął z ulgą.

– Słyszałeś wszystko! – powiedział oskarżycielsko Rob.

– Wszystko – zgodził się posłusznie major. – Ale nie miałem najmniejszej ochoty dać się wciągnąć w dyskusję. Poza tym doskonale sobie radziłeś bez pomocy.

– I to się nazywa przyjaciel? Jak się czujesz?

– Wspaniale. Ućpany po uszy! Teraz rozumiem, jak się czują narkomani. Poza tym zimne kompresy są bardzo korzystne dla cery.

– Powinieneś być w szpitalu.

– I będę. Jak tylko ten cyrk się skończy. Szkoda, że Groot nie miał tyle szczęścia.

Rob spowaźniał nagle i smętnie wpatrzył się w zawartość stojącego przed nim kubka.

– Szkoda, to był dobry chłop – przytaknął. – Choć przyznać trzeba, że umierając, ocalił nas, a może nawet i świat. To piękna śmierć. Jeśli przeżyję, to dopilnuję, żeby dostał Congressional Medal of Honor.

– I Order Lenina. Będzie pierwszym, który dostanie oba najwyższe odznaczenia w naszych krajach. Niewielka to pociecha, ale jak inaczej możemy mu podziękować?

– Ten pomysł by mu się podobał, zwłaszcza wasz medal. W RPA powinno to wywołać niezatarte wrażenie! Tak się to chyba określa.

Nagły blask za oknem i ryk podchodzącego do lądowania odrzutowca przerwały im rozważania nad możliwymi reakcjami władz i policji. Chwilę później maszyna pojawiła się ponownie w ich polu widzenia, tym razem wolno i statecznie kołując do terminalu. Jak się dowiedzieli później, pilot, kończąc lądowanie, zatrzymał samolot o sto jardów od krążownika.

– W końcu są! – odetchnął Rob. – Dość już mam decydowania o losach świata.

Generał Beltine wpadł do środka o dwa kroki przed generałem Sobolewskim, za którym podążała Nadia. Cicho zamknęła drzwi za obydwoma oficerami.

– Coś nowego od naszej ostatniej rozmowy? – spytał Beltine zamiast powitania.

– Nie, sir. Żadnego kontaktu z wrogiem, a na pokładzie krążownika urzędują naukowcy, zgodnie z pańskim rozkazem.

– Otrzymaliśmy wiadomość z fortecy – wtrącił się generał Sobolewski. – Srparr tak się podniecił, że kazałem go wziąć pod straż. Nadia ją wam przeczyta.

– Dosłownie brzmi ona: ”Pożalujecie przemocy na stacji arktycznej. Natychmiast ewakuujcie się stamtąd, a wasze miasta zostaną oszczędzone”. Nie jest podpisana – wyjaśniła dziewczyna.

– Skończyły się uprzejmości – sapnął generał Beltine. – Teraz to wyraźna groźba, a brak podpisu wskazuje, że zdają sobie sprawę z tego, że znamy prawdę.

– I co robimy? – spytał Rob. – Słuchamy?

– Za cholere! – wybuchnął Sobolewski. – Połączone sztaby są wyjątkowo całkowicie zgodne w tej kwestii. To kolejny bluff, żeby zmusić nas do podporządkowania się. Tyle że te czasy się już skończyły. Mamy ich krążownik, co może nie jest bezcenne z ich punktu widzenia, ale na pewno ma swoją wartość przetargową. Wszyscy żołnierze mają zająć stanowiska wokół i wewnątrz okrętu oraz w porcie lotniczym, tak by mieć teren pod ostrzałem.

Rob wydał odpowiednie rozkazy przez telefon, w wyniku czego za oknem zapanowała ożywiona krzątanina. Oddział był dobry; po kilku zaledwie minutach czarny kształt otoczony był placówkami ogniowymi, podobnie zresztą jak budynki portu lotniczego.

Daniłow w tym czasie wprowadzał obu generałów w szczegóły zdobycia okrętu, natomiast Nadia spoglądała w okno. Rob postanowił skorzystać z okazji, choć nie za bardzo wiedział, jak zacząć.

– Ponieśliśmy straty... – wykrztusił w końcu.

– Słyszałam. Biedny Groot...

– Zginął tak, jak chciał – w walce. Dla zawodowego żołnierza to dobra śmierć. Nie rozpaczaj po nim.

– A dlaczego nie? – rzuciła z wściekłością. – Nie jestem żołnierzem, nie zabijam i nie lubię zabijania. Nie lubię nawet usprawiedliwionego użycia przemocy fizycznej, ot choćby to, co zrobiłeś na Księżycu. Gdyby tacy jak ty, kochający wojnę, nie zaplanowali tej akcji, to i on, i inni nadal by żyli!

– I nadal bylibyśmy ciemni jak tabaka w rogu co do tej całej kretyńskiej wojny, której nie ma.

Nie rozumiesz, że dostarczyliśmy wzbogacone paliwo nuklearne tym samym istotom, które zabiły miliony ludzi? Pomyśl o tym, jak zginęli ci ludzie, jeśli tak bardzo mierzi cię zabijanie.

– Nie wiedzieliście tego, ryzykując tę akcję...

– Mieliśmy podejrzenia, o których wiesz, a to, czego się dowiedzieliśmy, w pełni uzasadnia ryzyko...

– Hayward! – przerwał mu głos generała Beltine'a. – Są! Wszyscy, włącznie z Daniłowem, rzucili się do okien.

Krażownik otoczony był pierścieniem pojazdów, zza których nie było widać obrońców. Nad nim zaś unosił się patrolowiec, do złudzenia przypominający ten, który wylądował w Central Parku. Jednostka zawisła nieruchomo, potem zatoczyła krąg i w końcu miękko osiadła na płycie przed terminalem pilnowanym przez żołnierzy.

– Pójdę do nich, sir – zaproponował Rob. – Wezmę ze sobą radiooperatora, a tu wstawimy radiostację. W ten sposób będziemy w stałym kontakcie, a oni nie będą mogli użyć najwyższych tu rangą jako zakładników. Zgadza się pan, sir?

Pułkownik nie jest w stanie rozkazać generałowi, ale ma prawo zaproponować to, co uważa za stosowne, zwłaszcza jeśli jest to zgodne ze zdrowym rozsądkiem i zwyczajem, by nie wysyłać głównodowodzącego na negocjacje. Beltine spojrzał na Sobolewskiego i obaj prawie równocześnie skinęli głowami.

– Proszę tak zrobić, pułkowniku – zdecydował generał Beltine. – I proszę nawiązać łączność, jak tylko będzie pan na miejscu. Chciałbym wiedzieć, kto przyleciał tym razem.

Na zewnątrz, gdy Rob tam dotarł, czekał wóz z radiostacją.

– Do tego pojazdu, który właśnie wylądował – polecił Rob sierżantowi siedzącemu za kierownicą. – Tylko bez pośpiechu. Jak będziemy z dziesięć jardów od luku, to stajemy.

Rob odczekał chwilę i sięgnął po słuchawkę.

– Tu pułkownik Hayward, słyszycie mnie?

– Tak, sir – zameldował radiooperator.

– Będę mówił, co się dzieje, jeśli będziecie chcieli mi coś powiedzieć, to się włączcie, zgoda?

– Tak, sir.

– Zbliżamy się do statku od dziobu, tam, gdzie jest luk... Rampa się otwiera i wychodzą dwie postacie... wysiadam... – Słuchawka była na długim kablu, toteż Rob miał możliwość poruszania się dość daleko. – Poznają jednego z nich: to dowódca fortecy, Blettr zwany Uplynn. Drugi to Oinn...

– Hej, człowieku! – ryknął Blettr, podchodząc do niego i spoglądając groźnie z wyżyn swego imponującego wzrostu. – Powiedz tym, z którymi rozmawiasz, że mają godzinę, aby wykonać moje rozkazy, albo Moskwa i Waszyngton D.C. przestaną być zamieszkałe. Powiedz im też, że od tej chwili my rządymy planetą zwaną Ziemia, a wy dokładnie wykonujecie nasze rozkazy.

## Bez apelacji

– Przekażę tę wiadomość – odparł Rob i powtórzył całość do mikrofonu. Zanim się odezwał ponownie, najpierw wysłuchał reakcji obu generałów.

– Nie jestem upoważniony, aby z wami pertraktować. Polecono mi zaprosić was do centrum, gdzie generałowie Beltine i Sokołowski przedyskutują z wami warunki.

– Niech przyjdą tutaj!

Rob z kamienną twarzą przekazał treść przerywnika i kolejną wiadomość od obu generałów.

– Generał Beltine polecił przekazać, że wewnątrz jest i cieplej, i znacznie wygodniej niż na betonowej płycie. Macie jego słowo, jak też słowo generała Sobolewskiego, że nic złego was nie spotka.

Obaj obcy konferowali przez chwilę i wyrazili zgodę. Rob, starannie unikając okazania radości z takiego obrotu sprawy, przekazał to do centrum, odłożył słuchawkę i wraz z obydwoma przybyszami wszedł do wnętrza budowli. To, że tak szybko zgodzili się na warunek wstępny, było doskonałą wskazówką, jak należy prowadzić rozmowy.

Rob otworzył drzwi do mesy, w której czekali pozostali. Ledwie obcy znaleźli się wewnątrz, generał Sobolewski zaatakował z grubej rury:

– Teraz chcemy prawdy! Podacie nam prawdziwe powody, dla których przybyliście na Ziemię i okłamywaliście nas od samego początku. Powody, dla których zabiliście mieszkańców trzech wielkich miast! Mów!

Uplynn zbył go niedbałym machnięciem łapy. – Cisza, ludzka kreaturo. To ja wydaję rozkazy.

– Nie – głos generała Beltine'a był zimny jak lód. – Czas waszych kłamstw już się skończył. Ulegaliśmy waszym zachciankom jedynie po to, by zyskać na czasie. Teraz nadeszła godzina rozrachunków. Informuję was oficjalnie, że przetransportowaliśmy na Księżyc dwieście głowic nuklearnych, które są obecnie ustawione wokół waszej fortecy, tworząc krąg odległy o około jedną milę od jej ścian. Gdy zostaną detonowane, po waszej stacji pozostanie całkiem niezły krater. Zrozumieliście, co powiedziałem?

Sądząc po reakcji, zrozumieli dokładnie i właściwie: futro Blettr zafalowało gwałtownie, a mniej wytrzymały, a za to szybciej myślący Oinn rzucił się do drzwi. Stojący przy nich Rob trzasnął go na odlew w kark, wywracając na podłogę, i bez słowa otworzył drzwi na korytarz. Stało za nimi sześciu ludzi z bronią gotową do strzału.

– Informuję także – dodał generał Beltine ze złośliwym uśmieszkiem – że skłamaliśmy. Nie jesteście tu bezpieczni. Prawdę mówiąc, waszemu życiu i zdrowiu zagraża poważne niebezpieczeństwo; jeśli zaczniecie kłamać, to będzie to oznaczało kulę. I nie zabijemy was od razu. Czas kłamstw się skończył, teraz docenicie zalety prawdomówności.

Na znak generała Sobolewskiego Rob podniósł za kołnierz oszołomionego Oinn i pchnął go niezbyt delikatnie w stronę Rosjanina.

– Oinn i Blettr są w zмовie przeciwko nam i nie toczą ze sobą żadnej wojny – wycedził generał, stając o krok od drżącego obcego. – Ten patrolowiec, który wylądował, był spreparowany, byśmy uwierzyli w wojnę galaktyczną, która jest oszustwem, podobnie jak bitwa pomiędzy tą bazą a fortecą. Zrobiliście to po to, by skłonić nas do dostarczenia wam surowców i materiałów radioaktywnych. Teraz gadaj: to prawda?

Oinn coś pisnął, ale Blettr zagłuszył go, wykrzykując jakiś rozkaz. Zamiast słuchać, Oinn odpyskował mu coś zawzięcie i przez kilkanaście sekund w pomieszczeniu słychać było tylko język obcych. Gdy zapanowała cisza, rozległ się spokojny głos Nadii:

– Uplynn, czyli Blettr, polecił Oinn imieniem Oged'u, aby nic nie mówił i niczego nie potwierdzał. Oged'u odparł, że i tak już wszystko wiemy, że wszystko przepadło i to już koniec...

Z rykiem wściekłości Blettr rzucił się na swego sprzymierzeńca, a wyciągnięte do przodu ręce i rozcapierzone palce jasno świadczyły o morderczych zamiarach.

Ryk zagłuszyła kanonada: pociski pistoletowe zatrzymały wpierw, a następnie uniosły i obróciły atakującego. Tryskając zieloną krwią z ran, Blettr zwałił się z łoskotem na podłogę i znieruchomiał u stóp swej niedoszłej ofiary, która kuliła się opryskana jego krwią.

Daniłow opadł na zaimprovizowane posłanie i wymienił magazynki, po czym wyjaśnił słabym głosem, nie wypuszczając jednak broni z ręki:

– Atakując, Uplynn nazwał tego tu zdrajcą i zagroził, że zabije go, aby nic więcej nie powiedział. Wydawało mi się, że większy pożytek będziemy mieli z żywego tchórza niż z żywego bohatera.

– Święta racja – przyznał generał Beltine i zamaszystym krokiem podszedł do skulonego Oged'u. – Wstawaj i siadaj. Jak będziesz mówił prawdę, nikt ci nic nie zrobi. Doskonale... teraz mów!

Oinn, on i Sobolewski siedli przy jednym ze stolików, wartownicy zaś rozstawili się wzdłuż jednej ze ścian, by mieć obcego w polu ostrzału niezależnie od miejsca, w którym by się znalazł. Była to praktyczna nauka ze sceny z Uplynn – gdy Blettr zaatakował, Oinn był częściowo zasłonięty przez Roberta i dlatego stłoczeni przy drzwiach strażnicy bali się otworzyć ogień.

W pokoju zapadła cisza, którą przerwał dziwnie łagodny głos generała Beltine'a:

– Oinn i Blettr nie prowadzą ze sobą wojny, tylko współżyją w pokoju, tak?

– Tak.

– Doskonale. Udawaliście wojnę, żeby otrzymać od nas materiały rozszczepialne, prawda?

– Prawda. Dawno temu była wojna. Wielka. Toczona w przestrzeni kosmicznej. Przetrwało niewiele. Stracono zapisy... kursy do domu... Nie wiedzieliśmy potem, kto z kim walczył i po co. Nie wiedzieliśmy, czy nasze ojczyste planety jeszcze istnieją... i gdzie są...

– Jesteście albo żołnierzami z rozbitych formacji, albo, co bardziej prawdopodobne, dezertierami! – Rob złapał się na tym, że głośno mówił to, co właśnie doń dotarło. – Macie tę jedną fortecę, kilka okrętów i niewiele paliwa...

Zamilkł, zdając sobie sprawę, że w ogóle nie powinien był się odzywać, ale znaczenie tego, co dopiero zrozumiał, było zbyt wielkie, by zdołał nad sobą zapanować. W ciszy, jaka zapadła, dał się słyszeć słaby, ale wyraźny głos Oged'u:

– Garść została... z każdą generacją coraz mniej... promieniowanie albo co... mówią, że zdeformowało geny; wielu z nas rodzi się niekompletnych, stąd metalowe kończyny. Ale maszyny nie zawsze działają... nie wszystkie możemy naprawić... Zostały tylko cztery okręty i forteca... teraz trzy. Jednego nie dało się naprawić, więc użyliśmy go jako przynęty na początku... Musieliśmy przeżyć... to przecież takie proste. Uwolnijcie mnie; mamy paliwo, odlecimy stąd. Pozwólcie nam. Nie powinniśmy byli tu lądować. Wasza rasa jest zbyt agresywna, lubicie zabijać... ale nie mieliśmy wyjścia. Uwolnijcie mnie.

– Decyzja nie należy do nas – odezwał się generał Sobolewski – tylko do naszych rządów. Dopóki one nie zdecydują, będziesz przebywał w tej bazie pod strażą. I ciesz się, że nadal żyjesz.

Wstał i spojrzał wymownie na stygnącego trupa Blettr.

Osiągnięcie decyzji zabrało dwadzieścia cztery godziny, co, biorąc pod uwagę możliwości



nadzwyczajnej sesji ONZ (trwała całą noc), graniczyło z cudem. Tymczasem do stacji arktycznej dowieziono specjalnym samolotem Srparra wraz z modułem łączności i obstawą. Odbył konferencję z Oged'u (nagrywaną naturalnie), w czasie której dowiedział się cenzurowanej wersji wydarzeń, co Nadia podsłuchiwała na bieżąco i relacjonowała zgromadzonym w sąsiednim pokoju oficerom.

– To są jednak urodzeni łgarze – stwierdziła z uczuciem. – Oged'u twierdzi, że to myśmy wszystko odkryli, on nam nic nie powiedział, a Uplynn nas zaatakował i zastrzeliliśmy go w obronie własnej. Srparr nadaje właśnie meldunek do fortecy.

– Świetnie – mruknął generał Beltine – żeby bronić własnej skóry, wziął naszą stronę.

– Co nie zmienia faktu, że przy pierwszej okazji ześle nam dla własnych korzyści – zauważyła.

– Wiemy o tym i zostały poczynione odpowiednie kroki – odparł generał, ale nie wyjaśnił, co ma na myśli.

Gdy ONZ podjęło w końcu decyzję, spotkali się ponownie. Generał Sobolewski odczytał wolno i dokładnie jej treść po angielsku.

– Polecono mi poinformować was, że dziś osiągnięto następujące porozumienie: My, mieszkańcy Ziemi, nie chcemy wdawać się w jakiegokolwiek zbrojne konflikty z siłami Oinn i Blettr, dlatego też ładunki nuklearne na Księżycu nie zostaną zdetonowane, jeśli forteca opuści jego powierzchnię oraz Układ Słoneczny, i to natychmiast. Jeńcy przebywający na terenie bazy arktycznej, będą mogli opuścić ją na pokładzie krążownika kosmicznego, ale pozbawionego broni pokładowej. Mniejsza jednostka pozostanie na Ziemi jako symboliczne zadośćuczynienie za straty, które działania obu ras spowodowały na tej planecie. – Sobolewski odłożył dokument i dodał: – To wiadomość, którą natychmiast przekażecie swoim władzom. Towarzyszka Andrianowa przygotowała tłumaczenie, którego z dobrego serca radzę się trzymać.

Nadia wręczyła je Blettr, który włączył swoją stację nadawczą, ale gdy sięgał po słuchawkę, rozległ się głos Roberta:

– Nasi specjaliści ustalili, że to urządzenie jest wyposażone w głośnik. Użyjesz go zamiast słuchawek; chcemy słyszeć całą rozmowę, a nie tylko twój monolog.

Srparr obdarzył go wściekłym spojrzeniem, ale przestawił jakiś przełącznik i nie ruszał słuchawek. Odczytał to, co mu dała Nadia, i z głośnika popłynęły protesty, które zresztą na nic się nie przydały. Tym razem ONZ było wyjątkowo jednomyślne i nieugięte: żadnych kompromisów. Obcy nie byli w zbyt dogodnej pozycji do targów, toteż w końcu musieli się zgodzić na postawione warunki.

– Nie dajcie nam wyboru – jęknął Oged'u, gdy zakończono rozmowy.

– Ta wojna była waszym wyborem, zakończenie jej jest naszym – warknął generał Beltine bez cienia sympatii i spytał Roberta: – Grupa Tillemana odmeldowała się, pułkowniku?

– Tak, sir. Prace zakończone i poza wartownikami na pokładzie krążownika nie ma nikogo.

– Bardzo dobrze. Proszę odprowadzić Oged'u na pokład i dopilnować załadowania reszty jeńców. Potem proszę wycofać ludzi z okrętu i jego pobliza i zameldować się tutaj.

– A ja? – zaprotestował Srparr.

– Ty zostaniesz tutaj, dopóki forteca nie opuści Księżyca. Chcemy mieć stałą możliwość komunikacji z twoimi rodakami. Jak będą poza Układem Słonecznym, krążownik weźmie cię na pokład. Ani sekundy wcześniej!

Blettr nie miał wyjścia; jedyne, co mógł zrobić, to obserwować przez okno załadunek pobratymców na pokład i wycofanie się wojsk otaczających okręt.

– Rozkaz wykonany, sir – zameldował Rob, stając w drzwiach.

– Przekaż, że mogą startować – polecił Beltine obcemu. Z okien doskonale było widać, jak

naprawione drzwi luku opadają, rampa wznosi się i w ciągu kilkunastu sekund krążownik unosi się pionowo, by w chmurach zniknąć z ich pola widzenia.

Srparr pozostał przy nadajniku, utrzymując stałą łączność z okrętem.

– Wyszli z atmosfery – przetłumaczyła Nadia kolejny komunikat dobiegający z głośnika. – Są na orbicie około-ziemskiej.

– Mają jak najszybciej wziąć kurs na Księżyc – przypomniał generał Sobolewski. – Tak zostało uzgodnione.

Zanim Srparr zdołał przekazać polecenie, z głośnika dobiegł głos Oged'u. Mówił po angielsku i bez przymilnych tonów, jakie dotąd przeważały w jego wypowiedziach. Poziom znajomości angielskiego też się dziwnie poprawił.

– Jesteśmy na orbicie okołoziemskiej, a wy przekazecie do ONZ następującą wiadomość: By przetrwać, nie mogliśmy być do końca szczerymi w rozmowach z wami. Mamy więcej pocisków tej klasy co te, które zniszczyły życie w waszych miastach, niż wam powiedziałem i te dodatkowe znajdują się na pokładzie tego krążownika. Rozumiecie więc, że negocjacje prowadzone były w nader niekorzystnej dla nas sytuacji. Obecnie poprawiła się ona: teraz my wydajemy rozkazy – przerwał dla lepszego efektu, a gdy ponownie zaczął mówić, w jego głosie dźwięczało sadystyczne zadowolenie: – Natychmiast wydacie polecenie rozbrojenia wszystkich głowic na Księżycu. Gdy to zostanie zrobione, dowiecie się, czego jeszcze od was chcemy. Zróbcie zaś tak, gdyż w przeciwnym razie zaczniemy systematyczne bombardowanie waszych miast. Na początek pójdzie dziesięć wybranych losowo. Jeśli dalej będziecie się stawiać, to w ciągu dwudziestu czterech godzin zniszczymy całe życie na Ziemi. Nam wystarczy nie zamieszкана planeta.

# Ostateczne zwycięstwo

W ciszy, jaka zapanowała po tym oświadczeniu, rozległ się cichy skrzyp – generał Beltine wstał i powoli podszedł do nadajnika z takim wyrazem twarzy, że Srparr wolał zrejterować, mówiąc niezbyt pewnym siebie głosem:

– Nie rób mi krzywdy. Tego, co usłyszałeś, i tak nic nie zmieni, a Oged'u się zemści. Lepiej zróbcie, co kazał, albo zginą miliony waszych ziomków.

Beltine zignorował go całkowicie i sięgnął po mikrofon.

– To, że znów kłamaliście, nie jest dla nas zaskoczeniem – powiedział spokojnie. – Wzięliśmy taką ewentualność pod uwagę, przygotowując plany mające zakończyć ten pożałowania godny incydent. Nie powiedzieliśmy wam wszystkiego, zachowując sobie parę atutów na wypadek, gdybyście znów usiłowali nas oszukać. Teraz znamy prawdę i nie mamy żadnych złudzeń co do waszego postępowania czy natury. Nie będziemy także mieli żadnej litości w dalszym postępowaniu z wami. Jesteście bandą tchórzy i łotrów, z którymi nie można negocjować, gdyż nie znacie pojęcia honoru lub uczciwości. Jedyne, co rozumiecie, to przemoc, wobec tego teraz porozmawiamy z pozycji siły. Od chwili waszego lądowania na Ziemi nasz arsenał wzbogacił się o kilka ciekawostek, o których z oczywistych powodów nie zostaliście poinformowani. Jedną z nich jest broń energetyczna, zdolna niszczyć obiekty w przestrzeni. Przypadnie wam w udziale pewnego rodzaju zaszczyt. Pierwszym jej praktycznym celem będzie wasz krążownik. Pułkownika Hayward, proszę zająć się tym okrętem.

Rob od paru sekund był już przy telefonie, czekając na rozkaz; teraz powiedział tylko jedno słowo, które w panującej w mesie ciszy zabrzmiało jak wystrzał:

– Ognia!

Z głośnika rozległ się wściekły głos Oged'u:

– Wasz głupi bluff nie... – głośnik zamilkł.

Srparr rzucił się do niego, wyrwał Beltine'owi mikrofon i zaczął coś gorączkowo krzyczeć, zmieniając jak szalony częstotliwości. Po chwili odpowiedział mu wysoki, załamujący się głos.

– To forteca – odezwała się Nadia – mówią, że krążownik został zniszczony, widziano to z pokładu ich innego okrętu.

Srparr nadal wykrzykiwał do mikrofonu, a z głośnika dobiegał zmieszany gwar głosów, ale żaden nie wydawał się adresowany do niego.

– Ogarnęła ich panika – wyjaśniła dziewczyna. – Trudno ich zrozumieć, bo się wzajemnie przekrzykują.

Głośnik nagle zamilkł i zapanowała cisza, w której brzęczyk telefonu rozbrzmiał nienaturalnie głośno. Rob odebrał go, wysłuchał krótkiej informacji i odłożył słuchawkę.

– To obserwatorium orbitalne – poinformował obecnych. – Forteca wystartowała z powierzchni Księżyca i kieruje się ku granicy Systemu Słonecznego...

Przerwał mu drugi telefon. Po wysłuchaniu jeszcze krótszej informacji dodał:

– Obserwatorium Mount Paloma potwierdza te dane. Prędkość fortecy ciągle rośnie, kurs pozostaje bez zmian. Proszę państwa, to chyba naprawdę koniec.

Cisza pękła; ściskano sobie dłonie, klepano się po plecach, a nad wszystkim górowały śmiech i pełna radości wrzawa.

Tylko Nadia nie przyłączyła się do ogólnej wesołości – patrzyła na Srparrę, który bez ruchu siedział przed nadajnikiem z opuszczonymi ramionami. W rozgwarze ledwie słyszała jedno jedyne

słowo, jakie powtarzał, ale doskonale rozumiała jego sens.

Sam. Sam, jak nigdy dotąd nie była żadna istota na Ziemi. Sam w obcym świecie, wśród obcych istot, bez szans powrotu do swoich, otoczony wrogami, których próbował zgładzić. Rozumiała, co może czuć, choć ani przez moment mu nie współczuła. Nie mogła, podobnie jak nie mogła cieszyć się z pozostałymi. Przeszkadzały jej w tym miliony zabitych, od których, jak wiedziała, nigdy się nie uwolni. Poczła na sobie wzrok Roberta i usłyszała, jak mówi do wartowników:

– Zabierzcie jeńca i dobrze go pilnujcie. Żeby nie miał okazji zrobić sobie krzywdy. Chcemy go żywego i zdrowego do badań. Jeszcze się nam przyda.

Poczekwała, aż go wyprowadzą i dopiero wtedy zadała Robertowi pytanie, które nurtowało ją od dłuższej chwili:

– Co to za broń, która zniszczyła krążownik? Nie słyszałam, żebyśmy mieli coś podobnego.

Uśmiechnął się bez cienia radości.

– Ja też nie. Nie mogliśmy im zaufać, sama o tym wiesz; założyliśmy więc w ich maszynowni bombę, która pierwotnie miała wysadzić tę stację, i podłączyliśmy zapalnik do jednej z anten zewnętrznych. Podejrzewaliśmy, że chcą nas oszukać; gdyby było inaczej, dowiedzieliby się, jak ją rozbroić. Okazało się, że słusznie podejrzewaliśmy; potem wystarczyło wysłać sygnał radiowy i reszta naocznie przekonała ich, że dysponujemy nową, tajną bronią. Panika i odwrót były do przewidzenia, a teraz wreszcie mamy spokój. Zniknęła groźba zagłady, wisząca nad ludzkością od chwili ich pierwszego lądowania.

– A więc pobiliście ich, i to ich własną bronią – wreszcie do niej dotarło. – Oszustwem!

– A co innego nam zostało? Oni mieli wszystkie asy, musieliśmy walczyć w każdy sposób, jaki dawał nam nadzieję na sukces.

– A głowice na Księżycu? To też był bluff?

– Obawiam się, że to tajemnica wojskowa, która będzie musiała nią pozostać – wtrącił się przysłuchujący się rozmowie generał Beltine. – Mam nadzieję, że w przyszłości nie będziemy zmuszeni uciekać się do improwizacji i kłamstwa. Mamy ich okręt i dane naukowców odnośnie krążownika. Ich technika niedługo przestanie być dla nas tajemnicą. Za kilka lat, jeśli ponownie spróbują szczęścia, albo jeśli spróbuje tego jakaś inna rasa, będziemy gotowi, by ich odpowiednio przywitać.

– I nadal zabijać? – cofnęła się. Generał przytaknął ruchem głowy.

– Jeśli będziemy musieli. Naszym zadaniem jest bronić reszty ludzkości.

– Czyli, inaczej mówiąc, zabijać. – Spojrzała na Roberta. – Jesteście w tym naprawdę dobrzy.

A zdarzyło wam się kiedykolwiek kogoś ożywić?

Generał Beltine parsknął i odwrócił się zde gustowany.

– I pomyśleć, że mówi to oficer wywiadu!? Na szczęście nie jego wywiadu!

– Nie mieliśmy wyboru – powiedział cicho Rob. – Nie rozumiesz tego?

– Nie rozumiem! Przybyli tu, bojąc się i strach powodował, że zabijali, ale martwych się nie da wskrzesić, a myśmy zabili następnych, atakując tę bazę, i jeszcze następnych, niszcząc krążownik. Można było spróbować się z nimi porozumieć, nauczyć ich, by się nas przestali bać. Spróbować żyć z nimi w pokoju. Mogliśmy z nimi współżyć, mogli nas nauczyć swej techniki i wiedzy, a my mogliśmy dać im dom.

– Jak? Jak można żyć obok kogoś, kto przez cały czas znajomości nie powiedział jednego słowa prawdy? Poza tym to i tak jest już historią, a przeszłości nie da się zmienić.

– Tak, naturalnie. – Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom, ale nagle stanęła i spytała: – I nie masz żadnych wątpliwości? Żadnych wyrzutów sumienia? Żadnego żalu, że zaprzepaściliśmy jedyną w

swoim rodzaju okazję w historii rasy ludzkiej? By żyć z kimś obcym w pokoju, a nie mordować się wzajemnie?

Rob nie odpowiedział, więc po chwili podjęła dalszą wędrówkę. Obserwował ją, zdając sobie sprawę, że widzi ją po raz ostatni. Nie, nie miał wątpliwości; przez cały czas był świadkiem wydarzeń i trafnie przewidywał ich kolejne etapy. Nic innego nie mogli zrobić, chcąc odnieść zwycięstwo.

A to było zwycięstwo.

Prawda?!

---

[\[1\]](#) Rajd na Entebbe był pierwszym w historii odbiciem pasażerów samolotu Air France porwanego przez terrorystów z PLO. Wydarzyło się to w nocy z trzeciego na czwartego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, a dokonał tego oddział wojsk izraelskich, który przyleciał do Ugandy i zaatakował zaraz po wylądowaniu się z kołującego "Herkulesa". Akcja była tak nowatorska w pomysłach, że nikt nie brał dotąd poważnie możliwości przeprowadzenia czegoś podobnego. Zginął jeden żołnierz i kilku pasażerów, wyeliminowano wszystkich terrorystów i pomagające im oddziały Idi Amma (przyp. tłum J.K.).

# Spis treści

[1]